

AUTOR ZEKRANIZOWANYCH BESTSELLEROWYCH  
13 POWODÓW

JAY  
ASHER

ŚWIATŁO



„Piękna opowieść o miłości i wybaczeniu”.  
STEPHEN CHBOSKY, autor zekranizowanej powieści *Charlie*

JAY  
ASHER

ŚWIATŁO

Przełożyła  
**Maria Smulewska**



Dom Wydawniczy REBIS

Dla:

JoanMarie Asher, Isaiaha Ashera oraz Christy Desir,  
*którzy podarowali mi tę bożonarodzeniową opowieść*

Dennisa i Joni Hopperów oraz ich synów, Russela i Ryana – *za inspirację*

od:

wdzięcznego chłopca

– Nie znoszę tej pory roku – oświadcza Rachel. – Sorki, Sierra, wiem, że przynudzam, ale taka jest prawda.

Poranna mgła niemal całkiem przesłania wejście do szkoły mające na drugim końcu trawnika. Trzymamy się cementowej dróżki, żeby nie wejść w mokrą trawę, ale to nie na pogodę narzeka Rachel.

– Proszę cię, nie zaczynaj – błagam. – Zaraz się przez ciebie popłaczę, a naprawdę bym chciała przetrwać jakoś ten tydzień bez...

– Ale to nawet nie jest tydzień! – przerywa mi przyjaciółka. – To marne dwa dni. Za dwa dni zaczynają się już ferie, za chwilę Święto Dziękczynienia i znów wyjeżdżasz na cały miesiąc. Na ponad miesiąc!

Przytulam ją i idziemy razem. Mimo że to przecież ja wyjeżdżam, Rachel jak co roku zachowuje się tak, jakby to jej świat się właśnie zawalił. Wiem dobrze, że ta nadąsana mina i zgarbione ramiona to jej sposób, by mi pokazać, jak bardzo będzie za mną tęsknić. Jak każdego roku jestem jej wdzięczna za ten melodramat, bo choć uwielbiam nasze świąteczne wyjazdy, opuszczam Oregon z ciężkim sercem. Świadomość, że moje przyjaciółki już odliczają dni do mojego powrotu, naprawdę jest dla mnie ważna.

Pokazuję jej łzę, która już się pojawiła w kąciку oka.

– Widzisz, co narobiłaś? Zaraz się poryczę.

Gdy rano wyjeżdżałyśmy z mamą z naszej plantacji choinek, niebo było niemal bezchmurne. Robotnicy już pracowali, w oddali pilarki bzyczały cicho jak komary. Ścinali pierwsze w tym roku choinki.

Gdy zjechałyśmy niżej, pojawiła się mgła. Zasnuła małe farmy, autostradę, miasteczko. Rozsiewała wspaniałą świąteczną woń. O tej porze roku całe nasze miasteczko pachnie choinkami. W innych miesiącach pachnie kukurydzą i burakami.

Rachel przytrzymuje przede mną szklane drzwi, a potem wchodzi za mną. Pod moją szafką stuka w swój lśniący czerwony zegarek.

– Mamy piętnaście minut – mówi. – Zimno mi, załapałam dołka. Strzelmy sobie jeszcze przed dzwonkiem małą kawkę.

Zarządzająca naszym szkolnym teatrem pani Livingston nie-tak-znowu-delikatnie daje zawsze swoim uczniom do zrozumienia, że mają w sobie wlewać tyle kofeiny, ile trzeba, żeby przygotować wszystko przed występem. Dlatego dla uczniów z kółka teatralnego zawsze grzeje się kawa za kulisami. Ponieważ Rachel odpowiada za scenografię, ma nieograniczony dostęp do sali teatralnej.

W ten weekend odbyły się ostatnie pokazy *Sklepiku z horrorami*. Dekoracje zostaną zdjęte dopiero po Święcie Dziękczynienia, kiedy więc włączamy światło w głębi sali, ukazują nam się teraz w całej okazałości. Na scenie, między ladą sklepu z kwiatami a wielką, zieloną, krwiozerczą rośliną, siedzi Elizabeth. Na nasz widok prostuje się i macha.

Rachel idzie przede mną między rzędami na widowni.

– W tym roku postanowiłyśmy podarować ci coś, co możesz zabrać ze sobą do Kalifornii.

Mijam puste czerwone fotele. Dziewczyny nie mają serca. Przecież nie mogę przez ostatnie kilka dni szkoły chodzić cały czas zaryczana. Wspinam się po schodach prowadzących na scenę. Elizabeth wstaje, podbiega i tuli mnie serdecznie.

– Widzisz – triumfuje ponad moim ramieniem Rachel. – Mówiłam ci, że się poryczy.

– Nie cierpię was – syczę.

Elizabeth podaje mi dwa prezenty owinięte w lśniący srebrny papier świąteczny, ale już chyba wiem, co jest w środku. W zeszłym tygodniu byliśmy razem w sklepie w mieście i widziałam, jak patrzyły na ramki mniej więcej tej wielkości co te pudełka. Siadam, żeby je otworzyć. Opieram się o ladę, na której stoi staroświecka, metalowa kasa.

Rachel siada po turecku tuż przede mną, niemal stykamy się kolanami.

– To wbrew zasadom – narzekam, wsuwając palec pod papier pierwszego pakunku. – Przecież zawsze otwieramy prezenty dopiero po moim powrocie.

– Ale chciałyśmy, żebyś miała coś, co ci będzie o nas przypominać – wyjaśnia Elizabeth.

– Głupio nam, że nie wpadłyśmy na to na samym początku, jak zaczęłaś wyjeżdżać – dodaje Rachel.

– Znaczą, jak byliśmy niemowlakami? – pokpiwam.

W moje pierwsze Boże Narodzenie mama została ze mną na farmie, a tata sam pojechał sprzedawać nasze choinki w Kalifornii. Następnego roku mama

uważała, że my dwie powinnyśmy jeszcze zostać w domu, ale tata uparł się, że bez nas w ogóle nie pojedzie. Oświadczył, że w takim razie woli już zostać i tylko powysyłać drzewka sprzedawcom w różnych częściach kraju. Wtedy mama powiedziała, że tego nie możemy zrobić wszystkim tym rodzinom, które tradycyjnie kupowały u nas choinki każdego roku. A poza tym, choć oczywiście była to dla nich praca – tata odziedziczył naszą farmę po dziadku – to jednocześnie sprzedawanie choinek stanowiło dla moich rodziców ważną tradycję. Zresztą nawet poznali się właśnie dzięki temu, że mama i jej rodzice byli właśnie takimi stałymi klientami. I tak co roku te kilka tygodni od Święta Dziękczynienia do Bożego Narodzenia spędzamy w Kalifornii.

Rachel kładzie się wygodnie na scenie i podpira ręką.

– Twoi rodzice zdecydowali w końcu, czy to ostatni wasz wyjazd do Kalifornii?

Usiłuję zdrapać taśmę klejącą, żeby jakoś rozpakować podarunek.

– Kazałyście to zapakować w sklepie czy jak?

– Usiłuję zmienić temat – teatralnym szeptem mówi Rachel do Elizabeth.

– Przepraszam – bąkam. – Po prostu nie chce mi się nawet o tym myśleć. Wiecie, że was uwielbiam, ale mimo wszystko okropnie będzie mi brakowało tych wyjazdów. Zresztą wciąż nic mi nie powiedzieli. Wiem tylko tyle, co wtedy niechcący usłyszałam. Ale wydaje mi się, że trochę się stresuję pieniędzmi. W każdym razie, póki nie podejmą decyzji, wolałabym się na nic nie nastawiać.

Gdybyśmy tylko utrzymali się jeszcze trzy sezony, mielibyśmy okrągłe trzydzieści lat w biznesie. Kiedy moi dziadkowie kupowali działkę, nasze małe miasteczko właśnie się rozrastało. Istniały wprawdzie inne farmy w Oregonie, ale nie było ich aż tak dużo. Teraz jednak wszędzie sprzedaje się choinki – od supermarketów po sklepy żelazne. Dużo ludzi sprzedaje też drzewka organizacjom charytatywnym. Mało kto już sam zajmuje się sprzedażą własnych choinek. Jeśli się poddamy w Kalifornii, będziemy musieli sprzedawać wszystko hurtowo supermarketom albo organizacjom charytatywnym. Albo nawet innym sprzedawcom choinek.

Elizabeth kładzie mi dłoń na kolanie.

– Z jednej strony chciałabym, żebyś znów tam pojechała w przyszłym roku, bo wiem, jak bardzo kochasz to miejsce. Ale z drugiej, jeśli zostaniesz z nami, po raz pierwszy w życiu spędziłybyśmy razem święta.

Mimowolnie uśmiecham się na tę myśl. Uwielbiam te dziewczyny. Ale

Heather też jest moją bliską przyjaciółką, a ją widzę tylko przez ten jeden jedyny miesiąc, kiedy jestem w Kalifornii.

– Jeździmy tam od zawsze. – Wzdycham. – Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak by to było tak nagle... zostać.

– Zaraz ci pomogę to sobie wyobrazić – zapala się Rachel. – Czwarta klasa. Narty. Gorące kąpiele. A wokół śnieg!

Tylko problem w tym, że kocham to nasze kalifornijskie miasteczko nawet mimo braku śniegu. Jest położone na wybrzeżu, zaledwie trzy godziny na południe od San Francisco. Uwielbiam sprzedawać choinki, znów widzieć znajome twarze. Tyle rodzin przychodzi do nas rok w rok. Dziwnie bym się czuła, gdybyśmy nagle musieli tak po prostu wysyłać nasze drzewka innym ludziom do sprzedawania.

– Kusząca wizja, prawda? – ciągnie Rachel. Pochyliła się bliżej mnie i unosi znacząco brwi. – A jeszcze pomyśl o tych wszystkich chłopcach.

Parskam śmiechem, potem odruchowo zasłaniam usta.

– Albo i nie – mówi Elizabeth, odciągając Rachel za ramię. – Miło by było spędzić czas tylko we trójkę, bez żadnych tam chłopaków.

– No, to w sumie by było jak w każde święta, jeśli o mnie chodzi – stwierdzam z przekąsem. – Pamiętacie, jak w zeszłym roku ten kretyn rzucił mnie w ostatni wieczór przed naszym wyjazdem do Kalifornii?

– To było okropne – zgadza się Elizabeth, ale jednak ze śmiechem. – A potem na bal zimowy przyprowadził tę nieznajomą z wielkimi cycami i...

Rachel przyciska jej do ust palec, żeby ją uciszyć.

– Dzięki, nie musimy sobie już przypominać szczegółów.

Spuszczam wzrok na prezent, którego wciąż nie zdążyłam jeszcze odpakować.

– W sumie trochę go rozumiem. Kto by chciał być w związku na odległość, i to w święta? Na pewno nie ja.

– Ale, ale! Przecież mówiłaś, że przy sprzedaży pomagają wam całkiem przystojni chłopcy.

– Taa... – Kręcę głową. – Uważaj, bo mój tata by mi na cokolwiek pozwolił.

– Dobra już, dobra. Koniec tematu – zarządza Elizabeth. – Otwieraj te prezenty.

Odrywam taśmę, ale myślami wciąż jestem w Kalifornii. Przyjaźnimy się z Heather, odkąd tylko pamiętam. Moi dziadkowie ze strony mamy byli

kiedyś sąsiadami jej rodziny. Po ich śmierci rodzice Heather zajmowali się mną po kilka godzin dziennie, żeby jakoś pomóc moim rodzicom. W zamian moi rodzice zawsze dawali im piękną choinkę, kilka bożonarodzeniowych wieńców i jeszcze podsyłali paru pracowników ze stoiska, żeby im pomogli pozawieszać światła na dachu.

Elizabeth wzdycha.

– Halo? Prezenty!

Odrywam papier z jednej strony pudełka.

Dziewczyny mają rację. Wspaniale by było spędzić tę ostatnią zimę tu z nimi. Przecież zaraz potem kończymy szkołę i rozjedziemy się po kraju. Marzy mi się wzięcie wreszcie udziału w konkursie na najlepszą rzeźbę z lodu i w ogóle robienie z nimi tych wszystkich rzeczy, o których co roku mi opowiadają.

Tylko że święta w Kalifornii to jedyna okazja, by zobaczyć się z Heather. Kiedyś nazywałam ją „zimową przyjaciółką”, ale teraz wiem już, że po prostu jest jedną z moich trzech najbliższych przyjaciółek. Dawniej widywałam się z nią też latem, kiedy jechałam do dziadków na wakacje, ale po ich śmierci te wyjazdy siłą rzeczy się skończyły. Martwię się, że trudno mi się będzie cieszyć tymi świętami z Heather ze świadomością, że być może to już nasze ostatnie.

Rachel wstaje i przechodzi przez scenę.

– Muszę się napić kawy.

– Ale ona właśnie otwiera nasze prezenty! – wrzeszczy za nią Elizabeth.

– Otwiera twój prezent – prostuje Rachel. – Mój to ten z czerwoną wstążką.

Oglądam pierwszą ramkę – tę z zieloną wstążką. To selfie Elizabeth. Wystawia na nim język i robi zeza. Dokładnie ta sama mina co na prawie wszystkich zdjęciach, które sobie w życiu zrobiła – i dlatego tak okropnie mi się podoba.

Przyciskam ramkę do piersi.

– Dziękuję.

Elizabeth oblewa się rumieńcem.

– Nie ma za co.

– Teraz otwieram ten od ciebie! – krzyczę przez całą scenę.

Rachel idzie powoli w naszą stronę. Niesie trzy papierowe kubeczki z parującą kawą. Bierzymy od niej po jednym. Odstawiam swój na bok,



a Rachel siada przede mną. Zaczynam odpakowywać jej prezent. Wyjeżdżam niby tylko na miesiąc, ale tak strasznie będę za nią tęsknić.

Na zdjęciu piękna twarz Rachel jest z boku, częściowo zasłonięta jej dłonią, jakby nie chciała, żeby pstryknięto jej tę fotkę.

– Chodziło o to, żeby wyglądało, jakby mnie opadli paparazzi – wyjaśnia.  
– Wiesz, jestem sobie supergwiazdą, wychodzę właśnie z jakiejś wypasionej restauracji... Chociaż w sumie to pewnie miałabym w takiej sytuacji jakiegoś wielgachnego ochroniarza, ale...

– Przecież ty nie jesteś aktorką – wchodzi jej w słowo Elizabeth. – Chcesz być scenografką.

– To tylko pierwszy etap planu – tłumaczy Rachel. – Czy wy macie pojęcie, ile jest na świecie aktorek? Miliony. I wszystkie robią wszystko, żeby je ktoś zauważył. Nie sposób się wybić. Ale ja jestem sprytniejsza. Pewnego dnia, gdy będę projektowała scenografię dla jakiegoś słynnego producenta, spojrzy na mnie i zrozumie, że marnuję się po tamtej stronie kamery. Że powinnam być przed nią, nie za nią. Oczywiście będzie się potem chwalił, że to on mnie odkrył, nie wiedząc, że świadomie do tego doprowadziłam.

– Najgorsze, że ty naprawdę wierzysz, że to się uda – mamroczę.

Rachel upija łyk kawy.

– Oczywiście, że się uda.

Dzwoni pierwszy dzwonek. Zbieram srebrny papier i zgniatam go w kulę. Rachel zanoszą ją i nasze puste kubki do kosza za kulisami. Elizabeth chowa moje ramki do papierowej torby ze spożywczego, zwija górę i podaje mi pakunek.

– Rozumiem, że nie możemy już wpaść do ciebie przed wyjazdem? – upewnia się.

– Raczej nie – mówię. Schodzę za nimi ze sceny i powoli idziemy znów między rzędami sali teatralnej. – Dziś muszę iść wcześniej spać, żeby jutro rano przed szkołą jeszcze popracować. A potem w środę wyjeżdżamy z samego rana.

– O której? – dopytuje Rachel. – Może mogłybyśmy...

– O trzeciej – mówię ze śmiechem. Z naszej farmy w Oregonie do naszego stoiska w Kalifornii jest około siedemnastu godzin samochodem, zależnie od liczby przerw na ubikację i tego, jaki się zrobi przedświąteczny korek. – Ale oczywiście, jeśli macie ochotę wstać tak wcześniej...

– No, dobra – kapituluje Elizabeth. – Będziemy przesyłać ci dobre myśli przez sen.

– Wiesz już, co masz zadane? – upewnia się Rachel.

– Chyba tak. – Jeszcze dwa lata temu w szkole było kilkanaścioro uczniów wyjeżdżających na świąteczne sprzedawanie choinek. W tym roku jest nas troje. Na szczęście w okolicy jest tyle farmerskich rodzin, że nauczyciele są wyrozumiali i wiedzą, jak zaplanować pracę z uwzględnieniem rozmaitych zbiorów. – Tylko Monsieur Cappeau niepokoi się, czy aby będę miała na wyjeździe dość czasu, by *pratiquer mon français*, więc kazał mi dzwonić raz na tydzień na konwersacje.

Rachel puszcza do mnie oko.

– Czy to aby jedyny powód?

– Nie obrzydzaj mnie – pryham.

– Rachel, Sierra nie lubi starszych facetów – poucza ją Elizabeth.

Parskam śmiechem.

– Masz na myśli Paula, tak? Przecież tylko raz się z nim umówiłam! A zresztą potem przyłapano go w samochodzie kumpla z otwartą puszką piwa.

– Przypomnę na jego obronę, że nie siedział za kierownicą – wcina się Rachel. Nim mam czas cokolwiek powiedzieć, unosi ręce. – Ale kumam. To był już twoim zdaniem znak, że chłopak zaraz niechybnie wpadnie w alkoholizm. Albo że nie umie podejmować słusznych decyzji. Albo... coś w tym stylu.

Elizabeth kręci głową.

– Ty to jesteś wybredna, Sierra.

Zawsze się podśmiewają z moich zawyżonych standardów, jeśli chodzi o chłopaków. Ale ja po prostu widziałam w życiu za wiele dziewczyn, które męczą się z beznadziejnymi typkami. Nawet jeśli z początku wydawali się w porządku. Po co mam marnować całe lata czy miesiące, a nawet dni, na kogoś takiego?

Tuż przed drzwiami na główny korytarz Elizabeth obraca się w naszą stronę i mówi:

– Jak nic spóźnię się na angielski, ale... zjedźmy razem obiad, dobra?

Uśmiecham się. Przecież zawsze jemy razem obiad.

Pchamy drzwi i wychodzimy na korytarz. Elizabeth znika w tłumie.

– Zostały nam już tylko dwa obiady – jęczy Rachel, gdy idziemy dalej.

Udaje, że ociera łzy. – I potem koniec. Chyba się zaraz...

– Przestań! – warczę na nią. – Ani się waż tak mówić!

– O mnie się nie martw. – Macha na to ręką. – Kiedy ty będziesz tam sobie imprezować w Kalifornii, będę miała ręce pełne roboty. W poniedziałek zacznę rozbierać dekoracje. Zajmie nam to tydzień jak nic. Potem muszę pomóc przy projektowaniu wystroju sali na bal zimowy. Nie jest to może teatr, ale mam taką zasadę, że nie odmawiam pomocy tym, którzy potrzebują mojego talentu.

– Mają już jakiś temat na tegoroczny bal? – pytam.

– „Śnieżna kula miłości” – odpowiada. – No, wiem, trochę kiczowate, ale mam już pewną koncepcję. Chciałabym udekorować salę gimnastyczną tak, żeby zdawało się, że tańczymy w środku prawdziwej śnieżnej kuli. Będę miała mnóstwo roboty.

– Widzisz? Nawet nie będziesz miała czasu za mną tęsknić – mówię.

– Otóż to – potwierdza Rachel. Trąca mnie łokciem. – Ale lepiej, żebyś ty za mną porządnie tęskniła.

I tak będzie. Tęsknienie za przyjaciółkami od zawsze należy do moich bożonarodzeniowych tradycji.

Słońce ledwo wyłania się zza wzgórz, gdy parkuję pikapa taty na poboczu błotnistej drogi dojazdowej. Zaciągam ręczny hamulec i wyglądam przez okno. To jeden z moich ulubionych widoków. Kilka metrów od samochodu zaczynają się choinki i ciągną tak przez dobre czterdzieści hektarów. Po drugiej stronie auta to samo. Nawet tam, gdzie kończy się nasza ziemia, w większości wypadków zaczynają się tylko choinki sąsiadów.

Wyłączam ogrzewanie i wychodzę na dwór. Ale ziąb. Związuję włosy w kucyk i chowam pod zimową kurtką, wkładam kaptur i zaciągam sznurki.

Wilgotne powietrze pachnie żywicą, moje ciężkie buty zapadają się w mokrej ziemi. Gdy wyciągam z kieszeni komórkę, siłą rzeczy szoruję rękawami po gałęziach. Naciskam numer do wujka Bruce'a, a potem przytrzymuję sobie telefon ramieniem, żeby móc w tym czasie szybko włożyć rękawice.

Odbiera ze śmiechem.

– Coś podejrzanie prędko dotarłaś na miejsce, Sierro!

– Wcale nie jechałam szybko – bronię się, ale prawda jest taka, że bardzo trudno się oprzeć tym fantastycznym skrętom w błocie.

– Nie przejmuj się, młoda. Sam nieraz poszalałem na tym wzgórzu.

– Wiem, widziałam. Dlatego wiem, jaka to świetna zabawa – przyznaję. – W każdym razie jestem już prawie przy pierwszej stercie.

– Zaraz tam będę – obiecuje i nim się rozłącza, już słyszę warkot zapuszczanego silnika helikoptera.

Wyciągam z kieszeni pomarańczową kamizelę odblaskową. Wkładam ją, żeby mógł mnie z łatwością dojrzeć z wysokości.

Dwieście metrów przede mną buczą już pilarki. Nasi pracownicy tną pnie tegorocznych choinek. Dwa miesiące temu zaczęliśmy oznaczać drzewka do ścięcia. Na najwyższych gałązkach przypinaliśmy plastikowe paski: czerwone, żółte lub niebieskie, zależnie od wysokości. Dzięki tym zawieszkom łatwiej będzie nam potem posortować choinki przy wrzucaniu na pakę. Drzewka, które nie mają oznaczeń, zostaną i będą rosły na przyszłe

lata.

W oddali widzę już zbliżający się czerwony helikopter. Mama i tata pomogli wujkowi go kupić, a w zamian on przewozi nam drzewka podczas ścinki. Helikopter to lepsze rozwiązanie – nie musimy przecinać lasu drogami dojazdowymi, a drzewka są świeższe. Kiedy wujek nie pomaga nam przy wyrębie, lata z turystami pokazywać im nasze skaliste wybrzeże. Czasami nawet musi odegrać bohatera i uratować jakiegoś zagubionego piechura.

Pracownicy ścinają cztery, pięć drzewek, kładą je obok siebie na dwóch długich kablach, trochę tak, jakby je kładli na torach. Na to wrzucają kolejne choinki, aż zbierze się ich mniej więcej tuzin. Potem zwijają kable i mocują je na górze. Wtedy mogą się zająć następnymi drzewkami, a do akcji wkraczam ja.

W zeszłym roku tata po raz pierwszy pozwolił mi przy tym pomagać. Dobrze wiedziałam, że najchętniej powiedziałby, że to zbyt niebezpieczna robota dla piętnastolatki, ale oczywiście nie śmiał. W końcu zatrudnia przecież kilku moich kolegów z klasy i im jakoś pozwala wymachiwać piłami łańcuchowymi.

Coraz głośniejszy słychać uderzenia łopat helikoptera – buch, buch, buch, tną powietrze z dużą siłą. Serce wali mi w tym samym rytmie. Zabieram się do mojej pierwszej partii w tym sezonie.

Staję obok drzew, rozprostowuję palce w rękawicach. Poranne słońce odbija się od okna helikoptera, który ciągnie za sobą długie druty. Na nich zwisa ciężki czerwony hak.

Helikopter zwalnia, a ja wbijam buciska w ziemię. Maszyna zawisa nade mną, wujek powoli schodzi niżej, aż w końcu metalowy hak dotyka już igieł mojej sterty z choinkami. Unoszę rękę nad głowę i robię nią koło w powietrzu, żeby dać mu znać, że potrzebuję więcej luzu. Zniża się jeszcze trochę i udaje mi się złapać hak. Mocuję na nim kable i odsuwam się dwa duże kroki w tył.

Zadzieram głowę i widzę, że wujek uśmiecha się do mnie. Pokazuję w jego stronę palcem, odpowiada uniesieniem kciuka i zaczyna się wznosić. Choinki osuwają się na środek lin i unoszą z ziemi, a potem odlatują.



Nad naszym domem wisi półksiężyc. Przez okno mojego pokoju na piętrze

widzę rozciągające się w ciemności wzgórza. Kiedy byłam mała, stawałam tu czasem i udawałam, że jestem kapitanem okrętu, który patrzy na nocny ocean, fale pode mną o wiele ciemniejsze niż rozgwieżdżone niebo w górze.

Ścinki planujemy w ten sposób, żeby ten widok nigdy się nie zmieniał. Na każde wycięte drzewo zostawiamy pięć rosnących, a w pustym miejscu od razu sadzimy nową siewkę. Po sześciu latach każde z tych drzewek wędruje gdzieś po kraju, aż trafia do odpowiedniego domu – jako symbol świąt.

I dlatego właśnie my w święta mamy zupełnie inne tradycje. Dzień przed Świętem Dziękczynienia jedziemy z mamą na południe, gdzie już jest tata. Jemy uroczysty obiad z Heather i jej rodziną, a następnego dnia zaczynamy od rana do nocy sprzedawać choinki i tak już aż do Wigilii. Dwudziestego czwartego wieczorem zupełnie wykończeni dajemy sobie po jednym skromnym prezencie. Naprawdę nie mamy miejsca na więcej w naszej srebrnej przyczepie – naszym domku z dala od domu.

Nasz prawdziwy dom na farmie został zbudowany w latach trzydziestych. Przez te stare drewniane podłogi i schody nie sposób wymknąć się z łóżka w środku nocy bez narobienia hałasu, ale staram się przynajmniej trzymać tej mniej skrzypiącej strony schodów. Już zostały mi zaledwie trzy stopnie do kuchennej podłogi, gdy z salonu dobiega mnie głos mamy:

– Sierra! Naprawdę musisz się przespać choćby kilka godzin.

Zawsze jak taty nie ma, mama zasypia na kanapie przed telewizorem. Gdy spojrzeć na to z romantycznej perspektywy, być może wtedy ich sypialnia wydaje się jej zbyt smutna. Ale coś mi mówi, że niewykluczone, iż zasypianie na kanapie to jej sposób na taki mały bunt.

Owijam się mocniej szlafrokiem i wsuwam stopy w znoszone tenisówki, które zostawiłam przy kanapie. Mama ziewa i sięga ręką na ziemię po pilota. Wyłącza telewizor. Pokój pogrąża się w ciemnościach.

Włącza lampkę.

– A ty dokąd?

– Do szklarni – odpowiadam. – Chcę tylko przynieść sobie tu drzewko, żebyśmy rano o nim nie zapomniwały.

Mamy taki system, że nie pakujemy wszystkiego do samochodu poprzedniego dnia, tylko przygotowujemy sobie torby przy drzwiach, żeby jeszcze rano wszystko przejrzeć. Potem, jak już wyjedziemy na główną drogę, mowy nie ma o zawracaniu.

– Ale zaraz potem marsz do łóżka – mówi mama, która też ma tak, że nie

potrafi zasnąć, jeśli czymś się martwi. – Bo inaczej nie dam ci jutro prowadzić.

Obiecuję jej, że zaraz pójde spać, i zamykam za sobą drzwi. Jeszcze mocniej otulam się szlafrokiem, próbując się zasłonić przed zimnym nocnym powietrzem. W szklarni będzie cieplej, ale schowam się w środku tylko na chwilę, żeby zabrać stamtąd małe drzewko, które przesadziłam sobie niedawno do czarnej plastikowej donicy. Postawię je przy bagażu, a potem razem z Heather posadzimy je po kolacji w Święto Dziękczynienia. Będzie to szósta choinka do kolekcji – wszystkie przewiozłam z naszej farmy do Kalifornii i potem z Heather sadziłyśmy je rok po roku na Cardinals Peak. Plan jest taki, że w przyszłym roku zetniemy wreszcie pierwszą choinkę i podarujemy ją rodzinie Heather.

To kolejny powód, dla którego to po prostu nie mogą być nasze ostatnie święta w Kalifornii.

Z zewnątrz nasza przyczepa wygląda trochę jak przewrócony srebrny termos, ale w środku jest bardzo przytulnie. Do jednej ściany przyczepiony jest mały stolik, a przy nim ława, która na noc staje się moim łóżkiem. W kuchni mieści się zlew, lodówka, kuchenka i mikrofalówka. Łazienka dosłownie kurczy się z roku na rok, choć rodzice nawet niedawno wymienili prysznic na większy. W tym poprzednim nie dałabym już rady schylić się, żeby umyć nogi, chyba że przedtem naprawdę bym się porozciągała jak jakaś joginka. Naprzeciw mojego łóżka są drzwi do pokoju rodziców, w którym nie ma miejsca na nic poza ich łóżkiem, małą szafą i stołkiem. Teraz drzwi są zamknięte, ale i tak słyszę chrapanie mamy, która odsypia naszą podróż.

Nogi mojego łóżka stykają się z jedną szafką kuchenną. Druga wisi tuż nad nią. Wbijam w nią wielką białą pinezkę. Na stole obok leżą ramki od Rachel i Elizabeth. Połączyłam je lśniąca zieloną wstążką, żeby móc je powiesić jedną nad drugą. Na końcu wstążki wiążę pętelkę i zawieszam na pinezce. W ten sposób będę miała moje przyjaciółki cały czas przy sobie.

– Witajcie w Kalifornii – mówię do nich.

Przełazę po łóżku do okna i rozsuwam zasłony.

W tej samej chwili w szybę wali choinka. Wrzeszczę odruchowo. Igły drapią po szkle. Ktoś chyba usiłuje wyprostować drzewko.

Zza gałęzi wyłania się Andrew. Pewnie chce się upewnić, że nie wybił mi okna. Rumieni się na mój widok, a ja w panice spuszczam wzrok, żeby sprawdzić, czy w ogóle włożyłam koszulkę po prysznicu. Zdarzało mi się już nieraz chodzić sobie beztrosko w samym tylko ręczniku po przyczepie, a przecież powinnam pamiętać, że tuż za szybą pracuje całe mnóstwo chłopaków.

W zeszłym roku Andrew zaprosił mnie na randkę – jako pierwszy i ostatni chłopak w Kalifornii. Wymyślił sobie, że przylepi mi na oknie karteczkę z zaproszeniem. To chyba miało być słodkie, ale ciarki mnie przechodzą na myśl, że zakradł się tam w ciemnościach i majstrował mi tuż nad głową. Na szczęście udało mi się od tego wymigać. Mogłam mu – zgodnie z prawdą –



wyjaśnić, że nie powinnam spotykać się z nikim, kto pracuje przy sprzedaży naszych choinek. Nie jest to może jakaś święta zasada, ale jednak rodzice wspomnieli parę razy o tym, że czuliby się dość niezręcznie, gdybym zaczęła romansować w pracy.

Moi rodzice poznali się zresztą, kiedy byli w moim wieku. Tata pracował z rodzicami właśnie tutaj, a rodzina mamy mieszkała kilka przecznic obok. Pewnej zimy tak się w sobie zakochali, że tata przyjechał tu potem latem na obóz baseballowy. Potem pobrali się i z czasem przejęli rodzinny interes. Do pomocy zatrudniają baseballistów z okolicznej szkoły, którzy chcą sobie dorobić przed świętami. To nie stanowiło żadnego problemu, póki byłam mała, ale gdy tylko wkroczyłam w wiek dojrzewania, w oknach naszej przyczepy pojawiły się nowe, grubsze zasłony.

Nie słyszę Andrew zza szyby, ale po ruchu jego ust domyślam się, że mnie przeprasza. W końcu udaje mu się wyprostować drzewko i ustawić je tak, żeby nie dotykało gałązkami żadnych innych wokół.

Uważam, że tamta niezręczna sytuacja między nami w zeszłym roku nie powinna wpływać na nasze zawodowe relacje, więc uchylam okno i witam się z nim serdecznie.

– A zatem wróciłeś na jeszcze jeden rok – mówię.

Ogląda się, ale wokół nie ma nikogo, więc chyba raczej jasne, że zwróciłam się do niego. Obraca się w moją stronę, wkłada ręce do kieszeni.

– Miło cię znów zobaczyć – mamrocze.

Fajnie, jak pracownicy wracają w kolejnym sezonie, ale tym razem bardzo się staram, żeby przypadkiem jakoś opacznie nie zrozumiał mojej radości.

– Tata bardzo się cieszył, że jest was kilku z zeszłego roku – dodaję więc.

Andrew gapi się na najbliższe drzewko, odrywa kilka igieł.

– No – rzuca z lekko nadąsaną miną. Ciska igły na ziemię i odchodzi.

Staram się tym nie przejmować. Otwieram szerzej okno, zamykam oczy. Powietrze tu nie pachnie tak jak w domu, ale też jest nieźle. Widok za to jest zupełnie inny. Zamiast wzgórz porośniętych drzewami przede mną stoją choinki w metalowych stojakach. Zamiast naszego ciągnącego się po horyzont lasu mamy tu tylko niecałe pół hektara ubitej ziemi, a potem już widać jezdnię Oak Boulevard. Po drugiej stronie ulicy stoi sklep spożywczy pana McGregora, a obok jest parking. Dziś Święto Dziękczynienia, więc wcześniej zamknęli.

Ten sklepik jest tu od zawsze, był tu, zanim jeszcze zaczęliśmy

sprzedawać choinki. Teraz to jedyny sklep w całym miasteczku, który nie należy do żadnej sieci. W zeszłym roku właściciel uprzedził moich rodziców, że kiedy wrócimy za rok, może go już tu nie być, więc kiedy kilka tygodni temu tata zadzwonił z Kalifornii dać nam znać, że dotarł na miejsce, pierwsze, o co spytałam, to czy sklep pan McGregora jeszcze istnieje. Kiedy byłam mała, uwielbiałam, gdy rodzice robili sobie przerwę w sprzedawaniu choinek i szliśmy razem na zakupy. Potem dawali mi listę potrzebnych rzeczy i sama przechodziłam przez ulicę do sklepu. A od kilku lat to jakoś tak się stało, że i robienie listy zakupów należy już do moich obowiązków.

Patrzę, jak po wyasfaltowanym parkingu sunie biały samochód. Pewnie ktoś chce sprawdzić, czy rzeczywiście już jest zamknięte. Kierowca zwalnia przed sklepem, a potem przyśpiesza i wyjeżdża na ulicę.

Gdzieś z gąszczu naszych drzewek dobiega mnie głos taty:

– Ani chybi zapomniał o sosie żurawinowym!

Słyszę, jak chłopaki wybuchają śmiechem.

Tata co roku tak sobie żartuje ze sfrustrowanych klientów, którzy z piskiem opon odjeżdżają sprzed sklepu. „Czymże by było Święto Dziękczynienia bez tarty dyniowej?!” albo „Oj, chyba ktoś zapomniał o farszu”. Chłopaki zawsze śmieją się z jego żartów.

Patrzę, jak dwóch niesie wielką choinkę. Akurat przechodzą koło przyczepy. Jeden ma ręce zanurzone w gałęziach, drugi idzie za nim i trzyma drzewko za pień. Zatrzymują się na chwilę, żeby ten od gałęzi mógł je lepiej złapać. Ten od pnia czeka na kolegę i ogląda się w tym czasie w stronę przyczepy. Zauważył mnie, uśmiecha się. Coś szepcze do tego od gałęzi. Nie słyszę przecież co, ale teraz już obaj się na mnie gapią.

Nagle czuję przemożną potrzebę upewnienia się, czy nie mam na głowie jakiegoś gniazda, choć przecież wcale nie chcę się im podobać (bez względu na to, jacy są przystojni). Zamiast tego jednak tylko grzecznie do nich macham i odsuwam się od okna.

Po drugiej stronie przyczepy ktoś wyciera buty na naszych metalowych stopniach. Mimo że właściwie, odkąd tata wyładował choinki, jeszcze ani razu nie padało, ziemia i tak jest lekko wilgotna. Codziennie musimy przecież podlewać i zraszać drzewka.

– Puk, puk!

Ledwie otwieram zasuwę, wpada do środka Heather. Jej czarne loki aż podskakują, gdy z piskiem rzuca się mnie uściskać. Wybucham śmiechem na

widok tej jej ekscytacji. Przyklęka na moim łóżku, żeby się przyjrzeć zdjęciom Rachel i Elizabeth.

– Dały mi je tuż przed wyjazdem – wyjaśniam.

Heather dotyka górnej ramki.

– To Rachel, prawda? Że niby tak się ukrywa przed paparazzi?

– Ale by się cieszyła, gdyby wiedziała, że tak od razu załapałaś, o co chodzi – mówię.

Heather przełazi bliżej okna, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Stuka w szybę opuszkami palców i jeden z chłopaków od razu się odwraca. Niesie akurat wielki karton podpisany „jemioła”. Idzie w kierunku zielono-białego namiotu, takiego trochę jak w cyrku.

To tam mamy kasę. Tam też sprzedajemy inne świąteczne drobiazgi i mamy nawet małą wystawę z choinek obsypanych sztucznym śniegiem.

Heather w ogóle na mnie nie patrzy, tylko zachwyca się widokiem za oknem.

– Czyś ty widziała, jakie masz tu w tym roku ciacha?

Oczywiście, że widziałam, ale przecież o wiele łatwiej by było, gdybym właśnie była ślepa. Jeśli tata zacznie choćby podejrzewać, że flirtuję z którymś z naszych pracowników, każe mu natychmiast wyczyścić wszystkie nasze toalety, żeby odstraszał mnie od biedaka smród. I pewnie by podziałało.

A zresztą i tak po co miałabym z kimkolwiek w ogóle tu chodzić, bez względu na to, czy dla nas pracuje czy nie. Po co angażować się w związek, skoro wiem, że los i tak rozłączyłby nas rano w Boże Narodzenie?

Obzeraliśmy się nieładnie, a tata Heather jak zawsze w Święto Dziękczynienia żartuje, że teraz czas na hibernację. Potem wszyscy rozchodzą się do swoich tradycyjnych zadań. Ojcowie zabierają się do sprzątnięcia ze stołu, głównie chyba dlatego, że chcą jeszcze podjadać indyka. Mamy idą do garażu po – jak zwykle za dużą – liczbę pudeł ze świątecznymi dekoracjami. Heather biegnie na górę po dwie latarki, a ja czekam na nią przy schodach.

Z szafy przy drzwiach frontowych wyciągam ciemnozieloną bluzę, którą mama miała na sobie w drodze tutaj. Wielkimi żółtymi literami jest na niej napisane LUMBERJACKS, czyli „drwale”. To jej bluza ze studiów. Wciągam ją przez głowę. Słyszę, że otwierają się drzwi do kuchni, co oznacza, że mamy już wróciły. Oglądam się szybko na schody, czy Heather wreszcie idzie. Musimy się przecież zmyć, zanim rodzice poproszą nas o pomoc.

– Sierro? – woła mama.

Wyciągam włosy, które utknęły mi w bluzie.

– Właśnie wychodzimy! – odkrzykuję.

Mama targa wielką tubę z przezroczystego plastiku. W środku widać owinięte w gazety dekoracje na choinkę.

– Mogę pożyczyć twoją bluzę? – pytam. – Jak będziecie z tatą wracać, możesz wziąć moją.

– Nie, twoja jest za cienka – protestuje mama.

– Wiem, ale nie będziesz na zewnątrz tak długo jak ja – argumentuję. – Poza tym wcale nie jest aż tak znowu zimno.

– Poza tym – przedrzeźnia mnie mama – trzeba było o tym wcześniej pomyśleć.

Zaczynam więc ściągać bluzę, ale jednak macha ręką. Więc w końcu mogę ją pożyczyć.

– Ale w przyszłym roku zostań, żeby nam pomóc... – zaczyna i urywa.

Odwracam twarz w stronę schodów. Mama nie wie przecież, że słyszałam ich rozmowę z tatą. I jeszcze tamtą, kiedy gadali też z wujkiem Bruce'em

o tym, czy w ogóle ma sens jechać w przyszłym roku do Kalifornii. Z tego, co rozumiem, najrozsądniej było wycofać się już dwa lata temu, ale wtedy jakoś wszyscy mieli nadzieję, że jeszcze będzie lepiej.

Mama stawia tubę na dywanie w salonie i otwiera przykrywkę.

– Jasne – obiecuję. – W przyszłym roku zostanę.

Heather zeskakuje ze schodów w znoszonej czerwonej bluzie, którą wkłada tylko na ten jeden wieczór raz do roku. Rękawy są już zupełnie postrzępione, a dekolt niemiłosiernie rozciągnięty. Kupiliśmy ją na ciuchach po pogrzebie mojego dziadka. Mama Heather zabrała nas wtedy na zakupy, żeby jakoś mnie pocieszyć. Kiedy widzę przyjaciółkę w tej bluzie, zawsze robi mi się smutno i wesoło jednocześnie. Przypominają mi się dziadkowie, okropnie za nimi tęsknię. Ale przypominam sobie też wtedy, jak wspaniałą przyjaciółką jest Heather.

Zatrzymuje się na dole i daje mi dwie małe latarki do wyboru: fioletową i niebieską. Biorę niebieską i chowam do kieszeni.

Mama odwija z gazety świeczkę w kształcie bałwana. Jeśli mama Heather nie zmieniła swoich odwiecznych planów na dekoracje, świeczka wyląduje w łazience z przodu domu. Knot jest trochę czarny, bo w zeszłym roku tata Heather odważył się zapalić ją na chwileczkę. Mama Heather od razu wyczuła zapach wosku i zaczęła walić w drzwi łazienki, żeby ją natychmiast zgasił.

– To świeczka ozdobna! – wrzeszczała. – Ich się nie zapala!

Mama ogląda się na kuchnię, potem patrzy na nas znacząco.

– Jeśli chcecie się stąd zmyć, to lepiej się streszczajcie – ostrzega nas. – Twoja mama właśnie szuka swetra, który chce wystawić do tegorocznego konkursu na najbrzydszy świąteczny sweter. Mówi, że wygraną ma w kieszeni.

– Bardzo jest brzydki? – pytam.

Heather krzywi się okropnie.

– Jeśli mama nie wygra, będzie to znaczyło, że jurorzy nie mają za grosz gustu.

Słyszemy, że znów otwierają się kuchenne drzwi, wypadamy więc frontowymi. Trzaskają za nami z hukiem.

Przy wycieracze stoi małe drzewko, które przytargałam z przyczepy. Przedtem przesadziłam je jeszcze z plastikowej doniczki do płóciennego worka.

– Ja niosę pierwsza – proponuje Heather. Chwyta torbę z korzeniami i opiera sobie drzewko o ramię. – A ty weź tę swoją łopatkę.

Biorę więc łopatkę ogrodniczą i ruszamy.



Zanim docieramy do połowy górki, Heather oświadcza, że czas się zamienić. Wkładam latarkę z powrotem do tylnej kieszeni i biorę od niej drzewko.

– Trzymasz? – upewnia się.

Kiwam głową, a ona przejmuje ode mnie łopatkę.

Poprawiam sobie jeszcze choinkę i idziemy dalej pod górkę, którą ludzie w miasteczku nazywają Górą. To dość urocze. Idziemy środkiem gruntowej drogi, która zawija trzy razy, nim dociera do miejsca, do którego podążamy. Księżyc wygląda dziś jak obcięty paznokciec, ledwo, ledwo oświeśla to zbocze. Po drugiej stronie już na pewno będziemy zdane na latarki. Teraz mogą nam się przydać głównie do odstraszenia różnych stworzonek, które czają się w krzakach.

– Okej, czyli chłopaki, z którymi pracujesz, są poza zasięgiem – podsumowuje Heather, z czego wnioskuję, że w ogóle nie przestała się głowić nad tym tematem. – To niby skąd masz wziąć innych ludzi, z którymi mogłabyś... no wiesz... spędzać miło czas?

Parskam śmiechem, a potem ostrożnie wyciągam latarkę z tylnej kieszeni, żeby zaświecić jej w twarz.

– No, nie. Nie mów, że powiedziałaś to poważnie.

– Oczywiście, że tak!

– Nie! – jęczę. – Nie! Po pierwsze, mam zbyt dużo pracy, nie mam na to czasu. Po drugie, mieszkam w przyczepie na stoisku z choinkami! Cokolwiek bym powiedziała czy zrobiła, tata jest zawsze tuż obok.

– Nie zaszkodzi spróbować – upiera się Heather.

Przechylam drzewko, żeby odsunąć igły od twarzy.

– Poza tym, jak byś się czuła, gdybyś wiedziała, że musisz rzucić Devona zaraz po świętach? Przecież to by było okropne!

Heather wyciąga łopatkę z tylnej kieszeni i zaczyna sobie nią stukać o nogę, gdy tak idziemy dalej.

– Skoro już wyciągnęłaś ten temat, to w sumie taki właśnie mam plan.

– Co?!

Wzrusza ramionami.

– Słuchaj, sama masz wysokie wymagania, jeśli chodzi o związki, tak? Więc z pewnością zrozumiesz, że...

– Dlaczego wszystkim się wydaje, że mam takie jakieś wysokie standardy? I co to w ogóle niby znaczy?

– Oj tam, nie obrażaj się tak zaraz. – Heather się śmieje. – Przecież uwielbiam cię za te twoje wymogi. Masz taki solidny... no wiesz... kręgosłup moralny. I to jest fajne. Problem w tym, że jak ktoś akurat chce rzucić chłopaka po świętach, to mu to za bardzo nie pomaga. Słabo wypadam. Tak w porównaniu z tobą.

– Planujesz rozstanie z miesięcznym wyprzedzeniem? – W głowie mi się to nie mieści.

– No, wiesz. Nie jestem przecież taka okrutna, żeby go rzucić tuż przed Świętem Dziękczynienia. Co by biedak powiedział przy stole? „Czuję wielką wdzięczność za to, że mi ktoś złamał serce”?

Idziemy chwilę w milczeniu. Myślę nad tym, co powiedziała.

– Pewnie w ogóle trudno znaleźć odpowiedni moment na takie coś, ale masz rację, że są sytuacje jeszcze gorsze od innych. To od jak dawna o tym myślisz?

– Od Halloween – przyznaje. – Ale wiesz, mieliśmy takie niesamowite przebrania!

Po tej stronie wzgórza światło księżycy jest jeszcze słabsze, więc musimy już świecić sobie latarkami pod nogi.

– To nie jest przecież jakiś palant ani nic z tych rzeczy – ciągnie Heather. – Gdyby był taki, tobym wcale się nie zastanawiała, tylko rzuciła go choćby i w święta. Jest naprawdę bystry, choć tego po nim nie widać. I bardzo kochany, i słodki. Tylko że... czasami jest taki nudny. Albo może tylko taki jakiś zagubiony we wszechświecie? Sama nie wiem!

Trudno raczej oceniać cudze powody do zerwania. Każdy może potrzebować zmiany. Pierwszym chłopakiem, z którym ja z kolei zerwałam, był Mason. Był naprawdę inteligentny i zabawny, ale jednocześnie jakiś taki... potrzebujący. Niby zdawało mi się, że fajnie będzie czuć, że ktoś mnie potrzebuje, ale okazało się, że to naprawdę męczące. Przy Masonie zrozumiałam, że wolałabym czuć, że ktoś mnie chce, a nie tylko potrzebuje.

– W jakim sensie jest nudny? – pytam.

– Ujmę to tak – odpowiada Heather. – Gdybym opisała ci, jak bardzo jest nudny, to moje słowa opisujące tę nudę byłyby mniej nudne niż on sam!

– Serio? – dziwię się. – Już się nie mogę doczekać, kiedy go poznam.

– I właśnie dlatego musisz mieć chłopaka – wraca do swojego Heather. – Wtedy będziemy mogły chodzić na podwójne randki. Dzięki czemu nie będę się tak okropnie nudzić.

Myszę o tym, jak dziwnie byłoby spotykać się z kimś ze świadomością, że ten związek ma bardzo krótką datę ważności. Gdybym chciała czegoś takiego, mogłabym przecież zgodzić się pójść na tamtą randkę z Andrew w zeszłym roku.

– Chyba jednak spaszuję – mówię. – Ale dzięki za pomysł.

– Ty mi nie dziękuj. Jeszcze do tego wrócę.

Wychodzimy z za zakrętu i już jesteśmy na samym szczycie Cardinals Peak. Tam schodzimy z drogi i włączymy po kolana w krzaki. Heather wymachuje latarką na lewo i prawo. Coś odskakuje i ucieka przed nami. Chyba mały zajac. Idziemy kilka kroków, krzaki znikają. Jest za ciemno, żebyśmy od razu zobaczyły wszystkie pięć choinek, ale gdy Heather oświetla pierwszą, robi mi się ciepło na sercu. Powoli przesuwam światło latarki tak, że widzimy każdą po kolei. Posadziłyśmy je kilka metrów od siebie, żeby nie zasłaniały sobie nawzajem słońca. Najstarsza jest już trochę wyższa ode mnie, najmniejsza sięga mi ledwie do pasa.

– Cześć – witam się z nimi. Wciąż trzymając tę nową, którą tu dziś przyniosłyśmy, wolną ręką dotykam igieł wszystkich naszych choinek.

– Byłam tu w zeszły weekend – opowiada Heather. – Wyrwałam chwasty i skopałam trochę ziemię, żeby nam dziś było łatwiej.

Odkładam worek z choinką na ziemię i odwracam się w stronę przyjaciółki.

– Normalnie robi się z ciebie mała farmerka.

– Nie przesadzałabym – odpowiada skromnie. – Ale w zeszłym roku tyle nam zajęło to pielenie po ciemku, że pomyślałam...

– Tak czy siak, chcę myśleć, że dobrze się przy tym bawiłaś – wchodzę jej w słowo. – I w sumie nieważny jest powód, ważne, że nie zrobiłabyś tego, gdybyś nie była taką niesamowitą przyjaciółką. Więc dziękuję.

Heather odpowiada uprzejmym skinieniem głowy, po czym podaje mi łopatkę.

Rozglądam się za odpowiednim miejscem. Wierzę, że nowe drzewko zawsze powinno mieć jak najlepszy widok na to, co się dzieje na dole. Przyklękam na ziemi – idealnie miękkiej dzięki Heather – i zaczynam kopać



dziurę na tyle dużą, żeby zmieściły się w niej korzenie.

Przez dwa ostatnie lata przynosiłyśmy tu drzewka, targając je na zmianę. Przedtem musiałyśmy je tu wciągać na czerwonym wózekku Heather. To teraz taka moja mała plantacja choinek – mój sposób na to, by zostawić tu część siebie, gdy wracam z rodziną na północ. Znów myślę o tym, czy w przyszłym roku dane mi będzie ściąć to nasze najstarsze drzewko.

A te święta miały być takie cudowne – bez żadnego zamartwiania się przyszłością. Tylko że wszystko mi o tym przypomina. Naprawdę nie wiem, jak się mam cieszyć tymi magicznymi chwilami, nie myśląc wciąż o tym, czy to aby nie ostatni raz tu jestem.

Odwiązuję dratwę, która trzymała worek. Zsuwam materiał. Korzenie właściwie prawie się nie okruszają. Wciąż tkwią w ziemi, którą przywiozłam razem z nimi.

– Będzie mi brakowało tych wypraw – wzdycha Heather.

Wkładam drzewko w dziurę, palcami poprawiam korzenie.

Heather przykłęka przy mnie i pomaga mi je zakopać.

– Dobrze, że mamy przed sobą choć ten ostatni sezon – mówi.

Nie mam nawet odwagi na nią spojrzeć. Rozrzucam jeszcze trochę ziemi pod drzewkiem. Przyklepuję ją dłonią, potem siadam obok. Podciągam kolana do piersi i patrzę w dół. U stóp ciemnego wzgórza lśnią światła miasteczka. Heather mieszka w nim całe życie. I choć jestem tu zawsze tylko na chwilę, i tak czuję się tak, jakbym też tu dorastała. Robię głęboki wydech.

– Co jest? – niepokoi się Heather.

Podnoszę na nią wzrok.

– Wcale nie wiem, czy go mamy.

Patrzy na mnie, marszcząc brwi, ale nic nie mówi.

– Nic mi jeszcze nie powiedzieli – zastrzegam. – Ale słyszałam, jak o tym rozmawiali. Chodzi o to, że przyjeżdżanie tutaj coraz mniej nam się opłaca.

Teraz to Heather patrzy w dół, na miasteczko.

Gdy zacznie się sezon świąteczny i wszyscy powłączają światełka, nawet z tej wysokości łatwo będzie dojrzeć nasze stoisko z choinkami. Jutro zapalimy wokół nich prostokąt białych jak płatki śniegu światełek. Lecz dziś miejsce, gdzie mieszkam, jest tylko czarną plamą koło długiej ulicy, po której szybko mkną światła samochodów.

– Będziemy wiedzieć po tym sezonie – opowiadam. – Wiem, że rodzicom bardzo zależy na tym, żeby tu przyjeżdżać. Choć z drugiej strony Rachel

i Elizabeth są zachwycone tą wizją, że zostaną w przyszłym roku na święta w Oregonie.

Heather siada przy mnie na ziemi.

– Jesteś jedną z moich najbliższych przyjaciółek, Sierra. Wiem, że Rachel i Elizabeth czują to samo, więc je rozumiem, ale jednak one mają cię prawie przez cały rok. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jakbyś nagle miała przestać być częścią moich świąt.

Naprawdę nie chcę tracić tego ostatniego sezonu z Heather. Zawsze wiedziałyśmy, że to będą nasze ostatnie święta. W przyszłym roku kończymy przecież szkołę i nieraz gadałyśmy o tym z takim przejęciem.

– Dobrze wiem, co czujesz – zapewniam ją. – To znaczy wiesz, jestem może trochę ciekawa, jak by wyglądały święta w domu. Jak to w ogóle jest nie musieć zaliczać wszystkiego online i robić te wszystkie grudniowe rzeczy w Oregonie. – Heather zadziera głowę i gapi się na gwiazdy. – Ale tak okropnie bym tęskniła za tobą i za tym wszystkim.

Widzę, że się uśmiecha.

– Może dla odmiany ja bym mogła przyjechać do ciebie na święta.

Kładę głowę na jej ramieniu. Nie patrzę już nawet na gwiazdy ani na miasteczko, tylko tak przed siebie.

Heather opiera swoją głowę o moją.

– Nie zamartwiajmy się tym teraz – mówi i milczymy tak przez kilka minut.

W końcu wracam do naszego drzewka. Oklepuję ziemię wokół, żeby ustabilizować cienki pień.

– Bez względu na wszystko postarajmy się, żeby ten rok był naprawdę wyjątkowy – proponuję.

Heather wstaje i patrzy w dół, na miasteczko. Podaje mi rękę i podciąga mnie do pionu. Staję przy niej, ale nie puszczam jej dłoni.

– Wiesz, co byłoby super? – mówi nagle. – Gdybyśmy tak zawiesiły tu światełka, żeby wszyscy z dołu mogli widzieć nasze choinki.

To piękna myśl. Mogłybyśmy w ten sposób uczcić naszą przyjaźń ze wszystkimi z miasteczka. Rozsuwałabym zasłony nad łóżkiem i patrzyła na te światła przed zaśnięciem.

– Ale sprawdziłam, jak tu wchodziłyśmy – dodaje Heather. – Na tej górze nie ma jakoś ani jednego gniazdka elektrycznego.

Parskam śmiechem.

– Przyroda w tym mieście to jest jakaś normalnie zafana.

Oczy mam jeszcze zamknięte, gdy słyszę, że rodzice zamykają za sobą drzwi przyczepy. Przewracam się na plecy i biorę głęboki wdech. Potrzebuję tej krótkiej chwili spokoju. Wiem, że gdy tylko wyjdę z łóżka, dni zaczną pędzić jak szalone.

W dzień otwarcia stoiska mama zawsze budzi się w pełnej gotowości. Ja jestem bardziej jak tata – teraz słyszę, jak powłóczy nogami w tych swoich buciskach, sunie zaspany do namiotu. Tam zacznie od włączenia wielkiego ekspresu do kawy i warnika do wody na herbatę. Potem ułoży torebeczki z herbatą i czekoladą w proszku, które mamy zawsze dla klientów. Ale oczywiście pierwsza porcja gorącej kawy trafi prosto do termosu taty.

Wyciągam długą poduchę spod głowy i przytulam ją mocno. Mama Heather najpierw startuje w konkursie na najbrzydszy sweter świąteczny (w ciągu ostatnich sześciu lat wygrała już dwa razy!), a potem odcina rękawy i robi z nich podłużne poduszki. Po prostu zaszywa jeden koniec, napycha rękaw watą i zaszywa drugi koniec. Jedna taka poducha zostaje u nich w rodzinie, a druga przypada mnie.

Patrzę na ostatnią poduszkę, którą od niej dostałam. Jest zielona jak mech, a na łokciu ma granatowy prostokąt. Na środku prostokąta widnieje latający renifer z fioletowym nosem. Wokół pada śnieg.

Przytulam mocno poduszkę i zamykam oczy. Słyszę, że ktoś podchodzi do przyczepy.

– Jest Sierra? – pyta Andrew.

– Nie – odpowiada tata.

– Aha – bąka Andrew. – Tak tylko myślałem, że razem szybciej uporamy się z robotą.

Ściskam mocniej poduszkę. Wcale nie chcę, żeby Andrew tam na mnie czatował.

– Sierra jeszcze nie wstała – mówi tata. – Ale jeśli masz akurat chwilkę, to może sprawdź, czy w toaletach jest dość mydła, dobrze?

Cały tata!



Stoję przed namiotem i chyba jeszcze trochę śpię, ale czas już witać pierwszych klientów. Z samochodu wysiada ojciec z córką. Dziewczynka może mieć z siedem lat. Od razu zaczynają się przyglądać choinkom, mężczyzna delikatnie kładzie dłoń na główce córki.

– Uwielbiam ten zapach – mówi ojciec.

Mała robi krok do przodu, ma oczy tak przejęte i słodkie.

– Pachnie świętami! – cieszy się.

„Pachnie świętami”. Tak wiele osób mówi to od razu przy wejściu. Jakby te słowa czekały całą drogę, aż tu do nas dojadą.

Spomiędzy dwóch jodeł szlachetnych wyłania się tata. Pewnie chciał się przemknąć do namiotu i dolać sobie kawy, wita się jednak z klientami i przypomina im, że w każdej chwili chętnie pomożemy w wyborze choinki. Przechodzi Andrew w znoszonej czapeczce baseballowej drużyny Buldogów. Na ramieniu ma owinięty szlauch. Zapewnia ojca i córeczkę, że z przyjemnością zanieśie ich choinkę do samochodu, gdy tylko się już zdecydują. Nawet na mnie nie patrzy. Sprytny ten mój tata. Z trudem powstrzymuję się od uśmiechu.

– Kasa gotowa? – sprawdza tata kontrolnie, dolewając sobie kawy.

Wchodzę za ladę, którą przyozdobiliśmy lśniącymi bombkami i świeżym ostrokrzewem.

– Już czeka na pierwszą sprzedaż.

Tata podaje mi mój ulubiony kubek – w pastelowe wzorki i paski wygląda jak wielka pisanka. To tak dla równowagi, bo przecież wszystko wokół jest w stylu bożonarodzeniowym. Nalewam sobie kawy, a potem rozrywam saszetkę z czekoladą w proszku i wsypuję. Na koniec odwijam jednego miętowego, czerwono-białego lizaka w kształcie laski Świętego Mikołaja i mieszam sobie nim kawę.

Tata opiera się o ladę, przygląda się towarowi wystawionemu w namiocie. Termosem wskazuje mi białe drzewka, które ledwo co dziś rano skończył spryskiwać sztucznym śniegiem.

– Jak myślisz? Na razie mamy ich dość?

Oblizuję roztapiającego się lizaka z czekoladowego proszku, a potem wrzucam z powrotem do kubka.

– Mamy ich mnóstwo – uspokajam go i biorę pierwszy łyk kawy. Tak,

smakuje jak tania miętowa mokka, ale jest pyszna.

W końcu w namiocie pojawia się tamten pierwszy ojciec z córką. Podchodzą do kasy.

Pochyliłam się w stronę dziewczynki.

– Czy znalazłaś takie drzewko, które ci się naprawdę podoba?

Radośnie kiwa główką. Gdy się uśmiecha, widzę uroczą szczerbę.

– Takie wielkie! – chwali się.

To pierwsza sprzedana w tym roku choinka, wspaniały moment. W głębi duszy mam nadzieję, że sprzedamy ich tak dużo, by opłacało nam się tu wrócić w przyszłym roku.

Ojciec podaje mi zawieszkę z choinki, żebym ich mogła skasować. Za jego plecami Andrew już wpycha drzewko pniem do przodu do wielkiej plastikowej tuby. Po drugiej stronie choinka wyłania się już opakowana w czerwono-białą siatkę. Tata chwytą pień i wyciąga drzewo otulone siatką. Teraz wszystkie gałęzie są złożone bezpiecznie do góry. Tata i Andrew odcinają siatkę i wiążą węzeł. Całość bardzo przypomina metodę mamy Heather na wypychanie rękawów swetra i robienie z nich poduszek – tylko efekt nie jest taki brzydki.

Moja kasa dzwoni, gdy wrzucam do niej pierwsze zarobione w tym sezonie pieniądze.

– Wesołych świąt! – życzę naszym pierwszym klientom.



W południe już mnie bolą nogi od ciągłego ładowania choinek i stania za kasą. Po kilku dniach się przyzwyczajają, ale dziś czuję wielką ulgę na widok Heather. Zwłaszcza że przyniosła nam resztki z wczorajszej uczy. Mama przegania nas z namiotu, każe spokojnie sięść w przyczepie i zjeść jak ludzie. Gdy tylko siadamy do stołu, Heather rzuca się odchylić zasłonę.

Unosi znacząco brwi.

– Trzeba dbać o to, żeby mieć miły widok.

Jak na zawołanie za oknem pojawiają się dwaj baseballiści. Niosą na ramionach wielką choinkę.

– Wstydu nie masz. – Odwijam kanapkę z indykiem i żurawiną. – Pamiętaj, że do świąt jesteś jeszcze z Devonem.

Podciąga nogi, żeby usiąść po turecku na ławie, zwanej też moim łóżkiem. Zabiera się do swojej kanapki.

– Dzwonił wczoraj wieczorem. Dwadzieścia minut opowiadał mi o tym, jak poszedł na pocztę.

– Czyli że nie jest najbardziej porywającym rozmówcą świata – wnioskuję. Wbijam zęby w kanapkę i niemal mlaszczę z zachwytu, świąteczne delicje po prostu rozpływają się w ustach.

– Gorzej. Opowiedział mi już tę historię tydzień temu i wierz mi, była równie bezsensowna. – Kiedy się śmieję, Heather wznosi ręce ku niebu. – Mówię poważnie! Co mnie obchodzi, czy jakaś gderliwa staruszka przed nim próbowała wysłać na Alaskę skrzynkę z ostrygami? No sama powiedz?!

– Czy wysłałabym ostrygi na Alaskę? Hm... – Pochylam się i chwytam ją za końcówki włosów. – Trochę jesteś wredna.

– Ja?! Wredna? To ty rzuciłaś faceta, bo *za bardzo* mu się podobałaś. To ty jesteś łamaczką serc. Nie, nie jestem wredna. Jestem szczerą.

– Mówisz o Masonie? To co innego. On naprawdę przesadzał! – bronię się. – Już planował, że przyjedzie tu pociągiem, żeby mnie odwiedzić w czasie świąt. A to było na początku lata i chodziliśmy ze sobą ledwie kilka tygodni.

– Uważam, że to dość urocze – oponuje Heather. – Chłopak już wtedy wiedział, że nie wytrzyma bez ciebie przez cały miesiąc. Ja w każdym razie chętnie zrobiłabym sobie miesiąc przerwy, żeby nie słuchać tych opowieści Devona.

Kiedy Heather zaczęła się umawiać z Devonem, była taka zakochana. A to było zaledwie parę miesięcy temu.

– Tak czy siak właśnie dlatego musimy chodzić na podwójne randki, kiedy tu jesteś – peroruje Heather. – Nie musisz się zaraz zakochiwać, możesz ot tak się umówić z kimś bez zobowiązań.

– Dobrze wiedzieć – kpię. – Dzięki.

– Przynajmniej miałabym wtedy z kim pogadać – jęczy Heather.

– Mogę wychodzić z wami jako piąte koło u wozu – proponuję. – Jak chcesz, to będę mu wchodzić w słowo za każdym razem, jak wspomni o ostrygach. Ale mam już dość stresu w tym roku, naprawdę wolę sobie nie dodawać jeszcze jakichś spraw sercowych.

Przez okno widzę, że kilka choinek dalej stoi Andrew z jakimś innym chłopakiem z drużyny. Patrzą na nas, coś mówią i parszczą śmiechem, ale nie odwracają wzroku, gdy widzą, że ich zauważamy.

– Patrzą, jak jemy? – dziwię się. – To żałosne.

Andrew ogląda się przez ramię, żeby się upewnić, że nie ma nigdzie w pobliżu swojego taty. Potem do nas macha. Nie mam czasu się zastanowić, czy mu odmachać, słyszę, że tata krzyczy na nich, żeby wracali do pracy. Korzystam z okazji i zasłaniam okno.

Heather unosi brwi.

– No...? Bo wiesz, on nadal wygląda na zainteresowanego.

Kręcę głową.

– Słuchaj, nie ma żadnego znaczenia, jaki to facet. Przecież widzisz, że tata nie spuszcza ze mnie oka. Tylko narobiłabym sobie kłopotów. Nie wiem, czy w ogóle istnieje jakiś chłopak wart takiego zachodu. A nawet jeśli, to w każdym razie na pewno nie stoi pod moim oknem.

Heather bębni palcami o blat.

– A więc musimy znaleźć kogoś, kto tu nie pracuje... kogoś, kogo twój tata nie może skazać na mycie toalet.

– Głucha jesteś czy co? Przecież mówiłam ci już, że nie chcę się tu z nikim spotykać!

– Wcale nie jestem głucha – oburza się Heather. – Po prostu wiem lepiej.

I wszystko jasne.

– Dobra, założmy czysto teoretycznie, że mi się ktoś podoba, choć tak nie jest. Sama pomyśl, jakiego typu faceta przyciągnie dziewczyna, o której będzie wiedział, że za miesiąc zniknie z jego życia?

– Oj tam – bagatelizuje mój argument Heather. – Nie musisz przecież tak od razu z tym wyskakiwać. Poza tym to przecież jasne, że trzeba będzie uwzględnić tę krótkoterminowość, a z drugiej strony wiesz, ile ja znam par, które nie wytrzymały ze sobą nawet miesiąca? Jednym słowem, zupełnie się tym nie przejmuj. Uznajmy, że to będzie taki świąteczny romans.

– „Świąteczny romans”? Posłuchaj sama siebie! – Przewracam oczami. – Zdecydowanie powinnaś ograniczyć Hallmark Channel o tej porze roku.

– Pomyśl tylko! Dzięki jasno określonej dacie ważności będzie to zupełnie bezstresowy związek. I będziesz przynajmniej miała co opowiadać przyjaciółkom, jak wrócisz do domu.

Widzę już, że z nią nie wygram. Heather nie odpuści. Jest chyba jeszcze bardziej uparta niż Rachel, jeśli to w ogóle możliwe. Jedyne wyjście to odsuwać sprawę tak długo, że już będzie za późno, żeby zrealizować ten jej durnowaty plan.

– Dobrze, pomyślę o tym – obiecuję więc.



Z dworu dobiega nas znajomy śmiech, odsłaniam więc okno. To dwie panie z Towarzystwa Przyjaciół Miasta zmierzają z naręczem plakatów w stronę namiotu.

Zawijam sobie resztę kanapki na potem i ściskam Heather na pożegnanie.

– Będę wyglądać tego mojego świątecznego Romea, ale na razie muszę wracać do pracy.

Heather też zawija swoją kanapkę i wrzuca ją z powrotem do torby z jedzeniem. Wychodzi ze mną z przyczepy i kieruje się w stronę swojego samochodu.

– Ja też! – woła jeszcze za mną.

Panie z Towarzystwa Przyjaciół rozmawiają z mamą przy kasie. Starsza kobieta z długim siwym warkoczem trzyma plakat, na którym widać śmieciarkę owiniętą bożonarodzeniowymi lampkami.

– Gdyby mogli państwo porozwieszać kilka tych plakatów, byłibyśmy bardzo wdzięczni. W tym roku będziemy mieć w miasteczku jeszcze większą paradę niż w zeszłym! Nie chcielibyśmy, żeby ktokolwiek ją przegapił.

– Oczywiście – zapewnia je mama, a ta z warkoczem kładzie na ladzie cztery plakaty. – Sierra powiesi je jeszcze dziś po południu.

Sięgam pod ladę po zszywacz tapicerski. Wychodząc z namiotu, bardzo staram się nie wybuchnąć śmiechem. Naprawdę nie wiem, czy obwieszona świecidełkami śmieciara przyciągnie tłumy. Z drugiej strony, niewątpliwie buduje tę przyjemną atmosferę świąt w małym miasteczku.

Kiedy byłam mała, rodzice Heather zabrali nas kilka razy na tę paradę, i muszę przyznać, że mam do niej sentyment. Teraz zwykle oglądam tylko parady w telewizji, a więc te z Nowego Jorku i Los Angeles, na których raczej nie ma szans zobaczyć Towarzystwa Właścicieli Mopsów albo Przyjaciół Biblioteki, albo traktorów puszczających kolędy w wersji country. Choć pewnie wszystko to można też oglądać w moim miasteczku w Oregonie.

Przykładam ostatni plakat do drewnianego słupka przy wejściu na parking, na którym zamocowane jest światło. Wbijam po zszywce w górnych rogach. Wyglądam właśnie dół plakatu, gdy słyszę głos Andrew:

– Pomóc ci z tym?

Od razu się spinam.

– Nie, dzięki.

Wbijam jeszcze dwie zszywki w dolne rogi. Potem odsuwam się i trochę

dłużej przyglądam mojemu dziełu, tak naprawdę czekając, aż Andrew sobie pójdzie. Lecz kiedy w końcu się odwracam, widzę, że wcale nie mówił do mnie, tylko do niesamowicie przystojnego chłopaka mniej więcej w naszym wieku i ciut wyższego od niego. Przystojniak trzyma w jednej ręce choinkę, drugą odgarnia sobie ciemne włosy z oczu.

– Spoko, poradzę sobie – mówi, więc Andrew odchodzi.

Chłopak zauważa mnie i uśmiecha się. Na jego lewym policzku pojawia się uroczy dołeczek. Czuję, jak się natychmiast rumienię, spuszcza więc wzrok. Biorę głęboki wdech, żeby opanować nagłe motylki w brzuchu i przypomnieć sobie, że przecież uroczy uśmiech nic jeszcze nie znaczy.

– Pracujesz tu? – Głos ma cichy, taki trochę jak ze starych piosenek, które puszczali mi dziadkowie, gdy do nich przyjeżdżałam.

Podnoszę oczy i bardzo się staram zachowywać profesjonalnie.

– Czy znalazłeś wszystko, czego szukałeś?

Wciąż się uśmiecha i nadal ma ten dołeczek. Zakładam sobie włosy za uszy i postanawiam nie odwracać wzroku. Muszę się bardzo pilnować, żeby nie zrobić kroku w jego stronę.

– Tak – mówi. – Dzięki.

Patrzy na mnie tak intensywnie, że zupełnie wytrąca mnie tym z równowagi. Odchrząkuję i jednak odwracam wzrok, a gdy znów patrzę w jego stronę, on już odchodzi z choinką na ramieniu, jakby była lekka jak piórko.

– Ładny odcień czerwieni, Sierro.

Tuż przy drewnianym słupku stoi Andrew. Gapi się na mnie i kręci głową. Mam ochotę mu się jakoś odgryźć, ale jeszcze nie odzyskałam mowy.

– Wiesz, że dołeczki to tak naprawdę rodzaj kalectwa? – ciągnie. – To tylko oznacza, że ten gościu ma na twarzy wadliwy mięsień. Dość obrzydliwe, jak się tak nad tym zastanowić.

Przenoszę ciężar ciała na jedną nogę i posyłam mu spojrzenie, które ma mówić: „Skończyłeś gadkę?”. Może i wypada mi ono wredniej, niż zamierzałam, ale z drugiej strony temu facetowi trzeba by chyba wbić młotkiem do głowy, że nie jestem nim zainteresowana i żadne sceny zazdrości nic tu nie pomogą.

Zanoszę zszywacz z powrotem do namiotu i czekam. Może chłopak z dołeczkiem wróci po łańcuchy choinkowe albo po jedną z naszych konewek z długim dzióbkiem. A może potrzebuje światełek albo jemiół?

Czuję się jak idiotka. Przecież ledwo co wyłożyłam Heather, dlaczego podczas mojego krótkiego pobytu w Kalifornii nie powinnam angażować się w żaden związek. I to były, zdaje się, bardzo rozsądne powody. I nic się nie zmieniło w ciągu ostatnich dziesięciu minut. Przyjechałam tu na miesiąc. Na jeden miesiąc! Nie mam czasu się angażować. Nie mam serca się angażować.

A jednak nie potrafię przestać o tym myśleć. Może nie zaszkodziłoby kilka randek bez zobowiązań. Może gdybym wiedziała, że będę z jakimś chłopakiem tylko kilka tygodni, a potem koniec, nie byłabym taka wybredna, jaka zdaniem moich przyjaciółek jestem. A jeśli tenże chłopak będzie akurat superprzystojny i będzie miał uroczy dołeczek, cóż, tym lepiej dla niego! I dla mnie.

Tego samego popołudnia wysłałam do Heather esemesa: **To na czym właściwie miałyby polegać taki świąteczny romans?**

Słońce ledwo wstało, ale gdy tylko się budzę, już czekają na mnie dwa esemesy.

Pierwszy jest od Rachel. Narzeka, ile pracy kosztuje ją zaplanowanie balu zimowego, gdy wszyscy normalni ludzie zakuwają do egzaminów albo latają po sklepach. Obie wiemy, że gdybym była teraz w Oregonie, z łatwością dałabym się namówić i rzuciła jej pomagać, ale dzieli nas prawie półtora tysiąca kilometrów, więc raczej za wiele jej nie pomogę. Na szczęście przynajmniej łączenie pracy z odrabianiem lekcji nie jest zbyt trudne. Nauczyciele wysyłają mi notatki, a ja wykonuję zadania, gdy tylko mamy jakiś przestój z choinkami i mogę przysiąść na chwilę do komputera. Rozmawianie co tydzień z Monsieur Cappeau nie należy może do szczególnych przyjemności, ale jeśli będę się trzymała planu, przynajmniej nie wyjdę z wprawy przed ustnym z francuskiego.

W łóżku czytam jeszcze drugiego esemesa – ten jest od Heather: **Błagam, powiedz, że naprawdę chcesz sobie znaleźć chłopaka na święta. Devon cały wieczór gadał o swojej wymarzonej drużynie futbolowej. Ratunku! Już się nie mogę doczekać, kiedy będzie musiał sobie poszukać wymarzonej dziewczyny.**

Wstaję i odpisuję: **Wczoraj kupił u nas choinkę przeuroczy typek.**

Jestem już w drodze pod prysznic, gdy odpisuje: **Dawaj więcej szczegółów!**

Ale nim mam czas odwiązać tasiemkę od piżamy, dostaję kolejnego esemesa: **Albo lepiej nie! Opowiesz mi wszystko, jak przywiozę Ci coś do jedzenia.**

Po prysznicu wkładam szarą bluzę i džinsy. Czeszę się w koński ogon i wyciągam kilka kosmyków, żeby wisiały luzem przy twarzy. Robię lekki makijaż i wychodzę na poranny ziąb. W namiocie mama już stoi za ladą. Wsypuje monety do kasy. Na mój widok wskazuje mi mój wielkanocny kubek, który stoi na blacie z miętową laską w środku. Nad nim unosi się smakowita para.

– Dawno wstałaś? – pytam.

Dmucha lekko w swój kubek.

– Nie każdy daje radę spać, jak mu za ścianą cały czas pikają esemesy.

– Oj. Przepraszam!

Wchodzi tata i całuje każdą z nas w policzek.

– Dzień dobry.

– Właśnie rozmawiamy z Sierrą o jej esemesowaniu – mówi mama. – Co prawda w jej wieku nieprzespane noce nie odbijają się tak jeszcze na urodzie, ale...

Tata całuje ją w usta.

– W twoim wieku też nic nie jest w stanie odebrać ci urody, kochanie.

Mama parska śmiechem.

– A skąd niby ta myśl, że mówię o sobie?

Tata drapie się po siwiejącym zaroście.

– Przecież zgadzamy się, że nie powinna tracić kontaktu z przyjaciółkami z domu.

Postanawiam nie wspominać o tym, że jeden z esemesów był od Heather.

– To prawda – zgadza się mama, choć posyła mi przy tym znaczące spojrzenie. – Ale może dałoby się im zasugerować, żeby czasem dłużej pospały.

Myślę o Rachel i Elizabeth. Pewnie właśnie wiszą na telefonie, planując, jak spędzić resztę tego długiego weekendu.

– A skoro już mowa o domu – odważam się zagaić – to może powiedzielibyście mi wreszcie, czy przyjedziemy tu w przyszłym roku czy już raczej nie.

Mama mruga i aż cofa głowę. Patrzy na tatę.

Tata pije łąpczywie kawę z termosu.

– Podśłuchiwało się rodziców, co? – rzuca w końcu.

Zawijam sobie kosmyk włosów na palcu.

– Nie podśłuchiwałam. Niechący usłyszałam – wyjaśniam. – To jak bardzo mam się martwić?

Tata bierze jeszcze jeden łyk i dopiero wtedy odpowiada:

– W ogóle nie ma się co martwić o farmę – mówi. – Ludzie zawsze będą chcieli mieć choinki, nawet jeśli będą je kupować w supermarketach. Ale być może nie będziemy ich już sami sprzedawać.

Mama dotyka mojego ramienia z niepewną miną.

– Zrobimy wszystko, żeby móc dalej prowadzić to stoisko.

– Tu nie chodzi tylko o mnie – tłumaczę im. – Oczywiście chciałabym,

żeby stoisko nadal było, także z osobistych powodów, ale przecież nasza rodzina sprzedaje choinki, odkąd tylko dziadek założył ten biznes. Tu się poznaliście. To wasze życie.

Tata powoli kiwa głową, ale potem wzrusza ramionami.

– Tak naprawdę nasze życie to farma. A ta praca tu... mimo że pracujemy od rana do nocy, zawsze traktowałem to jako rodzaj nagrody. Cudownie jest widzieć, jak ludzie się cieszą, gdy znajdą swoją wymarzoną choinkę. Trudno będzie z tego zrezygnować.

Podziwiam ich za to, że zawsze traktowali to jako coś więcej niż tylko pracę.

– I wszystko to dalej będzie się działo z naszymi drzewkami – ciągnie tata.

– Gdzieś tam, tylko że...

Tylko że my już tego nie zobaczymy.

Mama puszcza moje ramię i obie patrzymy na tatę. On to najbardziej przeżyje.

– Od kilku lat na tym stoisku ledwo wychodzimy na zero – mówi dalej tata. – Właściwie to w zeszłym roku, jeśli wziąć pod uwagę wszystkie bonusy, które wypłaciłem pracownikom, jeszcze dorzuciliśmy do interesu. Nadrobiliśmy te straty, sprzedając choinki hurtowo, i chyba na tym powinniśmy się skupić. Wujek Bruce właśnie analizuje teraz takie rozwiązanie. – Pije jeszcze trochę kawy. – Naprawdę nie wiem, ile jeszcze wytrzymamy, nim trzeba będzie w końcu przyznać, że... – Urywa. Chyba nie potrafi, a może nie chce powiedzieć tego na głos.

– Czyli to koniec – podsumowuję. – To są nasze ostatnie święta w Kalifornii.

Mama patrzy na mnie z czułością i troską.

– Nie podjęliśmy jeszcze decyzji, Sierra. Ale być może to dobry pomysł, żeby postarać się, by te święta były wyjątkowe.



Heather wkracza do przyczepy z dwiema kolejnymi torbami resztek ze Święta Dziękczynienia. Oczy jej lśnią i wiem, że liczy na zwierzenia i więcej szczegółów na temat tego chłopaka, który był tu wczoraj. Za nią wchodzi Devon. Nie odrywa wzroku od komórki, ale nawet kiedy ma spuszczoną głowę, widzę przecież, że jest przystojny.

– Sierra, to jest Devon. Devon, to... Devon! Mówię do ciebie!

Devon podnosi wzrok i uśmiecha się do mnie. Krótkie brązowe włosy okalają okrągłe policzki, a spojrzenie ma tak spokojne, że od razu go lubię.

– Miło mi cię wreszcie poznać – mówię.

– I nawzajem – odpowiada. Patrzy mi długo i szczerze w oczy, a potem znów skupia się na komórce.

Heather podaje mu jedną z toreb z jedzeniem.

– Kochanie, zanieś to chłopakom na dworze. I pomóż im pakować choinki czy coś.

Devon przejmuje od niej torbę, nie odrywając wzroku od telefonu, i wychodzi z przyczepy. Heather siada naprzeciwko mnie przy stole, a ja przesuwam komputer na poduszkę obok siebie.

– Rozumiem, że rodziców nie było akurat w domu, kiedy Devon po ciebie przyjechał – rzucam. Heather patrzy na mnie zdezorientowana. Wskazuję jej włosy. – Trochę masz je tam z tyłu potargane.

Robi się czerwona na twarzy i rozpaczliwie poprawia fryzurę.

– No, tak... hm...

– Więc jak tam się wam układa z panem Monosylabicznym?

– Fajne słowo – przyznaje. – Jeśli mam wybierać między słuchaniem go a całowaniem, to uważam, że jego usta nadają się o wiele bardziej do tego drugiego.

Parskam śmiechem.

– Wiem, wiem, jestem okropnym człowiekiem – mamrocze Heather. – Ale! Opowiadaj o tym chłopaku!

– Nie mam pojęcia kto to. Właściwie nie mam wiele do powiedzenia.

– Jak wygląda? – Heather otwiera sobie pudełko z sałatką z indyka, orzechów włoskich i selera naciowego. Jej rodzina wciąż próbuje rozprawić się jakoś z pozostałościami po uczcie sprzed kilku dni.

– Widziałam go tylko przez chwilę – opowiadam. – Ale jest chyba mniej więcej w naszym wieku. I ma taki dołeczek...

Heather pochyła się do przodu, mruży oczy.

– Ciemne włosy? Zabójczy uśmiech?

A skąd ona to wie?

Heather wyciąga komórkę, wpisuje coś i nagle pokazuje mi zdjęcie tego właśnie chłopaka.

– Ten? – upewnia się. Nie ma zadowolonej miny.

– Skąd wiedziałaś?

– Bo zaczęłaś opis od tego dołączka. To mógł być tylko on. – Kręci głową. – Poza tym wiadomo, prawo Murphy’ego. Przykro mi, Sierro, ale nie. Nie Caleb.

A więc ma na imię Caleb.

– Dlaczego nie?

Odchyła się, kładzie opuszki palców na krawędzi stołu.

– To po prostu nie jest dobry pomysł, jasne? Nie martw się, znajdziemy kogoś innego.

Przecież tak po prostu tego nie odpuszczę i chyba ona o tym wie.

– Znam tylko plotki – zaczyna. – Ale obawiam się, że jest w nich dużo prawdy. W każdym razie coś tam na pewno było.

– Co było? – Heather nigdy nie mówi tak dziwnie o nikim. Zawsze jest taka bezpośrednia. – Zaczynam się niepokoić.

Kręci głową.

– Nie chce mi się nawet o tym gadać. Nie znoszę plotkować. W każdym razie na pewno nie będę chodzić z nim na podwójne randki.

– Mów.

– To tylko plotki. Nie wiem nic na pewno. – Patrzy mi prosto w oczy, ale uparcie milczę. Chcę, żeby już to powiedziała. – Ludzie mówią, że zaatakował siostrę. Nożem.

– Co?! – Robi mi się słabo. – Ten chłopak to... Czy ona żyje?

Heather wybuchą śmiechem, ale nie wiem, czy śmieje się z mojej zszokowanej miny, czy może od początku miał to być tylko żart. Serce mi wali jak szalone, ale w końcu też zaczynam się śmiać.

– Nie, nie zabił jej przecież – uspokaja mnie. – Z tego, co wiem, nic jej nie jest.

Czyli to jednak nie był żart.

– Tylko że wyprowadziła się z naszego miasteczka – wyjaśnia Heather. – Nie wiem, czy z powodu tego ataku, ale ludzie tak mówią.

Kładę się na łóżku i zakrywam twarz ręką.

– No to ładnie.

Heather wyciąga rękę pod stołem i klepie mnie po nodze.

– Znajdziemy ci kogoś innego.

Chcę jej powiedzieć, że nie warto. Chcę jej powiedzieć, że naprawdę nie mam już jednak ochoty na ten cały świąteczny romans, szczególnie skoro w ogóle nie znam się na ludziach. Jak mógł mi się spodobać typ, który rzucił



się na siostrę z nożem?

Kończymy sałatkę i wychodzimy na dwór znaleźć Devona. Powinnam już wracać do pracy. Devon siedzi za namiotem przy stole piknikowym. Razem z grupką chłopaków zajadają resztki przyniesione przez Heather. Do Andrew przytuła się śliczna dziewczyna, której nie znam.

– Cześć, jestem Sierra – przedstawiam się.

– A, córka właścicieli! – Wyciąga w moją stronę dłoń z idealnie pomalowanymi paznokciami. – Alyssa. Wpadłam tylko zjeść lunch z Andrew.

Ściskam jej dłoń i przenoszę wzrok na Andrew, który strzelił właśnie buraka.

– My nie... No wiesz... – bąka.

Dziewczynie nie udaje się ukryć rozczarowania. Kładzie rękę na sercu i patrzy na Andrew.

– Czy wy jesteście...?

– Nie! – zapewniam ją pośpiesznie.

Pojęcia nie mam, w co gra Andrew. Jeśli jest z nią, to dlaczego chce, żebym myślała, że to nic poważnego? Co mnie to w ogóle obchodzi? Prawdę powiedziawszy, już bym wołała, żeby to było coś poważnego. Może Alyssa wybije mu wreszcie z głowy te dziwne zachowania względem mnie.

Odwracam się w stronę Heather.

– Widzimy się później?

– Możemy wpaść po ciebie, jak zamkniecie stoisko – proponuje. – Może gdzieś razem wyjdziemy? Poznać ludzi. Albo ludzi. Jeden ci starczy, nie? –

Heather nie odpuszcza. I bynajmniej nie jest w tym dyskretna. – Masz miesiąc, Sierra. – Unosi znacząco brew. – W ciągu miesiąca wiele się może zdarzyć.

– Może nie dziś – mamrocę. – Kiedy indziej.

Przez następne kilka dni nie mogę przestać myśleć o Calebie.

W tygodniu Heather zwykle wpada do mnie w drodze ze szkoły. Czasami stoi ze mną za ladą i pomaga mi z młodszymi dziećmi – kiedy ja pobieram należność od rodziców, ona zajmuje się maluchami.

– Wczoraj zapytałam Devona, co by chciał dostać na święta – mówi, stojąc przy ekspresie do kawy. Ostrożnie wrzuca sobie kolejne malutkie pianki cukrowe do gorącej czekolady.

– I co powiedział?

– Czekaj, liczę. – Po osiemnastej piance kosztuje napoju. – Wzruszył ramionami. I na tym skończyła się nasza rozmowa. Uznałam, że to może nawet lepiej, bo co by było, gdyby chciał coś drogiego? Wtedy, gdyby mnie spytał, ja też musiałabym poprosić o coś drogiego.

– A to by było słabe, skoro...

– Nie możemy sobie przecież nakupować jakichś superprezentów, skoro właśnie zamierzam z nim zerwać!

– Możecie sobie coś samemu zrobić – podpowiadam. – Wiesz, coś małego i niedrogiego.

– Własnoręcznie? W co włożymy dużo serca? To by było jeszcze gorsze!

– Podchodzi do jednej z choinek i delikatnie dotyka sztucznego śniegu. – Niby jak bym miała zerwać z kimś, kto mi właśnie wyrzeźbił jakąś drewnianą figurkę czy coś?

– To się robi strasznie skomplikowane – zauważam. Spod lady wyciągam karton z jemiołą i stawiam go na stołku. – Może jednak powinnaś zerwać już teraz. Tak czy siak nie obejdzie się bez bólu.

– Nie, przez święta chcę jeszcze go sobie zatrzymać. – Pijąc czekoladę, podchodzi z drugiej strony do lady. – Ale na pewno czas się zabrać do szukania kogoś dla ciebie. Już niedługo parada, przecież musimy iść wtedy na tę podwójną randkę.

Zaczynam wykladać nową jemiołę.

– Tak sobie myślę, że ten cały świąteczny romans to jednak nie dla mnie. Przyznaję, że jak zobaczyłam Caleba, przez chwilę chodziło mi to po głowie,

ale wygląda na to, że pierwsze wrażenie nie należy do moich mocnych stron.

Heather patrzy mi prosto w oczy i wskazuje głową parking.

– Pamiętaj o tym, co właśnie powiedziałaś, dobrze? Bo właśnie idzie w naszą stronę.

Czuję, jak wytrzeszczam oczy.

Robi krok w tył i daje mi znak ręką, żebym za nią poszła. Obchodzę ladę. Heather wskazuje mi starego fioletowego pikapa. Samochód jest pusty.

Jeśli to rzeczywiście jego auto, to co on tu niby robi? Przecież już kupił choinkę. Z tyłu samochodu widzę naklejkę jakiejś szkoły, o której w życiu nie słyszałam.

– Gdzie jest Sagebrush Junior High? – pytam.

Heather wzrusza ramionami, zza ucha wypada jej loczek.

W miasteczku jest tylko sześć podstawówek. Co roku chodziłam przez miesiąc do tej, do której normalnie chodzi Heather. Po tej szkole wszyscy idą do jednego większego gimnazjum, do którego też chodziłam, a potem do liceum. To na tym poziomie już robiłam prace domowe online.

Heather patrzy przez gałęzie.

– Oj! Idzie tu. Kurczę, rzeczywiście jest boski.

– Wiem – odpowiadam szeptem. Nie mam odwagi spojrzeć w tę stronę, patrzę więc uważnie na własny but, który wbija się w ziemię.

Heather dotyka mojego łokcia i szepcze:

– Orientuj się.

I nim mam czas zaprotestować, moja przyjaciółka czmycha w przeciwną stronę.

Kątem oka widzę, że pomiędzy choinek ktoś się wyłania. Caleb idzie prosto w moją stronę. Uśmiecha się tym swoim olśniewającym uśmiechem, że już o dołączku nie wspomnę.

– Czy to ty masz na imię Sierra?

Zdobywam się na skinienie głową.

– Czyli to o tobie gadają wszyscy pracownicy.

– Słucham?

Parska śmiechem.

– Myślałem, że może pracuje tu jeszcze jakaś inna dziewczyna.

– Nie, tylko ja – wyjaśniam. – Moi rodzice są właścicielami. Więc tu pracuję.

– Teraz rozumiem, dlaczego boją się do ciebie odezwać – stwierdza, a gdy

nic na to nie mówię, ciągnie: – Byłem tu kilka dni temu. Pytałaś, czy możesz mi jakoś pomóc.

Nie bardzo wiem, co mam na to powiedzieć. Przeszępuje z nogi na nogę. Uparcie milczę, a on znów przenosi ciężar ciała. Chce mi się śmiać. Dobrze wiedzieć, że nie tylko ja się denerwuję.

Za jego plecami widzę dwóch baseballistów. Zamiatają igły między choinkami.

Caleb staje obok mnie i też na nich chwilę patrzy. Spinam się cała i bardzo się staram nie odsunąć.

– Twój tata naprawdę każe im myć ubikacje, jak tylko z tobą zagadają?

– Nawet jak tylko podejrzewa, że myślą o tym, żeby ze mną zagadać.

– Wasze toalety to pewnie lśnią czystością – rzuca.

To najdziwniejszy tekst na podryw, jaki w życiu słyszałam. Jeśli to w ogóle jest podryw.

– To w czym mogę pomóc? – pytam. – Jak rozumiem, masz już choinkę, ale...

– Czyli jednak mnie pamiętasz. – Cieszy się trochę za bardzo.

– Odpowiadam za inwentaryzację – wyjaśniam, starając się, by brzmiało to bardzo profesjonalnie. – Jestem dobra w tym, co robię.

– Rozumiem. – Powoli kiwa głową. – To co to za drzewko kupiłem?

– Jodłę szlachetną. – Pojęcia nie mam, czy trafiłam.

Wygląda, jakby był pod wrażeniem.

Stają za ladą, dzięki czemu teraz dzieli nas kasa i jemioła.

– W czym jeszcze mogę pomóc?

Podaje mi zawieszkę.

– Ta jest większa niż poprzednia, więc kilku chłopaków już mi ją ładuje na pikapa.

Łapię się na tym, że gapię się w jego oczy odrobinę za długo, odrywam więc wzrok i skupiam się na najbliższej półce.

– Czy chcesz może dopasować do niej świąteczny wieniec? Są świeże. A może jakieś ozdoby? – proponuję, choć w głębi duszy marzę o tym, żeby zapłacił za drzewko i sobie poszedł. To napięcie między nami jest nie do wytrzymania. Tylko że jednocześnie chciałabym, żeby został.

Przez kilka sekund nic nie mówi, więc muszę znów na niego spojrzeć. Patrzy na wszystko w namiocie po kolei. Może potrzebuje jeszcze czegoś. A może szuka pretekstu, żeby dłużej tu zostać. W końcu zatrzymuje wzrok

na stoisku z napojami i uśmiecha się szeroko.

– Chętnie napiłbym się gorącej czekolady.

Podchodzi do stoiska, bierze sobie papierowy kubeczek. Kawalek dalej, zza przyprószonej sztucznym śniegiem choinki, wyłania się Heather. Sączy swoją czekoladę. Posyła mi krytyczne spojrzenie, kręci głową i bezgłośnie mówi: „Zły pomysł”. A potem chowa się cicho z powrotem między gałęzie.

Tymczasem Caleb odwija sobie bożonarodzeniowego lizaka i zaczyna nim mieszać czekoladę. Puszczając lizaka, a on kręci się jeszcze chwilę w kubku.

– Też tak robię – przyznaję.

– A to można inaczej?

– To mój sposób na tanią miętową mokrą – wyjaśniam.

Przekręca głowę i patrzy zdumiony na swój kubek.

– No wiesz! Jak tak to nazwiesz, to brzmi dość obraźliwie. – Przekłada sobie kubek do drugiej ręki i podaje mi dłoń ponad ladą. – Bardzo miło cię poznać, Sierra.

Patrzę na jego rękę, potem na niego i waham się przez ułamek sekundy. Wystarczy ten moment, a on już się lekko garbi. Przecież nie jestem tak głupia, żeby skreślać kogoś tylko ze względu na plotkę, której nawet Heather nie była pewna. Ściskam więc jego dłoń.

– A ty jesteś Caleb, prawda?

Jego uśmiech znika.

– Więc już o mnie słyszałaś.

Zamieram. Nawet jeśli nie zamierzam przeżyć z nim świątecznego romansu, nie zasługuje przecież na to, by mieć poczucie, że wszyscy go obgadują.

– Chyba któryś z chłopaków wołał do ciebie po imieniu, jak ci pomagali – kłamię.

Uśmiecha się, ale jego dołeczek już się nie pojawia.

– To ile płacę?

Wystawiam rachunek. Wyciąga portfel pełen banknotów i podaje mi dwie dwudziestki i pełno jednodolarówek.

– Nie wymieniłem wczorajszych napiwków – tłumaczy się i rumieni.

Znów widzę dołeczek w jego policzku.

Resztką siły woli zmuszam się do tego, żeby nie spytać, gdzie pracuje. Przecież nie zamierzam wcale niechcący tam zajść.

– Zawsze nam się przydadzą drobne – zapewniam go. Przeliczam

banknoty, wydaję mu pięćdziesiąt centów reszty.

Chowa monety do kieszeni, rumieniec znika z jego twarzy, wraca pewność siebie.

– Może jeszcze się zobaczymy przed świętami.

– Wiesz, gdzie mnie możesz znaleźć – strzelam.

Nie wiem, czy to wypadło, jakbym go jakoś zachęcała, czy jak czyste stwierdzenia faktu. I czy ja w ogóle chcę się z nim jeszcze zobaczyć? Ta cała jego historia to nie moja sprawa. A jednak nie mogę przestać myśleć o tym, jak się odruchowo skulił, gdy nie od razu zareagowałam na jego wyciągniętą dłoń.

Wychodzi z namiotu, wsuwając portfel do tylnej kieszeni. Odczekuję chwilę, a potem przekradam się bliżej wyjścia, żeby zobaczyć, jak odjeżdża. Podchodzi do samochodu, podaje kilka dolarów jednemu z chłopaków.

Przy mnie pojawia się Heather i razem patrzymy, jak Caleb i jeden z naszych pracowników razem zamykają klapę pikapa.

– Na moje oko to obydwójce byliście okropnie spięci – stwierdza Heather.  
– Przepraszam, Sierra. Nie powinnam ci była nic o nim mówić.

– Nie, coś tam jednak jest – odpowiadam. – Nie wiem, ile prawdy jest w tych plotkach, ale to na pewno jest facet po przejściach.

Patrzy na mnie, znów unosi brew, jak to ona.

– On ci się nadal podoba, co? Ty naprawdę zamierzasz się zaangażować.

Parskam śmiechem i wracam za ladę.

– Straszne z niego ciacho. I nic poza tym. To nie wystarczy, żebym się zaraz angażowała.

– Bardzo to rozsądne z twojej strony – pokpiwa Heather. – Tylko że znam cię od wieków i nigdy jeszcze nie widziałam, żebyś tak się spięła przy jakimś facecie.

– On też się przecież spiął!

– Może przez chwilę – przyznaje Heather. – Ale ty go bijesz na głowę.



Przez telefon opisuję Monsieur Cappeau po francusku cały mój tydzień, a potem mama pozwala mi wyjść wcześniej z pracy. Jak zawsze Heather zaplanowała maraton filmowy z udziałem jej ukochanego gwiazdora (co roku innego) i olbrzymią misą popcornu. Tata mówi, że mogę wziąć jego pikapa, ale wolę się przejść. W Oregonie biorę jego kluczyki, gdy tylko mogę, żeby

uniknąć zimna, tu jednak nawet pod koniec listopada jest jeszcze dość ładnie.

Idę obok jedyne go poza naszym prywatnego stoiska z choinkami w mieście. Ich biało-czerwony namiot i choinki zajmują trzy rzędy parkingu przed sklepem. Zawsze staram się zajrzeć do nich kilka razy w sezonie, żeby pogadać. Tak jak moi rodzice, Hopperowie prawie cały czas są na miejscu, gdy już zacznie się ruch.

Pan Hopper ma ręce schowane w gałęziach choinki. Pień niesie klient. Wychodzą właśnie na parking. Przeciskam się między samochodami, żeby się przywitać z właścicielem stoiska. Jeszcze się nie widzieliśmy w tym sezonie. Jego klient wrzuca właśnie pień na naczepę fioletowego pikapa.

Caleb?

Pan Hopper wpycha drzewko głębiej. Odwraca się w moją stronę, choć ja już próbuję się wycofać.

– Sierra?

Robię głęboki wydech i odwracam się z powrotem w ich stronę. Pan Hopper ma na sobie kurtkę w pomarańczowo-czarną kratkę, a do tego uszankę pod kolor. Podchodzi do mnie i ściska mnie serdecznie na powitanie.

Wykorzystuję tę okazję, by rzucić okiem w stronę Caleba. Oparł się plecami o pikapa i patrzy na mnie z uśmiechem.

Gadamy chwilę z panem Hopperem i obiecuję mu, że jeszcze wpadnę przed świętami. Potem pan Hopper rusza z powrotem w stronę namiotu. Caleb wciąż na mnie patrzy. Pije coś z papierowego kubeczka z przykrywką.

– Czy ty może jesteś uzależniony? – pytam. – Tylko nie wiem od czego: od choinek czy od gorącej czekolady?

Jego dołeczek się pogłębia, gdy podchodzę. Włosy mu sterczą trochę, jakby przez te wszystkie choinki nie miał kiedy się uczesać. Nim ma czas mi odpowiedzieć, pan Hopper i jeden z jego pracowników wrzucają mu na naczepę jeszcze jedną choinkę.

Caleb patrzy na mnie i wzrusza ramionami.

– No naprawdę – niecierpliwie się. – Co tu jest grane?

Nonszalancko zatrząskuje klapę samochodu, jakby to, że zastałam go na innym stoisku z choinkami, nie było wcale dziwne.

– A co ty tu robisz? – pyta. – Szpiegujesz konkurencję?

– E, w czasie świąt nie ma konkurencji – zapewniam go. – Ale skoro już jesteś takim ekspertem, to czyje stoisko jest lepsze?

Pije z kubka, a ja patrzę, jak podskakuje jego jabłko Adama.

– Twoja rodzina bije ich w przedbiegach – wydaje werdykt. – Wyobrażasz sobie, że zabrakło im miętowych lasek do mieszania czekolady?

– Coś podobnego! – udaję oburzenie.

– No! Może powinienem się jednak trzymać was.

Pije kolejny łyk. Zapada cisza. Czy on właśnie zasugerował, że zamierza kupić jeszcze więcej choinek? To by oznaczało więcej okazji, żeby na niego wpaść. Już naprawdę nie wiem, czy powinnam się z tego cieszyć czy nie.

– Kto kupuje tyle choinek jednego dnia? – pytam. – Albo nawet w jednym sezonie?

– Zacznę może od odpowiedzi na pierwsze pytanie – odpowiada. – Jestem uzależniony od gorącej czekolady. W sumie jak na uzależnienie, nie jest ono takie złe. A jeśli chodzi o twoje drugie pytanie, to jak się ma pikapa, można go wykorzystywać na różne sposoby. Na przykład latem pomogłem trzem osobom z pracy mamy się przeprowadzić.

– Rozumiem. Czyli jesteś tego typu facetem – stwierdzam. Podchodzę do jednej z jego choinek i pociągam lekko za igły. – Takim facetem, co to wszyscy mogą na niego liczyć.

Kładzie łokieć na klapie pikapa.

– To cię dziwi?

Sprawdza mnie. Wie, że coś już o nim słyszałam. I słusznie mnie sprawdza. Bo nawet nie wiem, jak mam odpowiedzieć na to pytanie.

– A powinno mnie dziwić?

Spuszcza wzrok na drzewka i widzę, że rozczarowałam go takim unikiem.

– Domyślam się więc, że te drzewka nie są dla ciebie – zauważam.

Uśmiecha się.

Pochyliłam się, choć wcale nie wiem, czy powinnam to robić, a jednak nie mogę się powstrzymać.

– Jeśli zamierzasz kupić ich jeszcze więcej, to chciałam tylko powiedzieć, że tak jakby znam właścicieli tego drugiego stoiska. Myślę, że udałoby mi się załatwić ci małą zniżkę.

Wyciąga portfel, znów wypchany jednodolarówkami, i wyjmuje kilka banknotów.

– W sumie to nawet byłem tam dwa razy, odkąd widziałem, jak wieszasz ten plakat, ale jakoś nigdy cię nie było.

Czy chciał przez to powiedzieć, że miał nadzieję, że mnie spotka? Nie wypada przecież o to zapytać, zamiast tego więc wskazuję jego portfel.



– Wiesz, że w banku możesz to wymienić na jakieś sensowniejsze banknoty?

Obraca portfel w dłoni.

– Prawda jest taka, że mi się nie chce. Taki ze mnie leń.

– Przynajmniej masz świadomość własnych wad – stwierdzam. – To już coś.

Wciska portfel z powrotem do kieszeni.

– Tak, jestem świadomy własnych wad. Aż do bólu.

Gdybym była odważniejsza, mogłabym wykorzystać ten moment i zapytać o jego siostrę, ale takie pytanie może go przecież wystraszyć. Nie chcę, żeby odjechał.

– Świadomość wad, powiadasz? – Robię krok w jego stronę. – Człowiek, który kupuje tyle choinek i pomaga ludziom w przeprowadzkach, z pewnością figuruje na pierwszym miejscu Mikołajowej listy niegrzecznych dzieci – żartuję.

– No tak. Może nie jest aż tak źle.

Strzelam palcami.

– Wiem, jaki jest twój główny grzech. Słabość do słodyczy.

– Hm. Jakoś nie pamiętam, żeby wspominali coś o takim grzechu w kościele – odpowiada. – Ale lenistwo jest z pewnością grzechem, a mnie się nawet nie chce kupić grzebienia, który zgubiłem już kilka miesięcy temu.

– I tylko popatrz na skutki tego zaniedbania! – gramię, spoglądając na jego głowę. – To niewybaczalne. Nie wiem, czy nie powinnam cię w związku z tym wyekspediować jednak gdzie indziej po tę zniżkę na choinki.

– „Wyekspediować” – powtarza. – Niezłe słowo, choć nie pamiętam, żebym kiedykolwiek użył go w zdaniu.

– No, weź. Nie wmówisz mi, że to jest dla ciebie trudne słowo.

Śmieje się, a jego śmiech jest tak idealny, że mam ochotę zrobić jeszcze coś, by go wywołać. Ale te żarciki nie prowadzą przecież do niczego dobrego. Bez względu na to, jaki jest uroczy i jak łatwo się z nim rozmawia, powinnam pamiętać o ostrzeżeniu Heather.

Zupełnie jakby potrafił czytać w moich myślach, jego twarz zmienia się nagle nie do poznania. Wzrok utkwiał w choinkach.

– Co? – pyta.

Jeśli dalej tak będziemy na siebie wpadać, zawsze będzie wisiała między nami ta plotka.

– Słuchaj, to pewnie oczywiste, że coś tam o tobie słyszałam... – Utykam. Po co w ogóle to powiedziałam? Przecież możemy być po prostu klientem i dziewczyną od choinek. Wcale nie musiałam o tym wspominać.

– Masz rację, to zupełnie oczywiste – odburkuje. – To zawsze jest oczywiste.

– Ale nie chcę w to wierzyć, jeśli...

Wyciąga kluczyki z kieszeni, dalej na mnie nie patrzy.

– Nie zaprzataj sobie tym głowy. Możemy być dla siebie mili, a ja będę kupował choinki, ale... – Zaciska zęby.

Czuję, że usiłuje na mnie spojrzeć, ale nie potrafi.

Nie mogę przecież nic więcej rzec. Nie powiedział, że to, co słyszałam, to kłamstwa. Teraz jego kolej.

Podchodzi do drzwi pikapa, wsiada i zamyka je za sobą.

Robię krok do tyłu.

Włącza silnik, macha mi na pożegnanie i odjeżdża.

W soboty zaczynam pracę dopiero w południe, umawiamy się więc z Heather wcześniej rano. Kiedy po mnie przyjeżdża, mówię jej, że mam okropną ochotę na śniadanie w Breakfast Express. Patrzy na mnie jakoś dziwnie, ale jedzie we wskazanym kierunku.

– Pytałaś, czy możesz iść z nami na paradę?

– Nie powinno być z tym problemu – zapewniam ją. – Przecież całe miasteczko tam będzie. Dopiero po paradzie wszyscy zwałą się do nas na zakupy.

Myślę o tym smutnym pożegnaniu z Calebem wczoraj, o tym, że dosłownie widziałam, jak mu ciężko na sercu, że nie ma odwagi na mnie spojrzeć. Nawet jeśli są powody, by się nie angażować, i tak chciałabym znów zobaczyć, że jego pikap wjeżdża na nasz parking.

– Devon uważa, że powinnaś spytać Andrew, czy nie miałby ochoty iść z tobą na paradę – zaczyna swoje Heather. – Tak, wiem, co na to powiesz...

Dobrze, że mi patrzaki całkiem nie wypadają na jej deskę rozdzielczą.

– Czy ty raczyłaś mu wyjaśnić, że to jest zupełnie beznadziejny pomysł?! – syczę.

Heather wzrusza ramionami.

– Jego zdaniem powinnaś dać Andrew drugą szansę. Nie mówię, że się z nim zgadzam, ale z drugiej strony naprawdę się temu facetowi podobasz.

– Może. Ale mnie on się zupełnie nie podoba. – Kulę się na swoim miejscu. – Kurczę, to zabrzmiało dość wrednie.

Heather wjeżdża na krawężnik przed Breakfast Express. To taka knajpka w stylu lat pięćdziesiątych. Mieści się w dwóch starych wagonach. W jednym znajduje się kuchnia, a w drugim siedzą goście. Stalowe koła pod wagonami umieszczone są na prawdziwych torach z drewnianymi podkładami. A do tego przez calutki dzień serwują tu śniadania i tylko śniadania.

Heather nie wyłącza jeszcze silnika. Wbija wzrok w wagony za oknem.

– Słuchaj, nie chciałam ci odmówić, bo wiem, jak lubisz tę knajpkę.

– Aha – bąkam, zupełnie nie rozumiejąc, do czego zmierza. – Jeśli wolisz

iść gdzie indziej, to...

– Ale zanim tam wejdziemy, powinnaś wiedzieć, że Caleb tu pracuje.

Czeka, aż to do mnie dotrze. I dociera – jak uderzenie po głowie.

– Oj.

– Nie wiem, czy akurat dziś jest w pracy, ale może być – ciągnie Heather.

– Więc lepiej się zastanów, jaki masz plan.

Gdy idziemy w kierunku schodów, serce wali mi jak szalone. Wchodzę za przyjaciółką na stopnie, a ona otwiera czerwone metalowe drzwi.

Na ścianach wiszą płyty i zdjęcia ze starych filmów i seriali. Po obu stronach znajdują się stoliki, przy każdym jest miejsce tylko na cztery osoby, a do tego kanapy z plastikowymi czerwonymi obiciami, połyskującymi srebrnym brokatem. W tej chwili zajęte są tylko trzy stoliki.

– Może akurat go nie będzie – mówię. – Może dziś ma wo...

Raptem otwierają się drzwi od kuchni i wchodzi Caleb. Ma na sobie białą koszulę, spodnie i papierową czapkę kelnera. Znosi tacę z dwoma talerzami do jednego ze stolików, po czym rusza w naszą stronę. Po kilku krokach mruga zaniepokojony. Poznał nas. Patrzy to na Heather, to na mnie.

Uśmiecha się niepewnie, ale jednak się uśmiecha.

Wciskam ręce do kieszeni płaszcza.

– Cześć. Nie wiedziałam, że tu pracujesz.

Z półki przy Heather Caleb zdejmuje dwie karty dań. Jego uśmiech znika.

– Przyszłabyś, gdybyś wiedziała?

Nie wiem, co powiedzieć.

– Kiedy była mała, to zawsze było jej ukochane miejsce – mówi za mnie Heather.

– To prawda – mamrocę. – Uwielbiam naleśniki. Moje ulubione to te małe, wielkości dolara.

Caleb rusza między stolikami.

– Nie musisz się tłumaczyć.

Idziemy za nim z Heather. Prowadzi nas do stolika na samym końcu wagonu. Przy każdym stoliku znajduje się prostokątne okienko. Po tej stronie wychodzą one na ulicę, gdzie zaparkowałyśmy.

– To najlepsze miejsce w całym pociągu – mówi Caleb.

Siadamy z Heather po przeciwnych stronach stolika.

– Dlaczego najlepsze? – chcę wiedzieć.

– Bo jest najbliżej kuchni. – Znów się uśmiecha. – Czyli najbliżej do

świeżej kawy. Poza tym łatwiej mi tu pogadać ze znajomymi.

Na to Heather bierze kartę dań i zaczyna ją uważnie czytać. Nawet na mnie nie patrzy, tylko podsuwa mi drugą kartę. Nie wiem, czy zrobiła to rozmyślnie, ale ten gest wypada jakoś tak, jakby chciała spławić Caleba.

– Jakby ci się nudziło – mówię do niego – to pamiętaj, że tu jesteśmy.

Caleb ogląda się na Heather, ale ją zupełnie pochłonęła lektura karty dań. Przez kilka sekund żadne z nas nic nie mówi, w końcu Caleb się poddaje i znika w kuchni.

Zabieram Heather jej menu.

– Co to niby miało być? Przecież teraz pomyśli, że to ty mi o nim naplotkowałaś. A ty przecież nawet nie wiesz, czy to jest prawda.

– Nie wiem, ile w tym jest prawdy. To duża różnica. Przepraszam. Po prostu nie wiedziałam, co mam mówić. Martwię się o ciebie.

– Dlaczego? Bo uważam, że facet jest uroczy? Jeśli o mnie chodzi, to tyle wiem na pewno.

– Ale wpadłaś mu w oko. Sierra, widzę go codziennie w szkole i wiem, że nigdy tyle nie gada. I to mi nie przeszkadza, ale nie powinnaś tak z nim otwarcie flirtować, skoro...

– Chwileczkę! – Unoszę dłoń. – Po pierwsze, niczego z nim otwarcie nie robię. Po drugie, ja go nawet nie znam, więc naprawdę nie masz żadnych powodów do zmartwień.

Heather znów bierze do ręki kartę dań, ale widzę, że wcale jej nie czyta.

– Wszystko, co wiem o Calebie, to że pracuje w knajpie i kupuje dużo choinek. Więc choć pewnie jeszcze nieraz na niego wpadnę, to tyle. Nie muszę go widywać częściej niż przy sprzedaży choinek i nie muszę nic więcej o nim wiedzieć. Jasne?

– Okej, okej – poddaje się Heather. – Przepraszam.

– No. – Odchylam się. – To może teraz mogłabym zjeść moje mininaleśniczki bez tego ściśniętego żołądka.

Heather uśmiecha się do mnie z powątpiewaniem.

– Raczej marne szanse.

Zaczynam przeglądać menu, choć i tak wiem, co chcę zamówić. Ale muszę gdzieś patrzeć, żeby się odważyć pociągnąć dalej temat.

– Posłuchaj, cokolwiek się stało, ten chłopak dalej ma z tego powodu wyrzuty sumienia.

Na co Heather wali kartą o blat.

– Gadałaś z nim o tym?!

– Nie, nie mieliśmy okazji, ale przecież to widać gołym okiem.

Heather ogląda się na zamknięte drzwi do kuchni. Potem obraca się z powrotem w moją stronę i przyciska sobie dłonie do skroni.

– Dlaczego ludzie muszą być tacy skomplikowani?

– Prawda? – Śmieję się. – Dlaczego nie mogą być po prostu tacy jak my, nie?

– Dobra, zanim wróci, powiem ci wszystko, co o nim wiem. I tylko to, co wiem na pewno, żadnych plotek.

– Dawaj.

– Nigdy się nie przyjaźniliśmy, ale zawsze był dla mnie miły. Z tego, co rozumiem, ma też inną twarz, albo może miał, ale ja jej nigdy nie widziałam.

Wskazuję jej ręką menu.

– To może nie trzymaj go tak na dystans.

– Nie próbowałam go trzymać na dystans. – Pochyliła się w moją stronę i kładzie swoją dłoń na mojej. – Chcę tylko, żebyś dobrze się tu ze mną bawiła, a na to nie będzie żadnych szans, skoro usiłujesz sobie znaleźć faceta z przeszłością niczym z dreszczowca psychologicznego.

Drzwi się otwierają i wchodzi Caleb. Ma w ręku mały notes i ołówek. Zatrzymuje się przy nas.

– Szukacie może kogoś do pracy? – zagaja Heather.

Caleb odkłada notes.

– A co? Byłabyś zainteresowana?

– Nie, ale Devon potrzebuje jakiejś roboty. Nie chce mu się samemu poszukać, ale wiem z całą pewnością, że tego właśnie mu trzeba, żeby jego życie stało się ciut bardziej ekscytujące.

– Jesteś jego dziewczyną. – Śmieję się. – To chyba twoje zadanie.

Heather kopie mnie pod stołem.

– Czy ty się go aby nie próbujesz pozbyć? – pyta Caleb.

– Skądże znowu – zapewnia go Heather, ale trochę za szybko.

– Lepiej pewnie, żebyś za wiele nie widział – reflektuje się Caleb z uśmiechem. – W każdym razie mogę zapytać szefa, jak przyjdzie.

– Dzięki – mówi Heather.

– Jeśli liczysz na czekoladę – zwraca się do mnie Caleb – to muszę cię uprzedzić, że nie mamy świątecznych lizaków. Możesz być trochę rozczarowana.

– To wezmę kawę. Ale z toną śmietanki i cukru.

– A ja gorącą czekoladę – prosi Heather. – Mogę dostać do niej parę pianek cukrowych?

Caleb kiwa głową.

– Zaraz wracam.

Gdy tylko znika, Heather pochyla się w moją stronę.

– Słyszałaś? Dba o to, żebyś nie była rozczarowana.

Pochylam się tak jak ona.

– Jest kelnerem – przypominam jej. – Na tym polega jego praca.

Wraca Caleb i niesie ceramiczny kubek pełen pianek. Stawia go na stole, a kilka pianek spada na blat.

– Nic się nie martw. Już parzę kawę – zapewnia mnie.

Nagle otwierają się drzwi na drugim końcu wagonu. Caleb obraca się, żeby zobaczyć, kto przyszedł, i widzę na jego twarzy zaskoczenie i radość. Odwracam się i widzę mamę z dwiema identycznymi dziewczynkami. Mogą mieć z sześć lat. Uśmiechają się do Caleba. Są chude i obie mają na sobie bluzy z kapturami, trochę wytarte na rękawach i z rozmiar za duże. Jedna z dziewczynek unosi nad głową rysunek choinki. Pokazuje go Calebowi.

– Zaraz do was wracam – szepcze Caleb i nas zostawia.

Idzie do bliźniaczek i ogląda rysunek.

– Piękny. Dziękuję – zachwyca się.

– To ta choinka, którą nam dałeś – wyjaśnia jedna z dziewczynek.

– Już ją udekorowałyśmy – dodaje druga. – Wygląda tak.

Caleb uważnie przygląda się obrazkowi.

– Nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio w ogóle miały choinkę – mówi matka. Poprawia sobie torebkę na ramieniu. – Ani kiedy ja miałam choinkę. Kiedy wróciły ze szkoły i ją zobaczyły... Żebyś widział ich miny...

– Bardzo wam dziękuję – cieszy się Caleb. Przyciska rysunek do piersi. – To była czysta przyjemność.

Mama bierze głęboki wdech.

– Dziewczynki chciały ci osobiście podziękować.

– Zmówiłyśmy za ciebie modlitwę – odzywa się jedna.

Caleb kłania jej się lekko.

– To bardzo wiele dla mnie znaczy.

– Zadzwończyłyśmy do banku żywności, ale powiedzieli nam, że to twoja własna inicjatywa – opowiada mama. – Że tu pracujesz i nie będziesz miał

nam za złe, jeśli wpadniemy z podziękowaniami.

– I mieli rację. A skoro już tu jesteście... – Caleb odsuwa się i wskazuje im najbliższy stolik. – Może siądziecie na gorącą czekoladę?

Dziewczynki aż piszczą z radości, ale mama mówi:

– Nie możemy zostać. My...

– W takim razie naleję wam do kubeczków na wynos – wchodzi jej w słowo Caleb, a kiedy kobieta nic na to nie mówi, rusza w stronę kuchni.

Odwracam się w stronę Heather.

– To dlatego kupuje te wszystkie drzewka? – szepczę. – Żeby rozdawać je rodzinom, których nawet nie zna?

– Nie wspomniał nic o tym przy kupowaniu? – pyta Heather.

Gapię się przez okno na przejeżdżające samochody. Skasowałam go po zwykłej cenie za tamtą choinkę. Zresztą pan Hopper z pewnością zrobił tak samo. A tymczasem Caleb pracuje w knajpce i kupuje drzewko za drzewkiem. I nie bardzo wiem, jak się ma ta informacja do całej tamtej historii.

Gdy wraca z kuchni, w jednej ręce trzyma kartonową tackę z trzema kubeczkami na wynos, a w drugiej kubek z kawą, który stawia przede mną w drodze do tamtej rodzinki. Patrzę na Heather i piję kawę. Idealne proporcje śmietanki i cukru.

W końcu Caleb wraca i staje przy naszym stoliku.

– Jak kawa? – pyta. – Posłodziłem w kuchni, bo nie miałem już ręki, żeby przynieść śmietankę i cukier.

– Idealna – mówię, a pod stołem kopię Heather dyskretnie.

Patrzy na mnie pytająco, a ja daję jej nieznaczny znak głową, żeby się przesunęła. Przecież jeśli zaproponuję Calebowi, żeby usiadł koło mnie, wypadnie to tak, jakbym go podrywała. Ale jeśli zrobi to Heather, która właśnie przed chwilą opowiadała o tym, jak to jest z Devonem, będzie to tylko miły, przyjacielski gest.

Heather przesuwa się.

– Siadaj, chłopcze od choinek.

Caleb wygląda na zaskoczonego tą propozycją, ale chyba się cieszy. Ogląda się szybko na inne stoliki i w końcu siada naprzeciwko mnie.

– Wiesz – rzuca Heather – jakoś dawno nikt mi nie podarował rysunku choinki.

– Wcale się tego nie spodziewałem – wyznaje Caleb. Kładzie rysunek na



stole i odwraca w moją stronę. – Uroczy, nie?

Patrzę z uznaniem na choinkę, a potem na niego. On wciąż jeszcze podziwia rysunek.

– Z ciebie to naprawdę jest nietuzinkowa osoba – stwierdzam.

– Tak dla porządku zauważę tylko, że użyłaś przymiotnika „nietuzinkowy” w zdaniu – oznajmia, nie odrywając wzroku od rysunku.

– I to nie po raz pierwszy – donosi mu Heather.

Caleb posyła jej łobuzerskie spojrzenie.

– Ale niewykluczone, że po raz pierwszy ktokolwiek użył go w tej knajpie.

– Jesteście śmieszni – pry cham tylko. – Heather, powiedz mu, że nieraz używasz czasownika „wyekspediować” w zdaniu. Przecież to banalny wyraz.

– Oczywiście... – Urywa, patrzy na Caleba i dodaje: – Nie, w sumie to chyba nigdy w życiu go nie użyłam.

Przybijają zółwika.

Pochyliam się i zrywam mu z głowy tę durną papierową czapeczkę.

– Czas najwyższy, żeby zaczął pan używać ciekawszych słów, panie Calebie. Oraz dokonał zakupu grzebienia.

Wyciąga rękę.

– Proszę mi oddać moje nakrycie głowy! Albo następnym razem, jak ci będę płacił za choinkę, to dam ci całą sumę w jednodolarówkach i każda będzie w inną stronę.

– Nie boję się – odpowiadam i nie oddaję mu czapeczki.

Caleb wstaje i sięga ręką. W końcu jednak zwracam mu czapeczkę, a on wkłada to szkaradztwo na głowę.

– Jeśli wybierasz się po choinkę, nie spodziewaj się żadnych rysunków – zastrzegam. – Ale w każdym razie dziś pracuję od dwunastej do ósmej.

Heather patrzy na mnie z kpiącym uśmiechem.

Kiedy Caleb zostawia nas i idzie do swoich klientów, Heather szepcze:

– Właśnie zaproponowałam mu, żeby wpadł do ciebie do pracy.

– No. Wiem – przyznaję, unosząc kubek do ust. – Teraz to już chyba rzeczywiście otwarcie flirtuję.



Wracam do pracy godzinę wcześniej, niż się umówiłam z mamą, i dobrze się składa. Jest pełno klientów i jeszcze nieoczekiwanie przyjechała wcześniej

dostawa nowych drzewek z farmy.

Wkładam rękawice i włączę po drabinie na naczepę. Ostrożnie wchodzę na górną warstwę drzewek owiniętych w siatkę i ułożonych jedna obok drugiej. Mokre igły drapią o moje spodnie. Widać padało przez większość drogi. Pachnie domem.

Dołącza do mnie dwóch pracowników. Wszyscy poruszamy się jak najostrożniej, żeby nie połamać gałęzi. Wsuwam palce w dziury w siatce, uginam kolana i zsuwam choinkę z ciężarówki, a pracownik na dole chwytają ją i zanoszą na stertę za namiotem.

Andrew bierze ode mnie kolejne drzewko, ale zamiast je zanieść za namiot, podaje je komuś.

– Dawaj! – krzyczy do mnie i klaszcze ponagląco.

Już mam ochotę mu powiedzieć, że to nie żaden wyścig, ale w tej samej chwili tata kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Zabrakło mydła w toaletach. Szybciutko – mówi. – I daj mi znać, czy aby nie trzeba by ich porządniej wyczyścić. Zdaję się na ciebie w tej sprawie.

Zaczynam czuć ból mięśni, więc staję na chwilę, żeby rozprostować plecy i odsapnąć. Ale choć jestem wykończona mimowolnie się uśmiecham. Patrzę na klientów między choinkami. Nawet stąd widać radość na ich twarzach.

Całe życie byłam otoczona takimi widokami. Nagle uświadamiam sobie, że widzę tylko tych ludzi, którzy będą mieli choinkę na święta. Natomiast nigdy nie widzę tych, których na nią nie stać. Tych, którym zawozi nasze choinki Caleb.

Za miasteczkiem, za ostatnim domem, wznosi się na tle błękitnego, bezchmurnego nieba nasze wzgórze. Gdzieś tam rosną nasze drzewka, choć stąd nie sposób ich dojrzeć.

Tata wchodzi na drabinę, aby pomóc mi zsuwać choinki. Podajemy kilka pracownikom na dole. W końcu kładzie dłonie na kolanach, żeby odsapnąć.

– Nie zareagowałem zbyt ostro z tym Andrew? – pyta.

– Nie przejmuj się nim – uspokajam go. – Wie przecież, że nie jestem zainteresowana.

Tata zsuwa kolejne drzewko. Uśmiecha się od ucha do ucha.

Patrzę na pracowników na dole.

– Chyba wszyscy oni mają świadomość, że jestem nietykalna.

Tata prostuje się, ociera dłonie o dzinsy.

– Słonko? Myślisz, że za bardzo cię ograniczamy? Co?

– W domu nie. – Zsuwam kolejne drzewko. – Ale tu? Mam takie poczucie, że nie powinnam się w ogóle z nikim umawiać.

Tata chwyta kolejne drzewko, ale nie podaje go dalej, tylko na mnie patrzy.

– Po prostu wiem, jak łatwo można się zakochać. A wierz mi, że potem jest bardzo trudno odjechać.

Spuszczam dwa drzewka i dopiero wtedy widzę, że dalej na mnie patrzy.

– Spoko, tato – mówię. – Przecież rozumiem.

W końcu ciężarówka jest pusta. Tata zdejmuję rękawice i wkłada je sobie do tylnej kieszeni. Idzie do przyczepy uciąć sobie drzemkę, a ja do namiotu stanąć za ladą. Zbieram właśnie włosy w kok, gdy zauważam przy kasie Caleba, już w zwykłym ubraniu.

Nie wiązę jednak tego koka, tylko zostawiam włosy rozpuszczone.

Przechodzę obok niego i staję za ladą.

– I już wróciłeś? Znow zamierzasz kogoś uszczęśliwić na święta?

– Taka praca – odpowiada z uśmiechem.

Daję mu głową znak, żeby podszedł za mną do napojów. Stawiam sobie mój wielkanocny kubek, obok jeden papierowy dla niego i rozrywam paczuszkę z czekoladą.

– Opowiedz mi, jak to się stało, że zacząłeś robić tę akcję z choinkami.

– To długa historia – odpowiada i jakby się peszy. – W skrócie: Boże Narodzenie zawsze było w mojej rodzinie bardzo ważne.

Wiem, że jego siostra już z nim nie mieszka. Może to część dłuższej wersji tej opowieści. Podaję mu kubeczek z gorącą czekoladą i świąteczną laską w środku. Na jego twarz wraca uśmiech – a wraz z nim dołeczek – gdy zauważa mój wielkanocny kubek. Patrzymy na siebie i pijemy czekoladę.

– Rodzice zawsze pozwalali nam z siostrą wybrać choinkę – opowiada. – Potem zapraszali przyjaciół i wszyscy razem dekorowaliśmy cały dom. Robiliśmy sobie wielką porcję chili con carne, a potem szliśmy kolędować. Trochę taki kicz, ale tak było.

Wskazuję mu ośnieżone drzewka wokół.

– Moja rodzina żyje z kiczowatych świątecznych tradycji. Ale to jeszcze nie wyjaśnia, dlaczego kupujesz ludziom choinki.

Caleb pije czekoladę.

– Mój kościół organizuje co roku świąteczną zbiórkę – mówi po chwili. – Zbieramy płaszcze, szczoteczki do zębów i inne rzeczy pierwszej potrzeby.

To świetna akcja. Ale czasami miło jest dać ludziom coś, czego chcą, zamiast tego, czego potrzebują.

– Rozumiem.

Zdmuchuje parę znad kubka.

– W mojej rodzinie też już nie świętujemy Bożego Narodzenia tak jak kiedyś. Ubieramy choinkę, ale to by w sumie było na tyle.

Chcę spytać dlaczego, ale to pewnie też część tamtej dłuższej, bardziej skomplikowanej wersji historii.

– W każdym razie kiedy zacząłem pracować w Breakfast Express, pomyślałem, że mógłbym odkładać napiwki i kupować za nie choinki tym rodzinom, które nie mogą sobie na nie pozwolić. – Miesza czekoladę. – Pewnie gdybym dostawał więcej napiwków, jeszcze częściej byś mnie musiała widywać.

Mała pianka cukrowa przylepia mi się do ust, więc ją zlizuję.

– Może wystaw osobny słoik – podpowiadam mu. – Narysuj choineczkę i napisz, na co pójdą pieniądze.

– Nawet o tym myślałem. Ale jakoś wolę wydawać własne pieniądze. Miałbym wyrzuty sumienia, gdyby te dodatkowe napiwki oznaczały, że zabieram pieniądze, które w innym razie ludzie przeznaczyliby na jakieś może bardziej potrzebne rzeczy.

Odstawiam kubek na ladę i wskazuję jego włosy.

– A skoro już mowa o tym, kto czego potrzebuje...

Biegnę za ladę i wyciągam spod niej małą papierową torebeczkę. Podaję ją Calebowi. Unosi brwi.

Zagląda do środka i wybucha śmiechem na widok fioletowego grzebienia, który mu kupiłam.

– Czas zacząć nad sobą pracować – oświadczam.

Dziękuję mi i wsuwa grzebień do tylnej kieszeni dzinsów. Chcę mu wyjaśnić, że ten grzebień miał przecież być do włosów, nie do kieszeni, ale właśnie do namiotu wchodzi rodzina Richardsonów.

– Już się nawet zastanawiałam, gdzie się państwo podziewają! – Ściskam ich serdecznie na powitanie. – Przecież zawsze przychodzą państwo od razu po Święcie Dziękczynienia.

Państwo Richardsonowie mają sześcioro dzieci, a kupują u nas choinki, odkąd mieli tylko dwoje. Co roku przynoszą nam puszkę pełną domowych ciasteczek i rozmawiam sobie z rodzicami, gdy maluchy kłócą się o to, które

drzewko jest najwspanialsze. Teraz dzieci witają się ze mną pospiesznie, po czym pędzą szukać choinki.

– W drodze do Nowego Meksyku zepsuł nam się samochód – wyjaśnia pan Richardson. – Na Święto Dziękczynienia utknęliśmy w motelu, bo musieliśmy czekać, aż przyjdzie nowy pasek klinowy.

– Bogu dzięki, że mieli tam basen, bo inaczej dzieciaki by się chyba pozabijały. – Pani Richardson podaje mi niebieską puszkę z płatkami śniegu na przykrywcę. – W tym roku postanowiliśmy wypróbować nowy przepis. Znaleźliśmy go w Internecie i wszyscy twierdzą, że wyszły przepysznie.

Zdejmuję pokrywkę i wyjmuję z puszki lekko krzywego bałwana z mnóstwem lukru i posypki. Caleb zagląda do puszki, więc podsuwam mu ją pod nos. Wybiera jakiegoś zmutowanego renifera ze sterczącymi zębiskami.

– Maluchy uparły się pomagać – mówi pani Richardson. – Co chyba widać.

Odgryzam kawałek.

– Mmmm, mniam, mniam... Przepyszne!

– Jedzcie, póki są – radzi pani Richardson. – Przysięgam, że w przyszłym roku robię ciastka z proszku.

Caleb łapie okruszek, który spadł mu z ust.

– Są niesamowite – zachwyca się.

– Znajoma z pracy sugerowała, żebyśmy spróbowali zrobić po prostu czekoladki z miętą – dodaje pan Richardson. – Twierdzi, że tego nawet dzieci nie mogą schrzanić.

Próbuje sięgnąć do mojej puszki po ciastko, ale żona chwyta go za łokieć i odciąga.

Calebowi natomiast udaje się zwinąć mi kolejne ciastko. Posyłam mu mordercze spojrzenie.

– Hola, hola! Wykorzystałeś już swój przydział! – Wiem, że chciałby znów pokpić sobie z mojego słownictwa, ale nie może, bo ma usta pełne ciastka.

– Jedzcie do woli – uspokaja pani Richardson. – Zawsze mogę dać twojemu chłopakowi przepis i wtedy...

Pan Richardson ostrzegawczo dotyka jej ramienia na słowo „chłopak”, ale uśmiecham się do niego, żeby dać mu znać, że nie ma się czym przejmować. Poza tym i tak w tej samej chwili dobiega nas ryk jednej z ich pociech.

Pani Richardson wzdycha.

– Cudownie było znów cię zobaczyć, Sierro.

Pan Richardson kiwa do nas głową na pożegnanie, a potem wypada na dwór, krzycząc:

– Pamiętaj, że Mikołaj patrzy, Nathan!

Caleb podkrada mi kolejne ciastko i pakuje sobie do ust.

Grozę mu palcem.

– Pamiętaj, że Mikołaj patrzy, Caleb!

Unosi ręce niewinnie i idzie do kącika z napojami po serwetkę, którą wyciera sobie usta.

– Pojeżdż ze mną dziś dostarczyć to drzewko – prosi.

Mało nie krztuszę się ciastkiem.

Caleb ciska serwetkę do zielonego plastikowego śmietnika.

– Nie musisz, jeśli...

– Bardzo bym chciała – zapewniam go. – Ale dziś pracuję.

Patrzy mi w oczy ze smutną miną.

– Nie potrzebujesz żadnych wymówek, Sierra. Po prostu bądź ze mną szczerą.

Robię krok w jego stronę.

– Pracuję dziś do ósmej. Przecież ci mówiłam, pamiętasz?

Czy zawsze jest taki drażliwy?

Przygryza górną wargę i patrzy przez okno.

– Wiem, że musimy pogadać o różnych sprawach – mówi. – Ale daj mi jeszcze trochę czasu, dobrze? Póki co nie wierz we wszystko, co o mnie mówią.

– Pojadę z tobą, Caleb, ale nie dziś. Dobra? Już niedługo. – Czekam, aż na mnie spojrzysz. – Chyba że nie chcesz, żebym pojechała.

Bierze kolejną serwetkę, żeby otrzeć ręce.

– Chcę. Myślę, że naprawdę ci się to spodoba.

– Dobra – mówię. – Bo to dla mnie ważne, że chcesz, żebym z tobą pojechała.

Tłumi uśmiech, ale dołeczek i tak go wydaje.

– To twoje choinki. Naprawdę powinnaś zobaczyć, co one znaczą dla rodzin, które je dostają.

Macham lizakiem wokół.

– Widzę to każdego dnia.

– To zupełnie co innego – zapewnia mnie.

Mieszam czekoladę lizakiem i patrzę na kółka na jej powierzchni. Mam wrażenie, że to nie będzie takie zwykłe zawieszenie choinki. Czuję się tak, jakby mnie zaprosił na randkę. Gdyby zaprosił mnie na coś zupełnie niezwiązanego z choinkami, miałabym wielką ochotę też się zgodzić. A z drugiej strony, ile ja tak naprawdę o nim wiem? A on o mnie wie jeszcze mniej.

Wyciąga z kieszeni grzebień i macha mi nim przed nosem.

– Nie zostanie użyty, póki nie podasz mi konkretnej daty – oświadcza.

– To jest po prostu szantaż! – oburzam się. – Niech ja się zastanowię...

W ten weekend będzie naprawdę dużo pracy, więc wieczorami będę wykończona. Może poniedziałek po twojej szkole?

Patrzy w górę, jakby w głowie przeglądał kalendarz.

– W poniedziałek nie pracuję. Tak! Przyjadę po ciebie po kolacji.

Wychodzimy z namiotu razem i pokazuję mu jeszcze moje ulubione choinki. Nie wiem, ile ma dziś tych pieniędzy z napiwków, ale chcę mieć przynajmniej pewność, że dostanie za nie najlepsze drzewka. Ruszam w stronę jodły balsamicznej, która jest naprawdę piękna, ale Caleb skręca w stronę parkingu.

Przystaję.

– A ty dokąd?

Obraca się.

– Nie zarobiłem dziś dość, żeby mnie było stać na choinkę – przyznaje z serdecznym, choć zawadiackim uśmiechem. – Ale mam to, po co przyjechałem.

W niedzielę wieczorem mamy mniej klientów, chowam się więc w przyczepie, żeby pogadać z Rachel i Elizabeth. Otwieram laptopa i rozsuwam zasłony przy stole, żeby jednym okiem sprawdzać, czy aby nie jestem potrzebna na zewnątrz. Na widok moich przyjaciółek serce mi się ściska z tęsknoty. Ale już po kilku minutach śmieję się do rozpuku z opowieści Rachel o tym, jak na hiszpańskim mieli zrobić *empanadas*.

– Wyszły nam jakieś takie spalone krążki hokejowe – opowiada. – Poważnie! Po lekcji dosłownie graliśmy nimi w hokeja na korytarzu.

– Strasznie za wami tęsknię – mówię. Dotykam ich twarzy na ekranie, a one odpowiadają tym samym.

– Jak tam sytuacja? – pyta Elizabeth. – Już coś wiesz, jak będzie w przyszłym roku?

– Spytałam rodziców wprost. Mówią, że bardzo by chcieli, żeby dało się tu jeszcze przyjechać na następne święta, ale na razie trudno powiedzieć, czy jest na to jakaś szansa. Wiem, że wy się będziecie cieszyć, ale...

– Nie – przerywa mi Elizabeth. – Bez względu na wszystko to jednak będzie trochę smutne.

– Jasne, przecież nie chcemy, żebyście musieli zamykać stoisko z choinkami – popiera ją Rachel. – Choć oczywiście byłoby wspaniale mieć cię tu na święta.

Wyglądam przez okno. Wśród drzewek chodzi może ze trzech klientów.

– Wydaje mi się, że w tym roku sprzedajemy jeszcze mniej niż w zeszłym – opowiadam przyjaciółkom. – Rodzice co wieczór analizują utarg, ale boję się nawet pytać.

– To nie pytaj – radzi Elizabeth. – Co będzie, to będzie.

Ma niby rację. A jednak za każdym razem, gdy wychodzę z namiotu, żeby odrobić pracę domową albo nawet chwilę odpocząć, zamartwiam się, że może powinnam coś zrobić. Tak smutno nam będzie stracić to stoisko. Szczególnie dla taty to będzie okropnie bolesne.

Rachel pochyla się do przodu.



– Dobra, czy już moja kolej? Nie wyobrażasz sobie, co ja tu muszę znosić przez ten bal. Pracuję z bandą amatorów! – I rozwodzi się nad tym, jak wysłała dwóch młodszych uczniów do sklepu po materiały na płatki śniegu, a oni wrócili z brokatem.

– I to wszystko? – pytam.

– Tak! Sam brokat! Czy to tak trudno zrozumieć, że potrzebujemy też czegoś, do czego będziemy ten brokat przyklepiać?! Toż nie będziemy nim przecież sypać w powietrzu!

Jak by to było być na takim balu? Wyobrażam sobie moich kolegów i koleżanki z klasy w sukniach i smokingach tańczących i sypiących jednocześnie garściami brokatu. Opadałby kaskadami rozświetlony przez lampki. Rachel i Elizabeth śmiałyby się i wirowały z rozłożonymi rękoma. Caleb odchyliłby głowę, zamknął oczy i uśmiechał się radośnie.

– A więc... – zaczynam. – Poznałam kogoś. Tak jakby.

Zapada nieznośnie długa chwila ciszy.

– „Kogoś”? Znaczą: chłopaka? – żąda uściślenia Rachel.

– Na razie jesteśmy tylko przyjaciółmi – ciągnę. – Chyba.

– Ty się rumienisz! – ekscytuje się Elizabeth.

Chowam twarz w dłoniach.

– Sama nie wiem. Może to nic takiego. Wiecie, on...

– Nie! O nie, i nie, i nie – wchodzi mi w słowo Rachel. – Nie będziesz nam tu teraz nawijać o tym, co jest z nim nie tak. Szczególnie nie, skoro właśnie ledwo co się zabujałaś.

– Wcale nie wybrzydza. Tym razem ani trochę! To superuroczy chłopak. Rozdaje choinki ludziom, których na nie nie stać.

Rachel odchyła się i krzyżuje ręce na piersi.

– Ale...?

– No i już, wybrzydza – denerwuje się Elizabeth.

Patrzę to na jedną, to na drugą w ich małych ramkach na ekranie. Obie czekają, aż im powiem, jakie minusy ma Caleb.

– Ale... Ten superuroczy chłopak być może zaatakował własną siostrę nożem.

Szczęki im opadają.

– Może tylko jej groził – mówię szybko. – Nie wiem. Nie pytałam go.

Rachel dotyka głowy i rozczapierza palce, chcąc mi pokazać, że w głowie jej się to nie mieści.

– Nożem? Sierra?!

– To może być tylko taka plotka – zastrzegam.

– To by była dość poważna plotka – zauważa Elizabeth. – Co na to Heather?

– To ona mi powiedziała.

Rachel znów pochyła się w stronę ekranu.

– Sierra, jeśli chodzi o chłopaków, jesteś najbardziej wybredną dziewczyną, jaką znam. Co się dzieje?

– On wie, że coś słyszałam – tłumaczę. – Ale zamyka się za każdym razem, jak pojawia się ten temat.

– Musisz go spytać wprost – radzi Elizabeth.

Rachel macha groźnie palcem.

– Ale masz to zrobić w jakimś publicznym miejscu.

Mają rację. Oczywiście, że mają rację. Muszę wiedzieć na pewno, zanim pozwolę sobie na cokolwiek więcej.

– I masz to zrobić, zanim go pocałujesz – dodaje Rachel.

Parskam śmiechem.

– Żeby doszło do czegoś takiego, musielibyśmy być z kolei sami.

I nagle aż mi się robi słabo na myśl o tym, że owszem, będziemy sami – już jutro. Przecież jutro po szkole Caleb ma przyjechać po mnie, żebym zawiozła z nim choinkę.

– Spytaj go – powtarza Rachel. – Jeśli to tylko jakieś głupie nieporozumienie, będziemy miały świetną historię do opowiadania po twoim powrocie do domu.

– Mam się zakochać tylko po to, żebyś miała co opowiadać znajomym w teatrze? – kpię.

– Zaufaj swojej intuicji – mówi Elizabeth. – Może Heather coś przekręciła. Tak się tworzą plotki. Przecież gdyby zadźgał siostrę nożem, gdzieś by go raczej zamknęli, nie?

– Przecież nie powiedziałam, że ją zadźgał. Nawet nie wiem, co się dokładnie zdarzyło.

– Widzisz! – triumfuje Elizabeth. – Już coś przekręciłam! Tak jest z plotkami.

– Jutro będę miała okazję zapytać – przyznaję. – Jedziemy razem dostarczyć choinkę.

Rachel odchyła się od komputera.

– Ty to masz dziwne życie, laska.



Mama i tata są w przyczepie, dopiero kończą kolację, ale czuję na sobie ich wzrok, gdy idziemy z Calebem w stronę jego samochodu. Wiem, że widzą dłoń Caleba, moją dłoń, odległość między nimi. Wydaje mi się, że idziemy na ten parking całe wieki.

Wsiadam do pikapa, a Caleb zamyka za mną drzwi. Za mną, na naczepie pikapa, znajduje się kolejna choinka. Bardzo przeceniona – przepraszam, tato! – jodła szlachetna. Mamy ją zawieźć gdzieś, gdzie ktoś na nią czeka. Mimo że sprzedaję choinki w każde święta, nigdy jeszcze nie pojechałam z żadną dalej, nie towarzyszyłam jej w drodze do jej nowego domu.

– Opowiadałam przyjaciółkom o twojej dystrybucji choinkowej – mówię.  
– Ich zdaniem to bardzo kochane z twojej strony.

Parska śmiechem i włącza silnik.

– „Dystrybucji choinkowej”? Zawsze myślałem, że po prostu zawożę ludziom choinki.

– Przecież to to samo! Znowu mnie łapiesz za słówka! – Nie przyznaję mu się, że w sumie to lubię.

– Może zanim pojedziesz do domu, podłapię trochę tego twojego odjechanego słownictwa.

Trącam go lekko w ramię.

– Przydałoby ci się.

Uśmiecha się i zmienia bieg.

– To pewnie będzie zależało od tego, jak dużo czasu z tobą spędzę.

Patrzę na niego kątem oka. Robi mi się ciepło, gdy dociera do mnie, co miał na myśli.

Wyjeżdżamy na główną drogę.

– To jak myślisz, jakie mam szanse na bardziej regularne korepetycje ze słownictwa?

Tak bardzo chciałabym dać mu odpowiedź, ale nim do czegokolwiek się zobowiązę, powinnam wiedzieć pewne rzeczy. Tylko że wolałabym, żeby sam poruszył ten temat. Przecież powiedział, że do tego wróci.

– To zależy – mówię. – Jak myślisz, ile jeszcze choinek kupisz w tym roku?

Patrzy przez swoje okno na pas obok, ale widzę jego uśmiech w bocznym

lusterku.

– Przed świętami ludzie dają więcej napiwków, ale muszę przyznać, że nawet z przeceną te drzewka robią się jednak trochę drogie. Bez urazy.

– Większej zniżki już ci nie mogę dać, może więc czas przejść w pracy na tryb superuroczego kelnera.

Wyjeżdżamy na autostradę i jedziemy na północ. Na tle ciemniejącego nieba majaczy postrzępiona piramida Cardinals Peak.

Wskazuję mu szczyt wzgórza.

– Wyobraź sobie, że mam tam sześć własnych choineczek.

Ogląda się na mnie szybko, potem patrzy przez okno na ciemne wzgórze.

– Masz plantację choinek na Cardinals Peak?

– No, raczej nie plantację. Ale co roku sadzę tam jedno drzewko.

– Serio? Jakim cudem? – dopytuje.

– Właściwie ta historia zaczęła się, jak miałam pięć lat.

Włącza kierunkowskaz, ogląda się przez ramię i zmienia pas.

– Opowiadaj – prosi. – Wszystko od początku.

Reflektory przejeżdżającego samochodu rozświetlają na chwilę jego zaciekawioną minę.

– Okej. – Łapię się za pas na klatce piersiowej. – Kiedy miałam pięć lat, zasadziłyśmy z mamą choinkę na naszej farmie. Przedtem zasadziłam już oczywiście dziesiątki drzewek, ale ta była wyjątkowa. Ogrodziłyśmy ją płotkiem i w ogóle. Sześć lat później, gdy miałam jedenaście lat, ścięłyśmy ją i podarowałyśmy oddziałowi położniczemu w naszym szpitalu.

– Fajnie!

– Nie jest to może nic tak wielkiego jak twoja akcja, panie Święty Mikołaju – żartuję. – Ale jednak moi rodzice mają taki zwyczaj, że co roku dają położnym w prezencie choinkę w podziękowaniu za pomoc przy moich narodzinach. Podobno trochę mi to zajęło, zanim raczyłam przyjść na ten świat.

– Mama mówi, że moja siostra też była wybredna przy porodzie i trzeba było ją długo namawiać – mówi Caleb.

Parskam śmiechem.

– Wybredna? Moje kumpele byłyby zachwycone, gdyby wiedziały, że jestem twoim zdaniem wybredna.

Posyła mi pytające spojrzenie, ale mowy nie ma, żebym mu to teraz wyjaśniała.

– W każdym razie kiedy miałam pięć lat, postanowiłyśmy zasadzić tamtą choinkę, żeby była taka specjalnie ode mnie. Strasznie mi się spodobał ten pomysł. Przeskakujemy w opowieści sześć lat. Otóż tak bardzo dbałam o to drzewko przez całe jego życie i, wiesz, przez ponad połowę mojego życia, że kiedy je w końcu ścięliśmy, zupełnie się popłakałam. Mama mówi, że klęczałam przy pieńku i ryczałam godzinę.

– Oj!

– Jeśli jesteś sentymentalny, to czekaj: wyobraź sobie, że drzewko też płakało! No, tak jakby. Kiedy drzewo rośnie, wciąga wodę korzeniami, tak? Czasami, jak się je ścina, korzenie dalej pompują wodę do pnia i pojawiają się krople soku.

– Jak łązy? To musiał być rozdzierający widok!

– No był!

Kolejne reflektory rozświetlają jego kpiący uśmiech.

– Ale musisz przyznać, że był też trochę soczysty.

Przewracam oczami.

– Znam każdy możliwy dowcip o drzewach, sokach i igłach, więc odpuść sobie.

Znów włącza kierunkowskaz i zjeżdżamy z autostrady. Zakręt jest ostry, więc trzymam się klamki.

– To dlatego odcinamy kilka centymetrów pnia tuż przed sprzedażą – wyjaśniam. – Świeżo obcięty pieńek lepiej zasysa wodę. Nie zasysałyby tak, gdyby był zalepiony sokiem.

– O, nie wiedziałem! – Urywa. – No, to całkiem sprytne.

– W każdym razie – wracam do opowieści – zanieśliśmy drzewko do szpitala, ale potem tata dał mi jego kawałek, taki plaster szerokości kilku centymetrów, który odciął od pieńka. Zabrałam go do pokoju i namalowałam na nim choineczkę. Wciąż go mam w domu na komodzie.

– Super! Chyba nie mam niczego tak symbolicznego. Ale jak to się ma do twojej małej plantacji na naszym wzgórzu?

– Następnego dnia mieliśmy już jechać tutaj. To znaczy właściwie już wyjechaliśmy i wtedy zaczęłam płakać, bo dotarło do mnie, że powinnam była przecież zasadzić nowe drzewko w miejsce tamtego. Nie mieliśmy już jednak na to czasu, więc mama tylko wróciła pod szklarnię, zabrała jedną sadzonkę i przypięła ją pasem w samochodzie.

– A ty zasadziłaś ją tutaj – dokańcza Caleb.

– Potem już co roku przywoziłam ze sobą nowe drzewko. Zamierzałyśmy z Heather ściąć pierwsze w przyszłym roku i postawić je u niej w domu. Zawsze dostają od nas choinkę, ale ta by była wyjątkowa.

– Piękna historia – mówi.

– Dzięki. – Patrzę przez okno. Mijamy kilka dwupiętrowych hoteli. Zamykam oczy. Nie wiem nawet, czy powinnam to mówić. – Ale może... sama nie wiem... Może lepiej by było, gdybyś ty podarował tę moją choinkę komuś, kto jej potrzebuje?

Jedziemy chwilę w milczeniu. W końcu obracam się, żeby na niego spojrzeć. Chyba spodziewałam się uśmiechu, radości. Przecież właśnie zaofiarowałam się dać mu pierwsze drzewko, które zasadziłam w Kalifornii. Ale on wpatruje się w drogę pogrążony w zadumie.

– Myślałam, że się ucieszysz – bąkam.

Mruga, ogląda się na mnie. Uśmiecha się niepewnie.

– Dzięki.

„Serio? – mam ochotę spytać. – Jakoś wcale nie wyglądasz, jakbyś się cieszył”.

Uchyła okno. Wiatr targa mu włosy.

– Przepraszam – mówi. – Wyobraziłem sobie twoją choinkę w obcym domu. Miałaś wobec niej dobre plany. Nie zmieniaj ich ze względu na mnie.

– Ale może tego właśnie chcę.

Caleb wjeżdża na parking przed czteropiętrowym blokiem. Znajduje wolne miejsce blisko budynku i zatrzymuje samochód.

– A może zrobmy tak: przez ten rok poszukam idealnej rodziny, a kiedy wrócisz, razem zawieziemy im twoją choinkę.

Próbuję ukryć niepewność co do przyszłego roku, więc mówię:

– A co, jeśli w przyszłym roku nie będę już miała ochoty się z tobą włóczyć po ludziach?

Robi taką smutną minę, że natychmiast żałuję tych słów. To miał być żart, liczyłam na sarkastyczną ripostę. Rozpaczliwie próbuję się teraz jakoś z tego wycofać:

– Wiesz, do przyszłego roku możesz być już na przykład zupełnie szczerbaty. Biorąc pod uwagę twoje uzależnienie od lizaków i gorącej czekolady...

Uśmiecha się i otwiera drzwi od samochodu.

– Obiecuję, że będę superporządnie mył zęby.

I znów wszystko jest między nami w porządku.

Wyskakuję z uśmiechem z auta i idę w stronę naczepy.

Większość okien jest ciemna, ale kilka ozdobiono świątecznymi światełkami. Caleb podchodzi do klapy pikapa z naklejką Sagebrush Junior High i otwiera ją. Chwyta drzewko za pień, a ja sięgam po gałęzie.

– Skoro już poprawiłam twoją higienę i słownictwo – żartuję – to powiedz mi od razu, w czym jeszcze powinnam ci pomóc.

Uśmiecha się do mnie tak, że znów widać jego dołeczek, i głową wskazuje blok.

– Po prostu idź w tę stronę. Żeby mi tak naprawdę pomóc, tobyś chyba musiała zrezygnować ze wszystkich innych zajęć.

Idę przodem. Niesiemy choinkę w stronę wejścia do bloku. Przymykam oczy i śmieję się cicho. Nie mogę uwierzyć, że mało nie odpowiedziałam na to: „Nie ma sprawy”. Oglądam się przez ramię i bardzo się staram nie powiedzieć niczego tak głupiego.

Winda jest tak mała, że z trudem mieścimy się w niej z choinką. Caleb wciska guzik z numerem trzy i ruszamy. Kiedy otwierają się drzwi, przepycham się do wyjścia, a potem Caleb znów przekręca drzewko poziomo i łapię swój koniec. Niesiemy je na sam koniec korytarza. Tam Caleb puka do drzwi kolaniem. Na drzwiach wisi nieporadnie wycięty z brystolu aniołek. Trzyma w rękach napis: „Feliz Navidad”.

Otwiera nam krępa, siwa kobieta w sukience w kwiaty. Z zaskoczenia robi krok w tył.

– Caleb!

– Wesołych świąt! – mówi Caleb, nie puszczając choinki.

– Luis nic nie mówił, że wpadniesz. I to z choinką!

– Bo to miała być niespodzianka, proszę pani – zapewnia Caleb. – Pozwoli pani, że przedstawię moją koleżankę, Sierę. Sierro, to pani Trujillo.

Pani Trujillo chyba chce mnie od razu uściskać na powitanie, ale reflektuje się, widząc, że nie mam nawet wolnej ręki.

– Tak miło cię poznać! – cieszy się.

Pakujemy się z drzewkiem do mieszkania i kątem oka widzę, że pani Trujillo mruga konspiracyjnie do Caleba, wskazując mu mnie głową, ale udaję, że tego nie zauważyłam.

– Bank żywności dał mi znać, że chciałyby pani choinkę – mówi Caleb – i oto jestem.

Kobieta rumieni się i klepie go po ramieniu.

– Złoty chłopak z ciebie! Złote serducho! – Szura kapciami po kuchni połączonej z dużym pokojem. Pochyla się, materiał w kwiatki napina się na jej brzuchu. Wyciąga spod kanapy stojak na choinkę. – Nawet jeszcze nie mieliśmy czasu wyjąć sztucznej choinki. Luis ma tyle pracy w szkole. A tu proszę, przynosisz mi prawdziwą!

Trzymamy z Calebem drzewko, a pani Trujillo przesuwa nogą gazety i stawia stojak w kącie, zachwycając się przy tym zapachem świeżej choinki.

Patrzy na Caleba, przykłada dłoń do serca, potem klaszcze z radości.



– Dziękuję, mój drogi. Dziękuję, dziękuję!

Z drugiej części pokoju dobiega nas nagle cichy głos:

– Myślę, że naprawdę słyszał już za pierwszym razem, mamó.

Caleb ogląda się na chłopaka mniej więcej w naszym wieku. To pewnie jest Luis. Wchodzi właśnie wąskim korytarzem.

– Cześć, stary – rzuca.

– Luis! Zobacz tylko, co nam przywiózł Caleb!

Luis patrzy na drzewko z wymuszonym uśmiechem.

– Dzięki, że je podrzuciłeś.

Pani Trujillo dotyka mojego ramienia.

– Chodzisz z nimi do szkoły?

– Nie, mieszkam w Oregonie – wyjaśniam.

– Jej rodzice są właścicielami stoiska z choinkami – opowiada Caleb. – Ta choinka przyjechała prosto z ich farmy.

– Naprawdę? – zachwyca się pani Trujillo. – Aha, czyli uczysz Caleba, jak ma być twoim chłopcem na posyłki?

Luis parska śmiechem, ale pani Trujillo wygląda na zdezorientowaną.

– Nie – bąka Caleb. Patrzy na mnie. – Nie do końca. My...

Patrzę na niego.

– Mów, mów – zachęcam go. Bardzo by było ciekawie usłyszeć, jak wyjaśnia naszą relację.

Uśmiecha się żartobliwie.

– Po prostu akurat się zaprzyjaźniliśmy.

Pani Trujillo wznosi ręce do nieba.

– Rozumiem, rozumiem. Już o nic nie pytam. Wziąłbyś dla rodziców trochę słodkości? Zrobiłam *turrón*.

– Oczywiście! – zapewnia ją Caleb. Ma taką minę, jakby mu podała szklankę wody na środku pustyni. – Sierra, musisz tego skosztować.

Pani Trujillo znów klaszcze w dłonie.

– Właśnie! Ty też weź trochę dla rodziców. Tyle tego narobiłam. Starczy jeszcze i dla sąsiadów.

Wysła Luisa po serwetki, nam rozdaje po porcji czegoś, co wygląda jak nugat z migdałami. Odłamuję sobie kawałeczek i wkładam do ust – pyszności! Caleb już zdążył pochłonąć pół swojej porcji.

Pani Trujillo promienieje. Nakłada nam spore porcje do woreczków śniadaniowych, żebyśmy zanieśli rodzicom. W drodze do drzwi dziękujemy

jej za *turrón*. Potem jeszcze w progu pani Trujillo długo ściska Caleba i dziękuje mu za choinkę.

Gdy z woreczkami pełnymi słodkości czekamy na windę, pytam:

– Czyli kumplujesz się z Luisem?

– Miałem nadzieję, że nie będzie skrępowany – odpowiada Caleb, kiwając głową. Otwiera się winda, wchodzimy, Caleb naciska guzik. – Bank żywności ma listy rzeczy i każda rodzina może zaznaczyć, co by się im przydało. Proszę ich, żeby czasem spytali o choinkę, i stąd biorę adresy. Kiedy zobaczyłem, że pani Trujillo marzy się choinka, spytałem Luisa, czy to będzie spoko, ale...

– Nie wyglądał na zachwyconego. Myślisz, że się wstydził?

– Przeżyje to jakoś. Wie, że jego mama bardzo chciała mieć choinkę. A wiesz, to jest tak niezwykle miła osoba. – Drzwi windy się otwierają i Caleb puszcza mnie przodem. – Jest zawsze taka wdzięczna za każdą pomoc. Nikogo nie osądza. Tacy ludzie jak ona naprawdę zasługują na to, by od czasu do czasu dostać to, o czym marzą.

Wskakujemy do samochodu i znów wyjeżdżamy na autostradę.

– Opowiedz mi, dlaczego zacząłeś to robić – proszę, uznawszy, że choinki to bezpieczny sposób, by sprowadzić rozmowę na tematy bardziej osobiste.

Jedzie chwilę w milczeniu.

– W sumie opowiedziałas mi o swoich drzewkach na wzgórzu... – mówi w końcu.

– Tak jest. Teraz twoja kolej.

– Powody, dla których to robię, są właściwie ściśle związane z tym, że wiem, że Luis to jakoś przeżyje – zaczyna. – Wie, że robię to ze szczerego serca. Przez jakiś czas po rozwodzie rodziców mieliśmy dokładnie taką samą sytuację jak jego rodzina teraz. Mamę ledwie było stać na kupienie nam najdrobniejszych upominków, a o choince to w ogóle mowy nie było.

Dodaję to do swojej małej, ale rosnącej listy rzeczy, które wiem o Calebie.

– A jak jest teraz? – pytam.

– Lepiej. Awansowała na kierowniczkę swojego działu i znów stać nas na choinki. Ta pierwsza, którą u was kupiłem, była dla nas. – Ogląda się na sekundę na mnie i uśmiecha. – Mama wciąż oszczędza na ozdobach, ale wie, jak ważna jest dla nas choinka.

Przypominam sobie te wszystkie jednodolarówki, które mi dał przy pierwszym zakupie.

– Ale przecież to ty za nią zapłaciłeś.

– E, nie. – Śmieje się. – Ja tylko dopłaciłem, żeby kupić większą.

Chcę spytać o jego siostrę. Ale kiedy patrzę na jego profil, na jego wbite w drogę oczy, wydaje mi się taki spokojny. Heather ma rację, cokolwiek dzieje się między mną a Calebem, nie musi przetrwać dłużej niż do świąt. Skoro tak mi się miło spędza z nim czas, po co zakłócać to głupimi pytaniami? Tylko by się znów zamknął w sobie.

A może tak naprawdę nie chcę nawet znać odpowiedzi na te pytania.

– Cieszę się, że udało nam się dziś razem pojechać – mówię. – Dzięki.

Uśmiecha się i włącza kierunkowskaz, żeby zjechać z autostrady.



Caleb obiecał wpaść znów pod koniec tygodnia. Kiedy jego pikap wjeżdża wreszcie na parking, nie wychodzę z namiotu, żeby go powitać. Nie chcę, żeby wiedział, z jaką niecierpliwością na niego czekałam. Mam cichą nadzieję, że z tego samego powodu nie przyjechał do mnie od razu następnego dnia – że ukrywa podobną niecierpliwość.

Mija jednak dłuższa chwila, a on nie wchodzi do namiotu, więc wyglądam na zewnątrz. Andrew coś do niego mówi, wymachuje palcem. Caleb patrzy gdzieś ponad jego ramieniem, ręce trzyma głęboko w kieszeniach kurtki. Kiedy Andrew wskazuje mu naszą przyczepę – w której tata właśnie gada przez telefon z wujkiem Bruce'em – Caleb przymyka oczy. Garbi się. Andrew odmaszerowuje w stronę drzew i aż dziw, że któregoś po drodze nie kopie.

Szybko chowam się z powrotem za ladę. Po kilku sekundach do namiotu wchodzi Caleb. Nie wie, że widziałam ich rozmowę z Andrew. Zachowuje się jak gdyby nigdy nic.

– Jadę do pracy – mówi i teraz już wiem, że potrafi udawać ten uśmiech z dołączkiem. – Ale pomyślałem, że wpadnę po drodze.

Nie mamy nawet minuty, żeby pogadać, bo pojawia się tata. Odkłada na blat rękawice, odkręca termos. Idzie dolać sobie kawy. Nie podnosząc wzroku, pyta Caleba:

– Przyjechałeś po kolejną choinkę?

– Nie, proszę pana – odpowiada Caleb. – Wpadłem tylko pogadać z Sierrą.

Termos jest już pełen. Tata odwraca się w stronę Caleba. Powoli zakręca

pokrywkę.

– Wolałbym, żebyście za długo nie gadali. Sierra ma dużo roboty przy choinkach, a potem jeszcze pracę domową do odrobienia.

Tata klepie Caleba po ramieniu i wychodzi. Co za upokorzenie. Chyba zapadnę się pod ziemię. Rozmawiamy jeszcze chwilę w namiocie, a potem odprowadzam go do pikapa. Otwiera drzwi kierowcy, ale jeszcze wskazuje mi głową plakat, który powiesiłam tu tamtego dnia, gdy się poznaliśmy.

– To już jutro – mówi. – Będę na paradzie z kumplami. To fajna parada. Warto, żebyś ją zobaczyła.

„Fajna parada”? Mam ochotę pozartować sobie z niego za to, że nie ma odwagi mnie porządnie zaprosić na wspólne wyjście.

– Pomyślę o tym – mówię tylko.

Odjeżdża, a ja wracam do namiotu. Patrzę w ziemię i mimowolnie uśmiecham się do siebie.

Nim docieram do lady, pojawia się przede mną tata.

– Sierro... – Wie dobrze, że wcale nie chcę usłyszeć tego, co ma do powiedzenia, ale i tak musi to powiedzieć. – To na pewno bardzo miły chłopiec, ale proszę cię, nie zaczynaj niczego. Masz tyle pracy i zaraz wyjeżdżamy i...

– Niczego nie zaczynam – zapewniam go. – Po prostu się przyjaźnimy, tato. Nie bądź taki dziki.

Parska śmiechem i zaczyna popijać swoją kawę.

– Dlaczego nie możesz po prostu znów bawić się, że jesteś księżniczką?

– Tato. Ja nigdy nie bawiłam się, że jestem księżniczką.

– Chyba sobie żartujesz? Zawsze, gdy mama Heather zabierała was na paradę, wkładałaś tę wspaniałą suknię i udawałaś, że jesteś Królową Zimy.

– Ha! Królową, tato. Nie księżniczką! To by było poniżej godności twojej córki.

Tata pochyła się nisko, jakby stał przed prawdziwą królową. Potem idzie w kierunku przyczepy, a ja wracam do namiotu. Tam przy kasie zastaję Andrew. Opiera się o ladę.

Staję za ladą, odsuwam na bok rękawice taty.

– O czym rozmawialiście z Calebem? – pytam.

– Zauważyłem, że często tu przyjeżdża – odburkuje Andrew.

Krzyżuję ręce na piersi.

– I co z tego?

Andrew kręci głową.

– Wydaje ci się, że to taki świetny facet, bo kupuje ludziom choinki, ale w ogóle go nie znasz.

Mam ochotę mu powiedzieć, że to on niczego nie wie o Calebem, ale prawda jest taka, że pewnie wie o wiele więcej niż ja. Czy głupio robię, że wciąż nie spytałam Caleba wprost o te plotki?

– Skoro twój tata nie życzy sobie, by którykolwiek z pracowników się z tobą spotykał, tym bardziej nie będzie pochwalał randek z Calebem.

– Przestań! To w ogóle nie jest twoja sprawa.

Spuszcza wzrok.

– W zeszłym roku głupio zrobiłem. Nie powinienem był przyklepać tej durnej karteczki na twoim oknie. Powinienem po prostu zaprosić cię na paradę.

– Andrew – mówię cicho. – To nie chodzi o tatę ani Caleba, ani w ogóle o nikogo. Postarajmy się po prostu, żeby nam się spokojnie razem pracowało, dobra?

Podnosi wzrok i patrzy na mnie wrogo.

– Nie umawiaj się z Calebem. To żalosne, że w ogóle wydaje ci się, że możecie się przyjaźnić. On nie jest tym, za kogo go masz. Nie bądź...

– Tak? – Mrużę oczy. Jeśli tylko nazwie mnie idiotką, tata zwolni go w jednej chwili.

Andrew jednak nie kończy zdania i wychodzi wściekły z namiotu.

W dniu parady wieczorem jedziemy do miasta z Heather i Devonem. Mama Heather jest w komitecie organizacyjnym i błagała, żebyśmy przyjechali wcześniej. Gdy tylko docieramy do niebieskiego namiotu z szyldem „Rejestracja”, daje nam po torbie ze wstążeczkami dla uczestników i podkładki z listą, żeby odhaczyć, kto już przyszedł. Większość grup już się sama zarejestrowała, ale zawsze znajdzie się kilka nowych organizacji, które zapomną zgłosić swoją obecność. I to właśnie je mamy namierzyć.

Devon patrzy na Heather.

– Poważnie? Naprawdę musimy?

– Tak, Devon. To należy do twoich zadań jako mojego chłopaka. Jak ci się nie podoba... – Heather macha ręką w stronę przechodzących ludzi.

Zupełnie niezrażony tą cichą groźbą Devon pochyla się i całuje ją w policzek.

– Dla ciebie wszystko.

Ale kiedy się od niej odsuwa, posyła mi kpiący uśmiech. Ten chłopak dobrze wie, że działa jej czasem na nerwy.

– Zanim zaczniemy poszukiwania, zdobądźmy kawę. Zimno się robi – marudzi Heather.

Przeciskamy się przez hałaśliwe zastępy skautów, by dotrzeć do kawiarni znajdującej się półtorej przecznicy dalej. Heather wysyła Devona po kawę. Czekamy na niego na zewnątrz.

– Musisz mu powiedzieć – stwierdzam. – Przeciąganie tego nie robi dobrze żadnemu z was.

Heather odchyła głowę i wzdycha.

– Wiem. Ale on naprawdę powinien poprawić stopnie z tyłu przedmiotów w tym semestrze. Nie chcę, żeby złamane serce odciągnęło go od nauki.

– Heather...

– Jestem okropna. Wiem! Wiem. – Patrzy mi w oczy, ale potem nagle przenosi wzrok na coś za moimi plecami. – A skoro już mowa o nieuniknionych rozmowach, to wydaje mi się, że widzę Caleba.

Odwracam się natychmiast. Po drugiej stronie ulicy, na ławce na przystanku autobusowym, siedzi Caleb z dwoma kumplami. Jeden z nich to chyba Luis. Postanawiam poczekać na Devona i nasze kawy. W ten sposób będę miała chwilę, żeby zebrać się na odwagę i podejść.

Na przystanek podjeżdża autobus i już jestem prawie pewna, że straciłam okazję, żeby zagadać z Calebem. Ale kiedy autobus odjeżdża, widzę, że dalej siedzi w tym samym miejscu z przyjaciółmi. Gadają, śmieją się. Caleb trze ręce, żeby je rozgrzać. Potem chowa je w kieszenie.

Devon wychodzi z kawiarni i podaje mi kawę, ale kręcę głową.

– Zmieniłam zdanie – mówię. – Możecie namierzyć tych zagubionych uczestników beze mnie? Znajdę was później.

– Jasne – zapewnia mnie Heather. Devon wzdycha wyraźnie wkurzony, że tak łatwo się wymigałam od roboty, a on nie. Ale nie jest mu dane nawet ponarzekać, ponieważ Heather posyła mu groźne spojrzenie i mówi: – Bo tak i już!

Wchodzę do kawiarni i po chwili wyłanian się z niej z dwoma ciepłymi napojami. Przez ulicę przechodzę powoli, żeby nic mi się nie wylało. Nim docieram do Caleba, kilka metrów dalej z samochodu wyskakuje wysoki chłopak w białym mundurze orkiestry dętej. Za nim wysiada trochę starsza dziewczyna w stroju cheerleaderki ze znajomym rysunkiem buldoga. Podbiega do nich kolejny członek orkiestry z fletem.

– Jeremiah!

Caleb odrywa wzrok od swoich kumpli na ławce i patrzy na chłopaka z orkiestry. Jeremiah otwiera bagażnik i wyciąga werbel z długim pasem. Zatrząskuje bagażnik, zarzuca sobie pas na ramię, a w tylną kieszeń spodni wtyka pałeczki.

Zwalniam. Jestem już blisko ławki, ale Caleb wciąż patrzy gdzie indziej – na chłopaka z orkiestry i cheerleaderkę. Samochód rusza. Widzę, jak kobieta za kierownicą pochyla się i mierzy wzrokiem Caleba. Caleb uśmiecha się do niej niepewnie i spuszcza oczy.

Samochód odjeżdża. Słyszę, że flecista opowiada o jakiejś dziewczynie, z którą ma się spotkać po paradzie. Kiedy przechodzą koło przystanku autobusowego, Jeremiah ogląda się na Caleba. Może się mylę, ale wydaje mi się, że robi się jakoś smutno.

Nagle cheerleaderka podchodzi, chwytając Jeremiaha za ramię i ciągnie, żeby szedł szybciej. Caleb odprawia ich wzrokiem i wtedy mnie zauważa.

– A jednak przyszłaś – mówi.

Podaję mu jeden z kubków.

– Wyglądałeś na zziębniętego.

Upija trochę, po czym zasłania usta, mało nie krztusząc się ze śmiechu. Przełyka i mówi:

– Miętowa mokka. No jasne!

– I nie jakaś tania – dodaję.

Luis i ten drugi chłopak pochylają się nagle, patrzą na coś na ulicy za mną. Na skrzyżowaniu zatrzymała się biało-różowa limuzyna cabrio. Ktoś otwiera drzwi i pomaga wsiąść dziewczynie w lśniącej niebieskiej sukni z jasnoniebieską szarfą.

– Czy to Christy Wang? – pytam.

Kiedy chodziłam tu do szkoły w święta, była tylko jedna osoba, która nie witała mnie tak serdecznie jak wszyscy inni – Christy. Twierdziła, że nie jestem prawdziwą Kalifornijką. Widać przeszła jakąś przemianę osobowości, skoro wybrano ją na Królową Zimy. Chyba że to raczej kwestia tego, jak niesamowicie wygląda w tej sukni.

– Mamy dziś piękny dzień na paradę, proszę państwa – odzywa się nagle Luis dziwnym głosem komentatora. – Wprost przepiękna pogoda. A do tego tegoroczna Królowa Zimy to naprawdę gorąca laska. Domyślam się, proszę państwa, że znalazła się na samym szczycie listy Świętego Mikołaja.

Chłopak obok Luisa wybucha śmiechem.

Caleb daje mu kuksańca w bok.

– Z szacunkiem, stary. W końcu to nasza królowa.

– Co to ma w ogóle być? – pytam.

– Jak to co? Komentarz paradowy – wyjaśnia ten nieznany mi chłopak. – Jakoś co roku zapominają wysłać tu do nas telewizję, więc nadrabiamy, jak potrafimy. Jestem Brent, a ty?

– Sierra. – Podaję mu tę rękę, w której nie trzymam kawy.

Caleb patrzy na mnie trochę zakłopotany.

– To taka nasza tradycja – wyjaśnia.

– A więc to ty jesteś tą dziewczyną od choinek. – Brent wskazuje mnie palcem. – Słyszałem o tobie, słyszałem.

Caleb bierze wielki łyk kawy i wzrusza ramionami, co ma chyba sugerować, że jest niewinny.

– Miło cię znów zobaczyć, Luis – mówię.



– I nawzajem – odpowiada chłopak cichym, jakby niepewnym głosem, ale nagle ożywia się na widok mężczyzny z niezawiazanym sznurowadłem. – Czas, proszę państwa, na wieści z Klubu Dyktatorów Mody. Co by państwo powiedzieli na wiązanie jednej sznurówki, a zostawianie drugiej luzem? Czy ten trend zaskoczy? Chyba jednak nie.

– Te, dyktator, nie potknij się! – woła Brent.

Mężczyzna obraca się, a Brent macha do niego z uśmiechem.

Przez chwilę żadne z nas nic nie mówi. Chłopcy siedzą i gapią się na przechodniów. Caleb znów pije trochę kawy, a ja powoli robię krok w tył.

– A ty dokąd? – niepokoi się. – Zostań.

– Spoko. Nie będę wam przecież przeszkadzać w komentowaniu.

Caleb ogląda się na kumpli. Widać rozumieją się bez słów, bo potem znów patrzy na mnie i mówi:

– Nie przeszkadzasz.

Brent zaczyna nas przeganiać jak kury.

– Idźcie, dzieci, idźcie, pobawcie się ładnie. No, już, sio!

Caleb przybija jeszcze z nimi żółwika, po czym ciągnie mnie w stronę parady.

– Dzięki za kawę.

Mijamy kilka sklepów otwartych dziś do późna z okazji parady. Oglądam się na niego, licząc na lekką konwersację. Patrzy na mnie i uśmiechamy się, ale potem znów patrzymy przed siebie. Przy Calebie kompletnie nie wiem, jak mam się zachowywać, zupełnie tracę pewność siebie.

W końcu pytam o to, co mnie dręczy.

– Co to był za chłopak?

– Brent?

– Nie, tamten z orkiestry.

Caleb sący kawę i chwilę idziemy w milczeniu.

– Jeremiaś. Stary kumpel.

– I woli maszerować na paradzie, niż komentować razem z wami? – dopytuję. – Jestem w szoku.

Caleb się uśmiecha.

– Nie, pewnie nie woli. Ale nie trzymałby się z nami, nawet gdyby mógł.

Waham się dłuższą chwilę, ale jednak pytam:

– To dłuższa historia?

– O, tak – odpowiada natychmiast. – Bardzo długa.

Wiem, że wtykam nos w nie swoje sprawy, ale z drugiej strony, jak mamy się choćby przyjaźnić, skoro nie mogę zadać prostego pytania? Przecież to pytanie nie wzięło się tak zupełnie z niczego. Dotyczy czegoś, co widziałam na własne oczy. Jeśli będzie się tak zamykał w sobie z byle powodu, to czy ja w ogóle chcę się z nim trzymać? Rzucałam chłopaków z powodów znacznie mniej poważnych niż takie dzikie zachowanie.

– Jeśli chcesz, możesz wrócić do kumpli – mówię. – I tak muszę pomóc Heather.

– Wolę iść z tobą – odpowiada.

Przystaję.

– Caleb, naprawdę myślę, że powinieneś być dziś ze swoimi przyjaciółmi. Przymyka oczy i przeczesuje sobie włosy ręką.

– Daj mi drugą szansę.

Patrzę na niego wyczekująco.

– Jeremiaś był moim najbliższym przyjacielem. Potem stało się, co się stało. Już coś pewnie o tym słyszałaś. I jego rodzice zabronili mu się ze mną trzymać. Jego siostra zachowuje się, jakby była jego osobistym ochroniarzem. Zresztą jest miniwersją ich matki. W każdym razie nie odstępuję go na krok.

Przypominam sobie, jak mama Jeremiaha spojrzała na Caleba, gdy go mijala, i jak siostra zabrała brata szybko jak najdalej przystanku. Chcę spytać o szczegóły, ale to Caleb musi chcieć mi o tym opowiedzieć. Możemy się zbliżyć, tylko jeśli to on zaprosi mnie do swojego życia.

– Jeśli naprawdę musisz wiedzieć, co się stało, to ci opowiem – mówi. – Ale nie teraz.

– Nie odkładaj tego – proszę.

– Dobra, ale nie tu. Jesteśmy na świątecznej paradzie! I mamy miętową mokkę. – Patrzy na coś za mną i uśmiecha się krzywo. – Tu i tak nie usłyszałybyś połowy mojej opowieści.

I rzeczywiście w tej samej chwili orkiestra zaczyna grać głośną, perkusyjną wersję kolędy *Little Drummer Boy*.

– Chyba masz rację! – usiłuję przekrzyczeć orkiestrę.

Kawałek dalej wpadamy na Heather i Devona. Devon ścisną kurczowo swoją podkładkę z listą, a Heather patrzy na niego morderczym wzrokiem.

– Co jest grane? – pytam.

– Królowa Zimy poprosiła go o numer telefonu! – grzmi Heather. – Mimo

że stałam tuż obok!

Na ustach Devona igra maleńki uśmiech i mam ochotę odpowiedzieć mu tym samym. A zatem Christy Wang nic a nic się jednak nie zmieniła. Ale przede wszystkim zaczynam się zastanawiać, czy aby całe to głupie gadanie Heather o zerwaniu nie było... tylko głupim gadaniem. Przecież ona coś do niego jednak czuje, nawet jeśli przejawia się to tylko napadami zazdrości.

Idziemy za nimi i udaje nam się znaleźć trochę miejsca na krawężniku między rodzinami oglądającymi paradę. Heather siada pierwsza, a ja wciskam się przy niej. Devon stoi. Caleb przybija z nim żółwika, ale potem siada przy mnie.

– Naprawdę poprosiła go numer? – upewniam się.

– Tak! – syczy Heather. – A ja stałam tuż obok!

Devon pochyla się.

– Chciałem zaznaczyć, że go jej nie podałem. I powiedziałem, że mam już dziewczynę.

– To się zawsze może zmienić – grozi mu Heather.

– Trzeba przyznać, że jest imponującą Królową Zimy – wtrąca się Caleb.

Słyszę kpinę w jego głosie, ale i tak daję mu kuksańca w bok.

– No wiesz?!

Uśmiecha się i trzepocze rzęsami jak uosobienie niewinności. Nim Heather ma czas cokolwiek więcej powiedzieć, a Devon bardziej się pogryźć, zza rogu wymaszerowują Buldogi, a przed nimi cheerleaderki. Tłum zaczyna śpiewać *Jingle Bell Rock*, bo to właśnie gra teraz orkiestra.

Patrzę, jak mija nas grający na werblu Jeremiah. Klaszczemy wszyscy w rytm, ale zamieram, gdy widzę, że Caleb wcale się nie obraca, żeby jak wszyscy spojrzeć, kto nadejdzie następny w parady, tylko odprowadza wzrokiem orkiestrę. Ledwo już słysząc werbel, ale on wciąż wystukuje sobie rytm palcami o kolana.



Caleb zatrzaskuje klapę swojego pikapa. Na naczepie leży kolejna choinka.

– Na pewno masz czas? – pyta.

W sumie to nie mam. Zawsze, gdy tylko kończy się parada, cały ten tłum łąduje się do nas kupować choinki, ale gdy wróciliśmy na stoisko, spytałam mamę, czy mogę tylko jeszcze raz pojechać z Calebem. Dała mi pół godzinki.

– Jasne, bez problemu – zapewniam go. Na parking wjeżdżają jeszcze dwa samochody i Caleb patrzy na mnie sceptycznie. – No, dobra, może to nie jest najlepszy moment, ale i tak chcę pojechać.

Uśmiecha się z tym swoim dołeczkiem i podchodzi do drzwi samochodu.

– Dobra.

Kilka minut później zatrzymujemy się przed małym ciemnym domkiem. Wsiadamy oboje. Caleb chwyta środek drzewka, a ja pień. Wchodzimy po betonowych schodkach prowadzących do drzwi i poprawiamy uchwyt. Caleb przyciska dzwonek, a mi serce wali jak oszalałe. Zawsze lubiłam sprzedawać drzewka, ale przynosić je ludziom to jednak zupełnie co innego.

Drzwi otwierają się natychmiast. Facet w progu patrzy z irytacją na Caleba i choinkę. Zmęczona kobieta obok posyła mi podobne spojrzenie.

– Bank żywności powiedział, że przyjedziecie wcześniej – warczy facet. – Przez was przegapiliśmy paradę.

Caleb natychmiast spuszcza wzrok.

– Bardzo mi przykro. Powiedziałem im, że przyjedziemy po paradzie.

W głębi salonu widzę kojec. W środku śpi dziecko w pieluszce.

– Nie to nam powiedzieli. Dlaczego nas okłamali? – pyta kobieta. Otwiera szerzej drzwi i daje nam znak głową. – Postawcie ją w stojaku.

Wnosimy z Calebem choinkę, która nagle wydaje mi się dziesięć razy cięższa. Ustawiamy ją w ciemnym kącie, a oni się na nas gapią. Poprawiamy chwilę, żeby stała jak najprościej, a potem odsuwamy się o kilka kroków i patrzymy, czy jest dobrze. Kiedy mężczyzna nie protestuje, Caleb daje mi znak, żebym szła za nim, i wychodzimy.

– Życzę państwu wesołych świąt – mówi jeszcze Caleb w progu.

– Najweselej to się nie zaczęły – mamrocze kobieta. – Przez to wszystko przegapiliśmy paradę.

Obracam się w jej stronę.

– Tak, już państwo mó...

– Jeszcze raz bardzo przepraszamy – przerywa mi Caleb.

Chwyta mnie za rękę i ciągnie w stronę samochodu.

Idę za nim, kręcąc głową. W samochodzie wybucham jednak:

– Przecież oni ci nawet nie podziękowali!

Caleb włącza silnik.

– Przegapili paradę. Byli zdenerwowani.

Mrugam zdezorientowana.

– Ty nie mówisz poważnie! Przecież ty im właśnie dałeś choinkę za darmo!

Caleb wrzuca wsteczny i wyjeżdża na ulicę.

– Nie robię tego, żeby dostać piątkę z plusem czy coś. Mają małe dziecko, pewnie są wykończeni. Jak ktoś przegapi paradę, nawet jeśli to zwykłe nieporozumienie, to rozumiałe, że jest podenerwowany.

– Ale ty za to płacisz z własnej kieszeni! Poświęcasz im swój czas...

Patrzy na mnie z uśmiechem.

– Robiłabyś to tylko, jeśli ci ludzie mówili, jaka jesteś świetna?

Chce mi się wyć z frustracji. Ci ludzie byli zupełnie niepoważni. I Caleb też jest w tej chwili niepoważny!

Ale jednocześnie zupełnie nie wiem, co mu na to odpowiedzieć. Widzi to, śmieje się cicho i ogląda przez ramię, żeby zmienić pas.

Lubię Caleba. Lubię go coraz bardziej. A wszystko to może się tylko skończyć katastrofą. Wyjeżdżam pod koniec miesiąca, a on zostaje, tymczasem ciężar wszystkiego tego, czego nadal nie powiedział, rośnie między nami z każdym dniem.

Wracamy na stoisko, Caleb wjeżdża na parking, ale nie wyłącza silnika.

– Tak dla porządku, nie myśl, że nie mam świadomości, jak kiepsko się zachowali ci ludzie. Ale muszę, muszę wierzyć, że każdemu się może zdarzyć gorszy dzień.

Latarnie z naszego stoiska rzucają cienie w kabinie pikapa. Gdy Caleb patrzy na mnie, jego twarz częściowo jest w pograżona w ciemności, ale oczy rozświetla światło i widzę w nich prośbę o zrozumienie.

– Masz rację – przyznaję.

Tylu klientów co dziś jeszcze w tym roku nie mieliśmy. Ledwo mam czas wymknąć się do toalety, a co dopiero myśleć o porządnym obiedzie. Kiedy mam chwilę między jednym kasowaniem a drugim, podjadam makaron z serem, który trzymam przy ladzie. Do tego rano dostałam e-mail od Monsieur Cappeau. Prosił, żebym zadzwoniła do niego w najbliższych dniach *pour pratiquer*, ale naprawdę nie mam teraz czasu.

Dostawa znów dziś wypadła jakoś wcześniej – nie tylko, zanim otworzyliśmy stoisko, ale zanim nawet przyszli do pracy nasi pracownicy. Tata musiał podzwonić i ściągnąć kilku bardziej odpowiedzialnych baseballistów i jakoś to w końcu wszystko rozładowaliśmy.

Choć jestem wykończona po porannym rozładowywaniu bez śniadania, to cieszę się, że jednak jest ruch w interesie. Może mimo wszystko jest nadzieja, może damy radę utrzymać to stoisko w przyszłym roku.

Stoję z mamą przy kasie i wskazuję jej państwa Ramsay. Kusi mnie, żeby pokomentować, tak jak Caleb i jego koledzy na paradzie.

– Proszę państwa, wszystko wskazuje na to, że Ramsayowie spierają się o to, czy jednak zapłacić czy nie zapłacić ciut więcej za tę olśniewającą sosnę amerykańską – zaczynam.

Mama patrzy na mnie, jakby mi rozum odjęło, ale się nie poddaję.

– Tak, proszę państwa, już znamy te numery – ciągnę. – I mam nadzieję, że nie zepsuję państwu niespodzianki, jeśli powiem, że pani Ramsay jak zwykle postawi na swoim. Bez względu na to, co mówi jej małżonek, pani Ramsay nigdy nie przepadała za świerkiem srebrnym.

Mama chichocze, ale macha na mnie, żebym była ciszej.

– Zaraz wszystko się rozstrzygnie, proszę państwa! – udaję sportową ekscytację.

Teraz to już obie gapimy się na scenę rozgrywającą się między naszymi drzewkami.

– Pani Ramsay wymachuje rękoma – relacjonuję. – Krzyczy na męża, żeby się wreszcie zdecydował, jeśli w ogóle chce mieć w tym roku choinkę.

Pan Ramsay porównuje igły obu drzewek. Czy już mamy wynik? Proszę państwa, czy już mamy wynik? I... Nie może być! A zatem sosna amerykańska!

Przybijamy z mamą piątkę.

– Znowy wygrała pani Ramsay – podsumowuję.

Ramsayowie wchodzi do namiotu, a mama przygryza wargę, żeby opanować śmiech, i wybiega im na spotkanie. Kiedy pan Ramsay kładzie na ladzie ostatni banknot, uśmiechamy się z panią Ramsay do siebie w pełnym porozumieniu. Ale nie znoszę, gdy ktokolwiek wychodzi od nas niezadowolony, więc na wszelki wypadek zapewniam pana Ramsaya, że podjęli słuszną decyzję. Sosna amerykańska o wiele mniej się obsypuje, wyjaśniam. Nie będą musieli sprzątać igieł przed przyjazdem wnuków.

Pan Ramsay już chowa portfel, ale jego żona zabiera mu go i wyciąga dziesięć dolarów napiwku dla mnie. Potem wychodzą zadowoleni, choć pani Ramsay jeszcze go dobrodusznie klepie i mówi mu, że straszny z niego sknera.

Gapię się na banknot w dłoni i pojawia mi się w głowie pewien pomysł. Rzadko dostaję napiwki. Ludzie zwykle dają je chłopakom, którzy ładują im choinki do samochodu.

Wysłałam esemesa do Heather: **Możemy dziś u ciebie popiec trochę ciastek?** Nasza przyczepa jest bardzo przytulna, ale jednak nie nadaje się na żadne szaleństwa kulinarne.

Heather natychmiast odpisuje: **Jasne!**

Piszę więc do Caleba: **Jeśli jutro będziesz zawoził komuś choinkę, chcę jechać z tobą. Będę miała do zaoferowania coś więcej niż moja powabna osoba. PS O ile zakład, że nigdy nie użyłeś przymiotnika «powabny» w zdaniu?**

Kilka minut później przychodzi odpowiedź: **Wygrałaś zakład. Możesz jechać.**

Chowam telefon i uśmiecham się pod nosem. Przez resztę dnia sama myśl o tym, że spędzę jutro trochę czasu z Calebem, dodaje mi sił. Ale kiedy przeliczam pieniądze w kasie po zamknięciu stoiska, wiem już, że tym razem to będzie coś więcej niż spotkanie z choinkami i ciastkami w roli głównej. Jeśli już teraz czuję takie szczęście na samą myśl o nim, sprawy mogą szybko nabrać rozpędu. Zanim do tego dopuszczę, muszę wiedzieć, co zaszło między nim a jego siostrą. Przyznał, że coś się stało, ale przecież już go trochę znam i nie potrafię sobie wyobrazić, żeby mogło być aż tak źle, jak ludzie mówią.

A przynajmniej mam nadzieję, że nie jest aż tak źle.



Następnego dnia czas się nieznacznie wlecze. Wieczorem siedziałyśmy z Heather do późna w jej kuchni, piekłyśmy i gadałyśmy. Potem wpadł Devon, żeby pomóc nam z lukrem i posypką, a głównie z testowaniem smaku. Muszę teraz przyznać, że rzeczywiście chłopak potrafi okropnie przynudzać. Ale za to naprawdę nieźle dekoruje ciasteczka.

Wyjaśniam kolejnemu klientowi, co oznaczają kolorowe oznaczenia na choinkach i który kolor odpowiada jakiej cenie. Załapuje system i rusza na poszukiwania, a ja chwytam się jednego z drzewek i przymykam zmęczone oczy. Kiedy je otwieram, widzę, że właśnie wjeżdża samochód Caleba, i nagle zupełnie przytomnieję.

Tata też zauważa jego pikapa. Kiedy idę do namiotu, tata już na mnie czeka przy kasie. We włosach ma kilka igieł.

– Wciąż spędzasz czas z tym chłopcem? – pyta tak zaniepokojonym tonem, że to aż żenujące.

Strzepuję mu kilka igieł z ramion.

– Ten chłopiec ma na imię Caleb – przypominam. – I nie pracuje tu, więc nie masz jak go zastraszyć, żeby ze mną nie rozmawiał. Poza tym sam przyznaj, że jest naszym najlepszym klientem.

– Sierro...

Nie kończy, ale chcę, żeby wiedział, że mam świadomość naszej sytuacji.

– Wyjeżdżamy za kilka tygodni. Wiem. Nie musisz mi przypominać.

– Po prostu nie chcę, żebyś sobie robiła nadzieję – bąka. – Ani sobie, ani jemu. Pamiętaj, że nie wiemy nawet, czy wrócimy tu w przyszłym roku.

Z trudem przełykam.

– Może to zupełnie bez sensu – mówię. – I wiem aż za dobrze, że zwykle taka nie jestem, tato, ale... lubię go.

Robi taką minę, że ktoś mógłby pomyśleć, iż właśnie mu się przyznałam, że jestem w ciąży. Kręci głową.

– Sierro, bądź...

– Ostrożna? To chciałeś powiedzieć?

Odwraca wzrok. Co za ironia, że oni z mamą właśnie tak się poznali. Na tym samym stoisku zresztą.

Wyciągam mu kolejną igłę z włosów i daję buziaka w policzek.



– Mam nadzieję, że wiesz, że zawsze jestem ostrożna.

Do lady podchodzi Caleb. Kładzie zawieszkę z kolejnej choinki.

– Dziś wieczór ktoś dostanie prawdziwą piękność – oświadcza. – Rzuciła mi się w oko już za poprzednią wizytą.

Tata uśmiecha się do niego, klepie go po ramieniu i odchodzi bez słowa.

– To znaczy, że zaczyna cię lubić – wyjaśniam. Wyciągam spod lady puszkę w kształcie sań Świętego Mikołaja, a gdy Caleb unosi brwi, dodaję: – Nie śliń się tak. Te ciastka są dla ludzi, którym damy dziś drzewko, nie dla ciebie.

– Coś ty?! Upiekłaś im ciasteczka? – Słowo daję, że jego uśmiech jest tak promienny, że w namiocie robi się jaśniej.

Zawozimy choinkę i ciasteczka, a potem Caleb pyta, czy nie miałabym ochoty spróbować najlepszych naleśników w całym mieście. Przyjmuję zaproszenie i zawozi mnie do całodobowej knajpy, która tak na moje oko nie była remontowana co najmniej od lat siedemdziesiątych. Kilkanaście stolików, ciąg podświetlonych na pomarańczowo okien. W środku jest tylko dwóch klientów, siedzą po przeciwnych stronach sali.

– Czy my się nie powinniśmy przedtem zaszczepić na tężec? – pytam.

– To jedyne miejsce w mieście, gdzie dostaniesz naleśnika wielkiego jak twoja głowa – odpowiada. – A nie wmówisz mi, że nie marzyłaś o tym całe życie.

Na kasie ktoś nalepił karteczkę z napisem: „Proszę siadać”. Idę za Calebem do stolika pod oknem. Przechodzimy pod czerwonymi świątecznymi ozdobami, które zwisają z sufitu. Siadamy na zielonych plastikowych kanapach, które ani chybi widziały lepsze czasy, i to pewnie w poprzednim stuleciu. Oboje zamawiamy „słynne” naleśniki. Kładę dłonie na blacie i patrzę na Caleba. Bawi się nakrętką od syropu klonowego, otwiera ją i zamyka.

– Patrz, nie ma orkiestry dętej – zauważam. – Jeśli teraz pogadamy, raczej powinnam cię bez problemu usłyszeć.

Przestaje bawić się nakrętką i odchyła do tyłu.

– I na pewno chcesz to usłyszeć?

Prawdę powiedziawszy, to już sama nie wiem. Przecież wie, że słyszałam plotki. Być może nie znam prawdy, ale gdyby prawda była lepsza niż plotki, to pewnie już dawno by wykorzystał pierwszą lepszą okazję, by mi to wyjaśnić.

Zaczyna skubać sobie skórki przy paznokciu kciuka.

– Może zacznij od wyjaśnienia mi, dlaczego nie użyłeś jeszcze swojego nowego grzebienia – rzucam. Żart wypada jakoś słabo, ale mam nadzieję, że Caleb przynajmniej rozumie, że się bardzo staram.

– Użyłem rano – mówi. Przeczesuje włosy palcami. – Może jest wadliwy.

– Wątpię.

Pije odrobinę wody. Po dłuższej chwili milczenia pyta w końcu:

– Możemy zacząć od tego, że mi powiesz, co słyszałaś?

Przygryzam dolną wargę, zastanawiając się, jak mu to powiedzieć.

– Słowo w słowo? – upewniam się. – No, słyszałam, że zaatakowałeś siostrę nożem.

Przymyka oczy. Zaczyna się nieznacznie kiwać w tył i w przód.

– I co jeszcze?

– Że ona już tu nie mieszka. – Czuję się podle, że w ogóle rejestruję nóż do masła na serwetce obok jego dłoni.

– Mieszka w Nevadzie – wyjaśnia. – Z naszym tatą. W tym roku poszła do liceum.

Ogląda się na drzwi od kuchni być może z nadzieją, że wejdzie kelnerka i nam przerwie. A może właśnie chce dokończyć, zanim mu ktoś przerwie.

– A ty mieszkasz z mamą – mówię.

– Tak. Choć oczywiście nie tak było na początku.

Kelnerka stawia przed nami dwa puste kubki i nalewa nam kawy. Obydwoje bierzemy do ręki paczuszki z cukrem i zabielać do kawy.

– Kiedy rodzice się rozstali, mama bardzo to przeżyła – ciągnie Caleb, mieszając sobie kawę. – Okropnie schudła, ciągle płakała. To pewnie normalne. Oboje z Abby z nią mieszkaliśmy. To był jeszcze etap, kiedy rodzice dopiero próbowali ustalić plan. – Pije trochę kawy. Podnoszę swój kubek i dmucham. – Przydzielono nam z Abby naszego własnego prawnika, co się czasem zdarza. – Upija kolejny łyk i trzyma kubek w obu dłoniach, wpatrując się w niego. – I wtedy się zaczęło. To był mój pomysł, żebyśmy zostali z mamą. Przekonałem Abby, że tak powinniśmy zrobić. Uparłem się, że to mama nas potrzebuje, a tata sobie jakoś poradzi. – Biorę łyżeczek kawy, a on wciąż wpatruje się w swoją. – Tylko że sobie nie radził – mówi Caleb. –

W głębi duszy chyba to wiedziałem, ale jakoś miałem nadzieję, że się pozbiera. Może gdybym widział go codziennie, widział na własne oczy, jaki jest załamany, rzeczywiście wybrałbym jego.

– Dlaczego sobie nie radził? – pytam.

Kelnerka stawia przed nami talerze. Naleśniki naprawdę są ogromne, ale jakoś to nam nijak nie pomaga, choć być może na to właśnie liczył Caleb, gdy wybierał to miejsce. Przynajmniej jednak jest chwilowa przerwa w jego opowieści. Polewam naleśnik syropem, zaczynam kroić go na pół.

– Przed rozwodem każde święta to było u nas czyste szaleństwo – wspomina Caleb. – Jechaliśmy po bandzie we wszystkim, od dekoracji po różne akcje w naszym kościele. Czasami nawet pastor Tom szedł z nami kolędować. Ale kiedy tata przeprowadził się do Nevady, dla niego wszystko to przepadło. W jego domu było kompletnie ciemno, tak okropnie depresyjnie. To nawet nie to, że nie miał żadnych świątecznych światełek, połowa zwykłych lamp nie działała. Nawet nie wypakował jeszcze większości kartonów, a siedział tam już kilka miesięcy.

Nie odrywając wzroku od talerza, bierze kilka kęsów naleśnika. Zaczynam się zastanawiać, czy nie powiedzieć mu, że naprawdę już nic więcej nie musi mi mówić. Przecież bez względu na to, co się kiedyś tam wydarzyło, lubię tego Caleba, który tu przede mną siedzi.

– Po naszych pierwszych odwiedzinach u taty Abby zaczęła mi wiercić o to dziurę w brzuchu. Była na mnie wściekła za to, jak on sobie nie radzi, za to, że wybraliśmy mamę. Nie odpuszczała. Mówiła: „Zobacz tylko, co mi zrobiłeś”.

Mam ochotę powiedzieć mu, że nie jest odpowiedzialny za własnego tatę, ale przecież chyba musi to wiedzieć. Na pewno mama mówiła mu to setki razy. A przynajmniej mam nadzieję, że mu to powiedziała.

– Ile miałeś wtedy lat? – pytam.

– Czternaście. A Abby dwanaście.

– Pamiętam, jak miałam dwanaście lat – mówię. – Pewnie dopiero próbowała jakoś zrozumieć, jak ma wyglądać to wasze nowe życie.

– Pewnie tak, ale głównie to całą winę zrzucała na mnie. I ja sam się o wszystko obwiniałem. I pewnie popełniłem wiele błędów, ale miałem tylko czternaście lat, skąd miałem wiedzieć, co jest dla nas najlepsze?

– Może w ogóle nie było dobrej opcji – stwierdzam.

Po raz pierwszy od kilku minut Caleb podnosi wzrok. Próbuje się uśmiechnąć i choć ledwo mu to wychodzi, myślę, że to znaczy, iż uwierzył mi wreszcie, że chcę zrozumieć.

Pije kawę, bardziej pochylając się do przodu, niż unosząc kubek do ust.

Jeszcze go nie widziałam w takim stanie.

– Od lat przyjaźniłem się z Jeremiahem. Był moim najbliższym kumpłem i dobrze wiedział, jak Abby daje mi popalić. Przezywał ją Złą Czarownicą z Zachodu.

– Proszę, jaki dobry kumpel – mówię i znów kroję naleśnika.

– Mówił jej to prosto w twarz, co tylko jeszcze bardziej ją oczywiście rozwścieczało. – Śmieje się cicho, ale potem śmiech zamiera mu na ustach. Patrzy przez okno. Jego odbicie w szybie wydaje się takie zimne. – A potem pewnego dnia nie wytrzymałem. Nie mogłem już dłużej znieść tych jej oskarżeń. Po prostu nie wytrzymałem.

Nadziewam ociekający syropem klonowym kawałek naleśnika, ale zamieram.

– Co to znaczy?

Patrzy na mnie. Jego ciało wyraża rozpacz, a nie złość.

– Po prostu już nie mogłem tego dłużej słuchać. Nie wiem, jak to inaczej opisać. Pewnego dnia zaczęła znów się na mnie wydzierać, wrzeszczeć to, co zawsze: że zniszczyłem życie tacie, jej i mamie. I coś we mnie... pękło. – Głos mu drży. – Popędziłem do kuchni i chwyciłem nóż.

Mój widelec zamiera nad talerzem, wpatruję się w jego oczy.

– Kiedy to usłyszała, poleciała od razu do swojego pokoju – opowiada. – A ja za nią.

Jedną ręką trzyma kubek, drugą machinalnie zawija serwetkę wokół noża do masła. Nie wiem nawet, czy robi to świadomie, a jeśli tak, to czy robi to dla mnie czy dla siebie.

– Wpadła do pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi, a ja... – Odchyła się, zamyka oczy i kładzie ręce na kolanach. Serwetka rozwija się. – A ja zacząłem dźgać nożem drzwi. Wiele, wiele razy. Nie chciałem jej zrobić krzywdy. Nigdy w życiu nie zrobiłbym jej krzywdy. Ale nie mogłem przestać dźgać tych drzwi. Słyszałem, jak się drze w środku i płacze mamie przez telefon. W końcu upuściłem nóż i runąłem na podłogę.

Nie wiem, czy to szepnęłam czy tylko powiedziałam w głowie:

– O Boże.

Podnosi na mnie oczy. Wzrokiem błaga o zrozumienie.

– Czyli naprawdę to zrobiłeś – szepczę.

– Sierra, uwierz mi, nigdy przedtem ani potem już czegoś takiego nie zrobiłem. I przysięgam, że w życiu bym jej nie skrzywdził. Nawet nie

sprawdziłem, czy zamknęła drzwi na klucz, bo wcale nie chciałem tam wejść. Chyba tylko musiałem to z siebie wyrzucić, pokazać, że mnie też to wszystko ogromnie boli. Nigdy w życiu nikogo nie skrzywdziłem.

– Ale nie rozumiem dlaczego – bąkam.

– Chyba chciałem ją przestraszyć – mówi. – I nic poza tym. No i to mi się raczej udało. Przestraszyłem ją, siebie, mamę.

Przez chwilę żadne z nas nic nie mówi. Trzymam dłonie ściśnięte kurczowo między kolanami. Cała jestem spięta.

– I wtedy Abby zamieszkała z tatą, a ja zostałem tutaj z plotkami i resztą.

Nie wiem zupełnie, co powiedzieć. Kompletnie nie potrafię połączyć tego Caleba, z którym tak lubię spędzać czas, z tym złamanym człowiekiem przede mną.

– Widujesz się z nią? Znaczy z siostrą?

– Tak, kiedy jestem u taty albo kiedy ona nas odwiedza. – Patrzy na mój talerz i pewnie widzi, że od kilku minut nie wzięłam nic do ust. – Prawie dwa lata, gdy przyjeżdżała do domu, chodziliśmy na terapię rodzinną. Mówi, że rozumie i że już mi wybaczyła. Myślę, że mówi to szczerze. To niesamowita osoba. Polubiłabyś ją.

W końcu zaczynam jeść. Nie jestem już głodna, ale też nie wiem, co powiedzieć.

– W głębi duszy mam nadzieję, że kiedyś zmieni zdanie i do nas wróci, ale nie mógłbym jej o to prosić – wyjaśnia. – To musiałoby wyjść od niej. Zresztą lubi Nevadę. Ma tam już nowe życie, nowych przyjaciół. Pewnie trzeba w tym widzieć też pozytywne strony... przynajmniej tata ma ją teraz blisko siebie.

– Nie zawsze trzeba się we wszystkim dopatrywać pozytywnych stron – mówię. – Ale cieszę się, że tym razem jakieś są.

– Mimo to całe to wydarzenie miało ogromny wpływ na mamę. Przeze mnie, i tym razem to już naprawdę przeze mnie, jedno z jej dzieci wyprowadziło się z domu. Mama przegapiła tyle lat z życia córki i to wszystko moja wina. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

Widzę, jak zaciska przy tym szczęki, i wiem już na pewno, że przepłakał wiele godzin z tego powodu. Myślę o tym wszystkim, co mi opowiedział. Jego mamie i siostrze musiało być bardzo ciężko. Jemu musiało być ciężko. Wiem, że to mnie powinno przerazić, ale jakoś wcale tak nie jest, może dlatego, że wiem już, że nikogo by nie skrzywdził. Patrzę na niego i jestem

tego pewna.

– Dlaczego twoi rodzice się rozstali? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Z pewnością jest wiele rzeczy, o których mi nie powiedzieli, ale mamie wyrwało się kiedyś, że przy nim zawsze była spięta i tylko czekała, kiedy znów jej powie, że coś źle zrobiła. Chyba rzeczywiście, gdy byli razem, cały czas czuła się krytykowana.

– A twoja siostra? Twój tata ją też tak traktuje?

– No coś ty! – Caleb wreszcie wybucha śmiechem. – Abby by mu od razu odpyskowała. Jeśli na przykład coś jej powie o tym, jak się ubrała, Abby zaraz zaczyna nawijać o podwójnych standardach moralnych, aż w końcu tata musi wszystko odszczekać i ją przeprosić.

Teraz to ja się z kolei śmieję.

– Już mi się podoba ta twoja siostra.

Podchodzi kelnerka, żeby dolać nam kawy. Widzę na czole Caleba zmarszczki od niepokoju.

Podnosi wzrok na kelnerkę.

– Dziękuję – mówi.

Kiedy kelnerka odchodzi, pytam:

– A jak się ma do tego wszystkiego Jeremia?

– Pech chciał, że akurat był u nas, jak to się zdarzyło – mówi Caleb, patrząc w okno. – I spanikował, zresztą tak jak my wszyscy. Wrócił do domu i opowiedział wszystko rodzicom, co było oczywiście jak najbardziej w porządku. Tylko że wtedy jego mama powiedziała, że nie możemy się już więcej przyjaźnić.

– I nadal nie pozwala wam się spotykać?

Palcami dotyka lekko krawędzi stołu.

– Trudno ją za to winić – mówi. – Ja wiem, że nie jestem niebezpieczny, ale ona stara się po prostu za wszelką cenę chronić syna.

– *Zdaje jej się, że go chroni* – poprawiam go. – To duża różnica.

Przenosi wzrok z okna na stół między nami, mruży oczy.

– Ale mam jej za złe to, jak opowiedziała o tym wszystkim innym – przyznaje. – To ona przedstawiła wszystko tak, jakbym był potworem, którego trzeba unikać. Te plotki, które usłyszałaś przecież wiele lat po tym wydarzeniu, usłyszałaś właśnie dzięki niej. Prawda jest taka, że to bolało. I to bardzo.

– Ta plotka nie powinna była w ogóle do mnie dotrzeć – mówię.

– A do tego przesadzała w swojej wersji opowieści. Pewnie żeby żaden inny rodzic nie pomyślał, że to ona panikuje bez powodu. I dlatego dla ludzi takich jak Andrew wciąż jestem szaleńcem wymachującym nożem.

Po raz pierwszy widzę, że wciąż jest w nim ta złość. Zamyka oczy i unosi rękę.

– Przepraszam, zapomnij o tym, co powiedziałem. Nie chcę, żebyś źle myślała o rodzinie Jeremiaha. Przecież tak naprawdę nie wiem, czy to jego matka wszystko wyolbrzymiła. Mogło być tak, że historia zaczęła żyć własnym życiem, jak to plotki.

Przypominam sobie, jak Heather mnie ostrzegała, jak Rachel i Elizabeth struchlały, gdy im powiedziałam. Wszyscy tak szybko reagowali. Każdy miał swoją opinię, choć przecież nikt nie miał okazji usłyszeć, co Caleb ma do powiedzenia na ten temat.

– A nawet gdyby to ona wymyśliła te bzdury, to nie ma znaczenia – dodaje Caleb. – Miała swoje powody, żeby mówić to, co mówiła. Każdy miał. To nie zmienia faktu, że zrobiłem, co zrobiłem, żeby spowodować te wszystkie plotki.

– Ale to i tak niesprawiedliwe – oponuję.

– Od tylu lat, gdy idę korytarzem w szkole albo ulicą i jakiś znajomy patrzy na mnie, ale nic nie mówi, i to nawet jeśli jego spojrzenie jest zupełnie neutralne, zastanawiam się od razu, co słyszał, co sobie myśli.

Kręcę głową.

– Tak mi przykro, Caleb.

– Najśmieszniejsze, że przecież mogliśmy się dalej przyjaźnić. Jeremiah był tam. Wszystko widział. Na pewno go przestraszyłem, ale przecież znał mnie, wiedział, że nie skrzywdziłbym Abby. Miałem tylko wszystkiego dość. Byłem młodszy niż ona teraz.

– Jak jego mama może się wciąż tym martwić?! Przecież on już jest prawie dorosły. I bez urazy – dodaję. – Ale jest od ciebie sporo wyższy.

Parska śmiechem.

– A jednak wciąż się o niego martwi. Tak samo jak jego siostra. Cassandra nie odstępuje go na krok. Kiedy tylko Jeremiah próbuje być znów dla mnie miły, pojawia się jego siostra i odciąga go jak najdalej.

– I pozwalasz, by tak to trwało?

Patrzy na mnie z rozpaczą w oczach.

– Ludzie myślą, co chcą. Muszę się z tym pogodzić. Nie zmienię tego, choć to okropnie męczące. Mogę się tym przejmować, ale to prawdziwa tortura. Lepiej więc uznać, że ich strata i tyle.

Może sobie mówić, co chce, ale przecież widzę, że i tak go to męczy.

– Bo to jest ich strata – zapewniam go. Wyciągam rękę i kładę palce na jego dłoni. – Wiem, że pewnie spodziewałbyś się po mnie jakichś bardziej imponujących słówek, ale wiesz, fajny z ciebie chłopak, Caleb.

Uśmiecha się.

– Ty też jesteś fajna, Sierra. Mało która dziewczyna wykazałaby się takim zrozumieniem jak ty.

– Ile ty tych dziewczyn potrzebujesz? – próbuję rozładować atmosferę żartem.

– To kolejna sprawa. – Jego uśmiech znów znika. – Nie tylko musiałbym wszystko wyjaśnić ewentualnej dziewczynie... Choć pewnie już by знаła plotki... Ale jeszcze musiałbym to wszystko wyjaśnić jej rodzicom. Gdyby mieszkali tu, też prędzej czy później dotarłyby do nich plotki.

– I wiele razy już tak musiałeś wyjaśniać?

– Nie, bo nie byłem jeszcze z żadną dziewczyną na tyle długo, żeby się dowiedzieć, czy jest tego warta.

Zatyka mnie. Czy ja jestem tego warta? Czy to chciał powiedzieć?

Wycofuję rękę.

– Czy to dlatego się mną zainteresowałeś? Bo już zaraz stąd wyjadę?

Garbi się i odchyła do tyłu.

– Chcesz poznać prawdę?

– Tak, po to się tu dziś spotkaliśmy.

– A więc... Tak. Z początku myślałem, że z tobą może uda się po prostu spędzić miło czas bez wszystkich tych dramatów.

– Ale dotarły do mnie plotki. Przecież o tym wiedziałeś, a jednak dalej przyjeżdżałeś.

Widzę, że powstrzymuje uśmiech.

– Bo potem użyłaś czasownika „wyekspediować” w zdaniu. To chyba przesądziło o sprawie. – Kładzie dłonie na stole, wierzchem do dołu.

– Tak, to pewnie to – kpię.

Przykrywam jego palce swoimi. Czuję wielką ulgę.

– No i dajesz też świetne zniżki – dodaje z dziecinnym uśmiechem.

– A więc dlatego tak wracasz – pryham. – To może powinnam zażądać,



żebyś odtąd płacił pełną cenę, co?

Odchyła się i widzę, że namyśla się, jak poprowadzić ten żart.

– W takim razie będę musiał płacić odtąd pełną cenę. Trudno.

Unoszę brew.

– Czyli może jednak to chodzi o mnie.

Muska kciukami moje kłykcie.

– Chodzi o ciebie.

Zapinam pas i Caleb rusza. Kiedy wyjeżdżamy z parkingu przed knajpką, mówi:

– Teraz twoja kolej. Opowiedz mi, kiedy ty kompletnie straciłaś panowanie nad sobą.

– Ja? O, nie, ja jestem zawsze zupełnie opanowana.

Widzę po jego uśmiechu, że wie, że to tylko żart.

W milczeniu wyjeżdżamy na autostradę. Patrzę na reflektory przejeżdżających samochodów. Potem na imponującą sylwetkę wznoszącego się nad miastem wzgórza Cardinals Peak. Spoglądam z powrotem na Caleba. Przez chwilę ma szczęśliwą minę, ale potem widzę, że znów się czymś niepokoi. Czy martwi się teraz, co o nim myślę?

– Dałem ci dziś mnóstwo amunicji – mówi.

– Której mogę użyć przeciwko tobie? – żartuję.

Ale on nie odpowiada i robi mi się smutno na myśl o tym, że naprawdę może sobie wyobrażać, że tak bym zrobiła. A może po prostu nie znamy się na tyle długo, żeby być czegokolwiek pewnym.

– Nigdy bym tego nie zrobiła – wyjaśniam. To od niego zależy, czy mi teraz uwierzy.

Przejeżdżamy ponad kilometr, nim odpowiada po prostu:

– Dziękuję.

– Coś mi mówi, że już dość ludzi tak ci zrobiło – mówię.

– To dlatego przestałem cokolwiek komukolwiek wyjaśniać – potwierdza moje domysły. – I tak ludzie wierzą, w co chcą wierzyć. Nie ma co sobie strzępić języka na opowiadanie, jak było naprawdę. A dla mnie ważne jest tylko to, co myślą mama i Abby.

– Nie musiałeś mi nic mówić – zauważam. – Mogłeś uznać, że...

– Wiem – przerywa mi. – Ale chciałem ci powiedzieć.

Potem jedziemy już w milczeniu. Mam nadzieję, że jest mu teraz lżej. Zawsze kiedy szczerze coś wyznam moim przyjaciółkom, jest mi potem dużo lepiej. Choć oczywiście czuję się tak tylko dlatego, że wiem, że mogę im

ufać. A Caleb może mi ufać. Skoro jego siostra mu wybaczyła, dlaczego ja miałabym mu mieć cokolwiek za złe? Tym bardziej że wiem przecież, jak bardzo tego wszystkiego żałuje.

Wjeżdżamy na parking przed naszym stoiskiem. Ozdobne światełka w kształcie płatków śniegu, które wiszą wokół choinek, już są wyłączone na noc, zostały tylko latarnie, które dla bezpieczeństwa palą się całą dobę. W przyczepie światła są już wyłączone, a okna zasłonięte.

– Zanim sobie pojedziesz – mówię – muszę wiedzieć jeszcze jedną rzecz.

Nie wyłącza silnika, tylko obraca się w moją stronę.

– Czy w te święta jedziesz odwiedzić tatę i Abby?

Spuszcza wzrok, ale widzę uśmiech na jego ustach. Wie, że pytam, bo nie chciałam, żeby wyjeżdżał.

– W tym roku spędzamy święta u mamy – wyjaśnia. – Abby do nas przyjedzie.

Nie chcę tak całkiem ukrywać radości, ale próbuję jednak zareagować na to na luzie.

– A, to fajnie – rzucam.

Caleb patrzy na mnie.

– Pojadę do taty na wiosnę.

– Będzie bardzo samotny w święta?

– Pewnie trochę. Ale to właśnie są zalety tego, że Abby u niego mieszka.

I tak zmusiła go już na pewno do wprowadzenia świątecznego nastroju. W ten weekend zabiera go na kupowanie choinki.

– Twarda dziewczyna – żartuję.

Caleb wbija wzrok w coś za szybą.

– Myślałem, że w przyszłym roku wybiorę się z nimi na kupowanie choinki – wyznaje. – Ale teraz już sam nie wiem. W głębi duszy czuję, że nie będę miał ochoty się stąd ruszyć aż do ostatniej chwili przed świętami.

– Ze względu na mamę? – pytam, ale on milczy i czuję coraz większy niepokój.

Czy on chciał przez to powiedzieć, że będzie wolał zostać ze mną? Chcę o to spytać, powinnam zadać to pytanie, ale nie mam odwagi. Jeśli zaprzeczy, będzie mi głupio, że sobie coś ubzdurałam. A jeśli potwierdzi, będę musiała mu powiedzieć, że w przyszłym roku wszystko może wyglądać zupełnie inaczej.

Caleb wychodzi na zimne powietrze i okrąża samochód, żeby mi otworzyć

drzwi. Podaje mi rękę i pomaga wysiąść. Nie puszcza mojej dłoni, stoimy tak blisko siebie. Czuję, że zależy mi na nim o wiele bardziej niż na jakimkolwiek innym chłopaku. Mimo że niedługo wyjeżdżam. Mimo że nie wiem, kiedy tu wrócę.

Mówię mu, żeby wpadł jutro. Obiecuje, że wpadnie. Puszczam jego dłoń i idę w stronę przyczepy. Może cisza w środku uspokoi moje rozszalałe myśli.



Przez ostatnie trzy lata zawsze szłam z Heather do szkoły na jeden dzień tuż przed świętami. Zaczęło się od tego, że kiedyś podczas naszego tradycyjnego maratonu filmowego Heather wpadła na pomysł, że zrobimy takiego psikusa – pojawię się w szkole i zobaczymy, co nauczyciele na to. Mama zadzwoniła wtedy do dyrektorki, która kiedyś uczyła zresztą w podstawówce, do której chodziłam, więc mnie znała.

– Sierra to dobre dziecko – oświadczyła dyrektorka i pozwoliła mi przyjść.

Teraz Heather maluje sobie oczy, spoglądając w maleńkie lustro, które ma przyklejone w szafce.

– Spytałaś go przy naleśnikach?

– Takich wielkich – wyjaśniam. – Rachel kazała mi spytać w miejscu publicznym, więc...

– I co powiedział?

Opieram się o następną szafkę.

– To nie moja historia. Nie powinnam jej przekazywać dalej. Ale daj mi szansę, dobrze?

– Pozwalam wam się spotykać bez przyzwoitki. Jak to nie jest dawanie szansy, to co to niby jest? – Zamyka eyeliner. – Kiedy usłyszałam, że paradujecie po mieście, rozwożąc choinki jak pan i pani Mikołaj, to myślałam, że to jakieś głupie plotki.

– Dzięki.

Zatrząskuje szafkę.

– To teraz, skoro już masz chłopaka, pozwól, że ci przypomnę, skąd się w ogóle wziął ten pomysł świątecznego romansu.

Patrzymy na drugą stronę korytarza, gdzie stoi Devon z grupką kumpli.

– Doszłaś już do siebie po aferze z Królową Zimy? – pytam.

– Wierz mi, że musiał mnie błagać o przebaczenie – mówi. – Ale tylko

spójrz! Powinien przecież być tu przy mnie. Wydawałoby się, że jeśli mu naprawdę na mnie zależy, to...

– Heather? – przerywam jej. – Przestań. Posłuchaj sama siebie. Najpierw chcesz z nim zerwać, ale mówisz, że nie możesz mu tego zrobić na święta. Ale potem nagle, kiedy nie okazuje ci zainteresowania, stroisz jakieś fanaberie.

– Nie stroję żadnych...! Czekaj, czy to znaczy, że się trochę obrażam?

– Tak.

– Dobra, może robię fanaberie.

Teraz dopiero wszystko rozumiem. To wcale nie chodziło o to, że Devon jest nudny, tylko że Heather chce mieć pewność, że mu na niej zależy.

Idę za nią przez korytarz. Czuję na sobie spojrzenia uczniów i nauczycieli, którzy zastanawiają się, kim jestem, albo tych, którzy mnie poznają i uświadamiają sobie, że to znów ta pora roku.

– Spędzacie z Devonem dużo czasu – mówię. – I wiem, że się całujecie i w ogóle, ale czy on wie, że tobie naprawdę na nim zależy?

– Wie, wie – zapewnia mnie Heather. – Ale ja nie wiem, czy jemu zależy na mnie. Niby mówi, że mnie lubi. I dzwoni codziennie wieczorem, ale głównie, żeby mi opowiadać o tym swoim futbolu. Nigdy nie spyta o nic ważnego, jak choćby o to, co bym chciała dostać na święta.

Zostawiamy za sobą gwarny korytarz i wchodzimy do sali od angielskiego. Nauczyciel uśmiecha się do mnie i wita mnie skinieniem głowy, a potem wskazuje krzesło, które już czeka na mnie przy ławce Heather.

W końcu dzwoni dzwonek. Do sali wpada jeszcze Jeremiaś i siada w ławce przed Heather. Serce wali mi szybciej. Przypominam sobie jego smutne spojrzenie, gdy mijał Caleba na paradzie.

Nauczyciel odpala tablicę interaktywną, a Jeremiaś odwraca się do mnie.

– A więc to ty jesteś nową dziewczyną Caleba – rzuca na powitanie. Ma niski głos.

Czuję, że się rumienię. Zamieram.

– Kto tak powiedział?

– To nie jest duże miasto. Znam paru chłopaków z drużyny baseballowej. Twój ojciec to żywa legenda.

Zasłaniam twarz rękoma.

– O Boże – jęczę.

– Spoko. – Jeremiaś się śmieje. – Cieszę się, że z nim chodzisz. To się w sumie idealnie składa.

Odejmuję ręce od twarzy i patrzę na niego uważnie. Nauczyciel coś tam mówi o *Śnie nocy letniej*, ale wciąż walczy z komputerem. Ludzie wokół wyciągają zeszyty. Pochylam się do przodu i szepczę:

– Dlaczego to się idealnie składa?

Jeremiaś obraca się dyskretnie.

– On jest facetem od choinek. Ty jesteś dziewczyną od choinek. Pasujecie do siebie.

– Nie narób mi siary – syczy na mnie cicho Heather. – Pamiętaj, że ja tu muszę wrócić.

– Dlaczego już się z nim nie trzymasz? – pytam go tak cicho, jak tylko się da.

Jeremiaś spuszcza wzrok na ławkę. Potem odwraca tylko leciutko głowę.

– Powiedział ci, że się kumplowaliśmy?

– Dużo mi powiedział – mówię. – To świetny facet, Jeremiaś.

Odwraca znów głowę, patrzy w stronę tablicy.

– To skomplikowane – mamrocze.

– Na pewno? – pytam. – A może tylko twoja rodzina to komplikuje?

Wzdryga się, a potem znów na mnie ogląda. Widzę, że próbuje zrozumieć, kim ja w ogóle jestem.

Zastanawiam się, co by powiedzieli moi rodzice, gdyby wiedzieli o tamtej chwili, gdy Calebowi puściły nerwy, nawet jeśli było to wiele lat temu. Zawsze podkreślają, jak ważne jest przebaczenie i wiara w ludzi. Chcę wierzyć, że właśnie tak by na to spojrzeli, choć prawdę powiedziawszy, gdy w grę wchodzi ja i to, kto mi się podoba, wszystko się jakoś u nich komplikuje.

Posyłam Heather przepaszające spojrzenie. To przecież moja jedyna szansa, by zagadać z Jeremiahem.

Rozmawiałeś z nimi o tym teraz, po latach? – pytam.

– Nie chcę, żebym wpakował się w jakieś kłopoty.

Ogarnia mnie smutek – i złość – na to, że jego rodzice albo w ogóle ktokolwiek mógłby uważać, że Caleb to „kłopoty”.

– Hm. Ale gdyby to od ciebie zależało, to dalej byś się z nim przyjaźnił?

Znów patrzy przed siebie, na nauczyciela zmagającego się komputerem. Potem jednak odwraca się w moją stronę.

– Byłem tam. Widziałem, jak to się wszystko potoczyło. Caleb był na nią wściekły, ale chyba jej nie zrobił tak naprawdę krzywdy.

– Chyba? – pytam. – Wiesz dobrze, że on na pewno by jej nie zrobił krzywdy.

Jego palce zaciskają się na krawędzi ławki.

– Tego nie wiesz – szepcze. – Nie było cię tam.

Te słowa boją. A więc to nigdy nie była tylko rodzina Jeremiaha. To był też on sam. I ma rację. Nie było mnie tam.

– I żadne z was nie ma prawa się zmienić? – pytam jeszcze.

Heather klepie mnie po ramieniu, więc posłusznie wyprostowuję się w ławce. Jeremiah całą lekcję gapi się na pustą stronę w zeszytcie, ale nie pisze ani słowa.



Caleba widzę dopiero pod koniec lekcji. Razem z Luisem i Brentem wychodzi z matematyki. Patrzę, jak klepią się po plecach i rozchodzą w swoje strony. Caleb uśmiecha się na mój widok i podchodzi.

– Wiesz, że większość ludzi robi, co może, żeby nie pójść do szkoły, kiedy musi, a nie na odwrót – kpi. – Jak ci się u nas podobało?

– Było kilka co ciekawszych momentów. – Opieram się o ścianę na korytarzu. – Wiem, że pewnie nigdy nie użyłeś słowa „mozolny” w zdaniu, ale dość by pasowało do opisu tego dnia.

– Nie, nie użyłem – przyznaje. Opiera się przy mnie o ścianę, wyciąga telefon i zaczyna je wpisywać. – Potem je sobie sprawdzę.

Prycham śmiechem, a potem zauważam, że w naszą stronę idzie Heather. Kilka kroków za nią drepcze Devon z komórką przy uchu.

– Idziemy na zakupy – oznajmia Heather. – Wybierzecie się z nami?

Caleb patrzy na mnie.

– Ty zdecyduj. Ja nie pracuję.

– Jasne – mówię do Heather. Odwracam się do Caleba. – Jeśli Devon będzie prowadził, ty będziesz miał czas sprawdzić swoje słówko dnia.

– Jak sobie tak będziesz ze mnie kpiła, to ci nie kupię miętowej mokki – ostrzega mnie Caleb, a potem, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie, bierze mnie za rękę i wychodzimy razem za przyjaciółmi.

Caleb puszcza moją dłoń dopiero wtedy, gdy musi otworzyć drzwi do samochodu Devona. Wsiadam, a on zamyka za mną i obchodzi wóz, żeby zająć swoje miejsce. Heather obraca się i posyła mi kpiące spojrzenie. Istnieje tylko jedna właściwa odpowiedź na takie spojrzenie:

– Cicho! – syczę na nią.

Ale ona jeszcze porusza znacząco brwiami. Jakimś cudem udaje mi się nie roześmiać. Tak naprawdę cieszę się bardzo, że postanowiła zaakceptować mój związek z Calebem. Chyba że chodzi jej tylko o to, żeby mieć kogoś na te podwójne randki z Devonem.

– To co zamierzamy kupić? – pyta Caleb, gdy tylko wsiada.

– Świąteczne prezenty – odpowiada Devon. Włącza silnik i ogląda się na Heather. – Chyba. Tak?

Heather przymyka oczy i opiera głowę o okno.

Muszę mu jakoś pomóc, bo on rzeczywiście jest beznadziejny.

– Dobra, Devon, ale dla kogo zamierzasz kupić prezent?

– No pewnie muszę coś kupić rodzinie – bąka. – A ty?

To będzie o wiele trudniejsze, niż myślałam. Postanawiam zmienić taktykę.

– Heather, a jaki jest twój wymarzony prezent na święta? Gdybyś mogła mieć, cokolwiek ci się zamarzy, co by to było?

Heather oczywiście od razu załapuje, do czego zmierzam, bo nie jest przecież tak nieprzytomna jak Devon.

– Świetne pytanie, Sierra. Wiesz dobrze, że nie jestem wymagająca, więc może...

Devon coś tam kręci przy radiu. Mam ochotę kopnąć oparcie jego fotela. Caleb patrzy w okno i widzę, że dusi śmiech. Dobrze, że przynajmniej on rozumie, co tu się dzieje.

– Może co...? – dopytuję.

Heather patrzy wprost na Devona.

– Miło by było dostać coś tak od serca, wiecie, może dzień ulubionych



zajęć, typu wyjście do kina albo spacer, albo może piknik na Cardinals Peak. Coś takiego prostego, że każdy głupek by to potrafił zorganizować.

Devon znów zmienia stację. Teraz to już mam ochotę go walnąć w tył tej jego tępej czachy, ale w końcu siedzi za kierownicą, a ja wolałabym nie ryzykować bezpieczeństwa pasażerów.

Caleb pochyła się do przodu. Kładzie rękę na ramieniu Devona, ale patrzy na Heather.

– Ale fajny pomysł, Heather. Może ktoś ci kiedyś podaruje taki wspaniały dzień.

Devon spogląda we wsteczne lusterko na Caleba.

– Czy ty mnie właśnie klepnałeś po ramieniu?

Heather przysuwa twarz do jego twarzy.

– Gadamy właśnie o tym, co mi się marzy na święta, Devon!

Devon uśmiecha się do niej radośnie.

– A, znowu jakaś taka zapachowa świeczka, tak? Uwielbiasz je, nie?

– Ale ty jesteś czujny – prycha Heather. – Nie stoją wszędzie na biurku i komodzie, co?

Devon patrzy przed siebie na drogę, uśmiecha się i klepie ją po kolanie.

Zaczynamy z Calebem chichotać, ale wymyka nam się to spod kontroli i szybko przechodzi w głośny rechot. Opieram się na jego ramieniu, ocierając łzy z oczu. Nawet Heather zaczyna się uśmiechać... troszkę. I Devon też zrywa boki ze śmiechu, choć pojęcia nie mam dlaczego.



Każdej zimy pewna para emerytów otwiera w miasteczku sezonowy sklepik ze świeczkami. Prawie zawsze w innym miejscu – zależnie od tego, który sklep jest akurat dostępny w okresie świątecznym. Sprzedają świeczki mniej więcej w tym samym czasie co my choinki, choć różnica jest taka, że właściciele tego sklepiku mieszkają tu na stałe. Całe półki i stoły zastawione są zapachowymi i ozdobnymi świecami z szyszkami, brokatem i innymi drobiazgami zalanymi woskiem. Klientów szczególnie przyciąga to, że mogą nawet zobaczyć, jak się robi świece.

Dziś to żona siedzi na krzeselku otoczonym stopionym woskiem w różnych kolorach. Raz po raz macza knot i z naprzemiennych warstw czerwieni i bieli powstaje coraz grubsza świeca. Kobieta zamacza ją jeszcze raz w białym wosku, a potem wiesza na haku, robiąc pętelkę z knota. Wosk

jest jeszcze ciepły, gdy przecina go nożem, żeby ukazać naprzemienne warstwy białej i czerwonej świecy. Przestaje ciąć kilka centymetrów przed zakończeniem świecy i przyciska do niej pofalowaną wstążkę, a potem powtarza ten zabieg – to tnę nożem, to układa wstążkę, wokół całej świecy. Mogłabym patrzeć na to godzinami.

Caleb jednak wyrywa mnie z transu.

– Która bardziej ci się podoba? – pyta, podsuwając mi pod nos dwie świece.

Najpierw każe mi powąchać słoiczek z rysunkiem kokosu, a potem inny, z żurawinami.

– Nie wiem. Za dużo już się ich nawąchałam – kapituluję. – Teraz wszystkie pachną mi tak samo.

– No co ty! Przecież żurawina i kokos to zupełnie inne zapachy.

Znów podsuwa mi świece, najpierw jedną, potem drugą.

– Znajdź coś z cynamonem – proszę. – Uwielbiam cynamonowe świece.

Robi niby to zgorzowaną minę.

– Sierro! Cynamon to zapach dla początkujących. Wszyscy lubią cynamon! Chodzi o to, żeby zacząć gustować w czymś bardziej wysublimowanym.

– Co ty nie powiesz? – prychnę.

– To oczywista sprawa. Poczekaj.

Nim mam czas znów zapatrzeć się na proces wytwarzania świecy, wraca Caleb – z kolejnym słoiczkiem. Zasłania mi dłonią nalepkę, ale воск jest ciemnoczerwony.

– Zamknij oczy – mówi. – I skup się!

Znów zamykam oczy.

– Jak to pachnie? – pyta.

Teraz to już wybucham śmiechem.

– Jakby ktoś właśnie umył zęby i mi chuchnął.

Trąca mnie w ramię, więc nie unosząc powiek, znów wącham. W końcu otwieram oczy i patrzę prosto w jego. Jest tak blisko. Mówię o wiele ciszej, niż zamierzałam:

– Co to? Powiedz. Podobało mi się.

Uśmiecha się ciepło.

– Trochę mięty, trochę choinki. I chyba trochę czekolady. – Na nalepce na słoiczku złotymi literami jest napisane: „Wyjątkowe święta”. Zamyka

słoiczek. – Pachnie jak ty.

Oblizuję lekko wargi.

– To może ci ją kupię?

– Trudna decyzja – szepcze, nasze twarze tak blisko siebie. – Nie wiem, czybym nie oszalał, gdybym to sobie zapalił w pokoju.

– Hej, wy tam! – woła nagle Devon. – Idziemy z Heather strzelić sobie fotkę z Mikołajem. Idziecie z nami?

Heather chyba zarejestrowała, co się dzieje między mną a Calebem. Chwyta Devona za rękę i ciągnie go w stronę drzwi.

– Najwyżej nas dogonią – syka na niego.

– Nie, nie, już idziemy – odpowiada Caleb.

Wyciąga w moją stronę dłoń, a ja ją chwytam. Tak naprawdę wolałabym schować się z nim gdzieś, gdzie bylibyśmy sami, ale zamiast tego idziemy robić sobie zdjęcia na kolanach obcego człowieka.

Kiedy docieramy do domku z piernika, w którym urzęduje dziś Mikołaj, naszym oczom ukazuje się kolejka, która ciągnie się przez pół placu i jeszcze zawija wokół fontanny z brązowym misiem sięgającym do wody.

Devon rzuca monetę i trafia w łapę misia.

– Mam prawo do trzech życzeń! – obwieszcza.

Gdy gada z Calebem, Heather pochyla się w moją stronę.

– Coś czuję, że woleliście zostać tam sami.

– Za to właśnie kochamy święta, prawda? – odpowiadam z przekąsem. – Zawsze się jest w gronie rodziny i przyjaciół.

W końcu docieramy do drzwi chatki. Wita nas pulchny jegomość przebrany za elfa i prowadzi Devona i Heather do Mikołaja, który siedzi na wielgachnym, czerwonym aksamitnym tronie. Pakują mu się oboje na kolana. Mężczyzna ma prawdziwą siwiutką brodę i otacza ich ramionami, jakby byli małymi dziećmi. To może śmieszne, ale i tak wyglądają słodko. Opieram się o Caleba, a on przytula mnie do siebie.

– Jak byłem mały, uwielbiałem zdjęcia z Mikołajem – wspomina. –

Rodzice ubierali nas w pasujące do siebie ubranka, a potem wykorzystywali to zdjęcie do zrobienia kartki świątecznej.

Zastanawiam się, czy takie wracanie myślą do dzieciństwa nie jest dla niego bolesne. Patrzy mi w oczy i dotyka palcem czoła.

– Dosłownie widzę, jak ci trybiki tu pracują. Tak, możemy rozmawiać o mojej siostrze.

Uśmiecham się i przyciskam czoło do jego ramienia.

– Ale dzięki – dodaje. – Za to, że starasz się mnie zrozumieć. To miłe z twojej strony.

Devon i Heather idą do kasy, przy której też siedzi elf. Teraz nasza kolej, żeby sięść Mikołajowi na kolanach. Patrzę, jak Caleb wyciąga swój fioletowy grzebyk z kieszeni i przeczesuje sobie szybko włosy.

Elf po drugiej stronie aparatu odchrząkuje znacząco.

– Gotowi? – pyta.

– O, przepraszam – reflektuję się i odrywam wzrok od Caleba.

Elf strzela nam parę fotek. Zaczynamy robić głupie miny, a potem przytulamy się do Mikołaja. Facet cały czas trzyma fason i twardo odgrywa serdecznego Mikołaja. Przed każdym zdjęciem pamięta nawet zawołać: „Ho! Ho!”.

– Przepraszamy za takie ciężary – mówię.

– Nie płaczecie i nawet mnie nie obsiუსialiście – odpowiada Mikołaj. – To znaczy, że jesteście super.

Kiedy w końcu zeskakujemy z jego kolan, podaje nam jeszcze po małym lizaku w kształcie laski. Idę za Calebem do kasy, żeby obejrzeć zdjęcia na ekranie komputera. Wybieramy to, na którym przytuliliśmy się do Mikołaja, a Caleb kupuje nam po jednym. Kiedy już się drukują, postanawia jeszcze kupić breloczek.

– Serio? – podkpiwam. – Będziesz jeździć tym swoim męskim pikapem z breloczkiem Świętego Mikołaja?

– Po pierwsze, to *nasze* zdjęcie ze Świętym Mikołajem – wyjaśnia. – A po drugie, to fioletowy pikap i chyba tylko ty uważasz, że jest męski.

Heather i Devon czekają na nas przed chatką. Devon otoczył ją czule ramieniem. Chcą iść coś zjeść, więc ruszamy z nimi, ale muszę trzymać Caleba za ramię, bo uparł się od razu przyczepić klucze do nowego breloczka. Udaje mi się go dość bezpiecznie prowadzić, ale potem jakoś nie mogę oderwać wzroku od tej jego skupionej miny, gdy tak ostrożnie zakłada kółko kluczy na breloczek. Ta chwila mojej nieuwagi wystarcza i wpadamy na kogoś.

Chłopakowi upada telefon.

– Oj, sorki, Caleb.

Caleb podnosi jego komórkę i mu ją podaje.

– Nie ma sprawy.

Idziemy dalej, ale Devon szepcze:

– W szkole to ten typek dosłownie cały czas się gapi na komórkę. Naprawdę powinien czasem zarejestrować świat wokół siebie.

– Chyba sobie kpisz! – denerwuje się Heather. – Kto jak kto, ale ty...

Devon zasłania się ręką niczym tarczą.

– Przecież żartuję!

– Gadał z Danielle – mówi Caleb. – Mignęło mi jej imię na ekranie.

– Z Danielle? – dziwi się Heather. – To dziewczyna z Tennessee – wyjaśnia mi. – Poznał ją latem na obozie teatralnym i zakochał się jak wariat.

– Związek na odległość? Nie mają szans – orzekam.

Caleb patrzy na mnie zaskoczony, a ja aż się kulę. Dlaczego to w ogóle powiedziałam? Ściskam go mocniej za ramię, ale on patrzy prosto przed siebie. Tak mi głupio, ale z drugiej strony, przecież niemożliwe, żeby Caleb łudził się, że związki na odległość mają jakiegokolwiek szanse. Prawda?

To coś między nami może się skończyć tylko w jeden sposób – łzami. I nawet wiemy, kiedy to nastąpi. Im dłużej to ciągniemy, tym bardziej będzie potem bolało.

To co ja tu w ogóle robię?

Przystaję.

– Wiecie co, powinnam już naprawdę wracać do pracy.

Heather zatrzymuje się przede mną. Wie dobrze, co jest grane.

– Sierra...

Chłopaki też stają, ale Caleb na mnie nie patrzy.

– Powinnam więcej pomagać rodzicom – bąkam. – A poza tym brzuch mnie boli...

– Odwieźć cię? – proponuje Devon.

– Odprowadzę ją – mówi Caleb. – I tak odechciało mi się jeść.

Do stoiska rodziców mamy dobre pół godziny piechotą. Przez większość drogi milczymy. Chyba się domyślił, że wcale nie boli mnie brzuch, bo ani razu nie pyta, jak się czuję. Ale gdy już widzę namiot, właściwie to naprawdę mnie boli. Po co powiedziałam coś takiego?

– Coś mi mówi, że ta sytuacja z moją siostrą męczy cię bardziej, niż przyznajesz – odzywa się Caleb.

– To nie o to chodzi – zapewniam go. Przystaję i biorę go za rękę. – Caleb, naprawdę nie należę do ludzi, którzy by ci wypominali błędy przeszłości.

Przeczesuje sobie włosy dłonią.

– To dlatego powiedziałaś coś takiego? To o związkach na odległość?

Biorę głęboki wdech.

– Naprawdę myślisz, że im się uda? Nie chcę wyjść na cynika, ale to dwa różne życia, dwa różne zestawy przyjaciół, dwa różne stany. Już na samym początku widać, że właściwie nie mają szans.

– Chcesz powiedzieć, że to my nie mamy szans.

Puszczam jego dłoń i odwracam wzrok.

– Znam tego chłopaka, znałem go, zanim poznał Danielle, i naprawdę cieszę się, że są razem. Tak, nie jest im łatwo, nie widują się każdego dnia, nie chodzą razem potańczyć, ale za to cały czas gadają. – Urywa i na ułamek sekundy mruży oczy. – Naprawdę nie myślałem, że jesteś taką pesymistką.

Pesymistką? Czuję narastającą złość.

– Kolejny dowód na to, że nie znamy się za długo.

– Nie, nie znamy się od dawna – przyznaje. – Ale wiem to, co powinienem.

– Doprawdy? – To słowo brzmi jakoś sarkastycznie.

– On i Danielle nie mają łatwo, ale wiedzą, że warto się postarać – mówi Caleb. – I głowę daję, że znają się lepiej niż wiele innych osób. Naprawdę uważasz, że powinni się skupić na tej jednej przeszkodzie?

Mrugam zdumiona.

– Poważnie? Przecież to ty unikasz dziewczyn stąd tylko dlatego, że nie masz ochoty tłumaczyć im się z przeszłości. To co to jest, jak nie koncentrowanie się na pojedynczej przeszkodzie?

– Nie to powiedziałem! – Czuję, że się naprawdę zdenerwowałem. – Powiedziałem, że nie byłem nigdy z żadną dość długo, żeby wiedzieć, że jest tego warta. Ale ty jesteś tego warta. Wiem to z całą pewnością.

W głowie mi się kręci.

– Serio? Myślisz, że może nam się udać?

Patrzy na mnie z przekonaniem.

– Tak. – Jego wzrok łagodnieje, a twarz rozpromienia się w szczerym uśmiechu. – Sierro, przecież ja dla ciebie uczesałem włosy!

Spuszczam wzrok i wybucham śmiechem, odgarniam sobie kosmyki z twarzy.

Muska kciukiem mój policzek. Unoszę brodę w jego stronę, wstrzymuję oddech.

– W weekend przyjedzie Abby – mówi Caleb. Czuję napięcie w jego głosie. – Chciałbym, żebyś ją poznała. I moją mamę też. Przyjdiesz?

Patrzę mu głęboko w oczy.

– Tak. – Tym jednym słowem odpowiadam na wiele innych pytań, których już nie musi zadawać.

Docieram do przyczepy i padam na łóżko. Stawiam zdjęcie z Mikołajem na stole i patrzę na nie kątem oka, gdy układam głowę na poduszce z brzydkiego swetra.

Potem jednak siadam, chwytam zdjęcie i podsuwam je pod ramki, które przywiozłam z domu. Najpierw pokazuję je Elizabeth. Udając jej głos, pytam samą siebie:

– Co ty wyprawiasz, dziewczyno? Pojechałaś tam sprzedawać choinki i spędzić czas z Heather.

– Tak, ale... – odpowiadam.

– To nie ma żadnych szans, Sierra – mówię znów głosem Elizabeth. – I to bez względu na to całe jego gadanie o związkach na odległość.

Zaciskam powieki.

– Nie wiem, dziewczyno. A może jednak mamy jakieś szanse?

Potem podsuwam zdjęcie z Calebem pod ramkę Rachel. Reaguje gwizdnięciem. Wskazuje dołeczek.

– No wiem – mówię swoim głosem. – I wierz mi, że przez to wcale nie jest mi łatwiej.

– Co masz do stracenia? – rzuca lekko wyimaginowana Rachel. –

W najgorszym razie skończy się tylko złamanym sercem. No i co? Na moje oko tak czy siak będziesz miała złamane serce.

Znów opadam na łóżko, przyciskając zdjęcie Caleba do piersi.

– Wiem.

Wychodzę na zewnątrz zobaczyć, czy nie muszę pomóc w namiocie. Ale akurat jest lekki przestój, więc robię sobie gorącą czekoladę i wracam w stronę przyczepy, żeby trochę nadgonić z pracą domową.

Mijając nasze najwyższe sosny Frasera, widzę, jak Andrew ciągnie między nimi wąż ogrodowy. Chcę załagodzić sytuację między nami po tamtym spięciu, bo przecież zawsze lepiej pracować razem w miłej atmosferze.

– Dzięki, że pilnujesz tak tego podlewania – mówię. – Naprawdę dobrze



wyglądają.

Andrew kompletnie mnie ignoruje. Przekręca końcówkę i zaczyna zraszać drzewka. To by było na tyle, jeśli chodzi o podtrzymanie przyjaznych stosunków w pracy.

W przyczepie wyciągam laptopa i przeglądam jeszcze raz wypracowanie, które napisałam wczoraj wieczorem. Potem sprawdzam e-maile i widzę, że Monsieur Cappeau jest dość niezadowolony z tego, że odwołałam naszą ostatnią rozmowę, więc umawiam się z nim od nowa, a potem wszystko zamykam.

Wyglądam przez okno. Tata podchodzi do Andrew, daje mu znak, żeby podał mu wąż, pokazuje mu, jak ma zraszać drzewka, i oddaje z powrotem. Andrew kiwa głową, a tata uśmiecha się i klepie go po ramieniu. Potem znika w naszym lasku choinek. Zamiast wrócić do zraszania, Andrew ogląda się szybko na przyczepę.

Odsuwam się od okna, zasłonka opada.

Postanawiam przygotować nam kolację. Kroję warzywa od pana McGregora i robię z nich cały gar zupy. Gotuję ją na małym ogniu i patrzę, jak na parking wjeżdża kolejna ciężarówka z choinkami. Z szoferki wyskakuje wujek Bruce. Nasi pracownicy włączają na ciężarówkę, wspinają się po drabinie, żeby zacząć rozładunek, a wujek pędzi do przyczepy i od progu woła:

– Ho, ho! Jak tu w środku ładnie pachnie! – Ścisną mnie serdecznie na powitanie. – Bo tam na zewnątrz to śmierdzi żywicą i nastolatkami, słowo daję.

Potem zamyka się w łazience. Sprawdzam, jak tam moja zupa. Dodaję trochę przypraw z szafki i mieszam drewnianą łyżką. Wraca wujek i kosztuje mojego dzieła, po czym wraca do choinek. Opieram się o blat i patrzę, jak drzwi się za nim zamykają. To w takich właśnie chwilach myślę sobie, że mogłabym tak pracować całe życie. Kiedy moi rodzice będą za starzy na ciężką pracę, to ja będę musiała zdecydować o losie farmy i tym, czy w ogóle będziemy mieć jakieś stoiska z choinkami.

Ciężarówka już jest pusta, ale tata zostaje jeszcze na zewnątrz, żeby wydawać polecenia pracownikom. Mama z wujkiem przychodzą do mnie. Cieszą się ogromnie z zupy i rzucają się na nią jak wilki, nie wypominając mi w ogóle, że w ten sposób wymigałam się przecież od ciężkiej roboty.

Wujek Bruce bierze dokładkę i opowiada, że ciocia Penny założyła

wszystkie światełka na choinkę, zanim wetknęła wtyczkę do gniazdka.

– Co jej w ogóle strzeliło do głowy? – denerwuje się.

Kiedy w końcu włączyła światełka, okazało się, że połowa nie działa, więc teraz mają choinkę mizernie oświetloną.

Potem wujek idzie zastąpić tatę, a mama chowa się w małej sypialni, żeby się zdrzemnąć przed wieczorną falą klientów. Wchodzi tata. Podaję mu miskę zupy. Stoi chwilę w progu wyraźnie czymś przejęty. Chyba chce mi o czymś powiedzieć, ale tylko kręci głową i znika w sypialni.



Następnego dnia po południu, gdy akurat mamy lekki przestój, oddzwaniem do Rachel.

– Nie uwierzysz, co się stało! – woła od razu.

– Jakiś aktor zobaczył twój post o balu zimowym i przyjął zaproszenie?

– Hej, to się naprawdę może zdarzyć. Pomyśl, to buduje także ich wizerunek. Nie tracę nadziei – zapewnia mnie. – Ale nie. Mam ci do powiedzenia coś o wiele lepszego.

– Mów!

– Ta dziewczyna z *Opowieści wigilijnej*, ta, która gra Ducha Dawnych Świąt, ma mononukleozę! Znaczy, no wiesz, to pewnie nie najlepiej. Ale zgadnij, kto ją zastąpi! Ja!

Parskam śmiechem.

– Dobrze, że chociaż odnotowałaś ten drobny fakt, że mononukleozą to nic dobrego.

Rachel śmieje się razem ze mną.

– No, wiem, wiem, ale w końcu to tylko mononukleozą, nie rak ani nic. W każdym razie chodzi o to... Wiem, że wyskakuję z tym w ostatniej chwili, ale... na niedzielę są jeszcze bilety! Bo wszystkie inne są już wyprzedane.

– Na tę niedzielę? Niedziela jest jutro – bąkam.

– Już wszystko ci sprawdziłam. Możesz wskoczyć do pociągu o północy i...

– Dziś o północy?

– Przyjedziesz tu spokojnie na czas – ciągnie.

Chyba za długo milczę, bo Rachel pyta, czy w ogóle tam jeszcze jestem.

– Spytaam rodziców. Ale niczego nie mogę obiecać.

– Jasne – mówi. – Ale spróbuj. Tak bardzo chcę cię tu zobaczyć.

I Elizabeth też za tobą tęskni. Możesz nocować u mnie. Już pytałam rodziców. Opowiesz nam wszystko o Calebie. Coś podejrzanie milczysz na ten temat...

– Rozmawialiśmy o jego siostrze. Myślę, że powiedział mi już wszystko.

– Czyli rozumiem, że jednak nie jest wywijającym nożem psychopata?

– Jeszcze z nikim o tym nie gadałam, bo to trochę skomplikowane. – Wzdycham. – Już sama nie wiem, co czuję ani co chcę czuć.

– No, rzeczywiście skomplikowane – przyznaje Rachel. – Nawet z zewnątrz.

– Teraz, gdy już wiem, że nie ma w tym niczego złego – próbuję wyjaśnić – zaczęłam się zamartwiać, czy to w ogóle ma jednak sens. W końcu jestem tu jeszcze tylko dwa tygodnie.

– Hm... – Słyszę, że Rachel postukuje palcem w telefon. – Z tego, co mówisz, to raczej pewnie o nim tak szybko nie zapomnisz.

– Tak, trudno mi to sobie nawet wyobrazić.

Kiedy kończymy gadać, idę do namiotu. Mama wieszka właśnie świeżo zrobione wieńce. Na swój roboczy strój włożyła ciemnozielony fartuch z napisem: „Idą święta, Idą święta”. W zeszłym roku dałyśmy go tacie na Wigilię. Zawsze kupujemy mu tutaj coś takiego kiczowatego, a prawdziwe prezenty czekają dopiero w domu.

Chwilę pomagam jej poprawiać gałązki na niektórych wieńcach, aż w końcu zbieram się na odwagę i pytam:

– Mogę pojechać pociągiem do domu, żeby zobaczyć, jak Rachel gra ducha w *Opowieści wigilijnej*? Przedstawienie jest w niedzielę.

Mama zamiera z rękami przy wieńcu.

– Co ty powiedziałaś o Rachel i duchu?

– Wiem, że to okropny moment. Wiem. Wiem, że będziemy mieli w ten weekend urwanie głowy. Nie muszę jechać, jeśli to dla was za duży kłopot.

Nie przyznaję się do tego, że tak naprawdę wcale nie mam ochoty jechać. Nie chcę tracić dwóch dni, które mogłabym spędzić z Calebem, żeby siedzieć samotnie w pociągu.

Mama podchodzi do zamkniętego kartonu leżącego na blacie. Rozcina taśmę.

– Porozmawiam z tatą – obiecuje. – Może uda się to jakoś zorganizować.

– Aha.

Otwiera karton, podaje mi kilka wąskich pudełek ze srebrnymi

łańcuchami. Kładę je na półce pod wieńcami, a mama podaje mi kolejną partię.

– Kilku pracowników poprosiło o więcej godzin – mówi mama. – Chyba dałoby się zastąpić cię na te parę dni. – Odstawia pusty karton pod ladę i wyciera ręce w fartuch. – Postoisz na kasie? – To oznacza, że idzie pogadać z tatą.

– W sumie... – zaczynam i przymykam oczy. – W sumie to chyba nie chcę jechać. – Zmuszam się do uśmiechu.

Mama aż chichocze.

– To dlaczego mnie o to prosiłaś?

Pocieram twarz dłonią.

– Bo myślałam, że odmówisz. Myślałam, że jestem potrzebna do pomocy. Ale obiecałam Rachel, że cię zapytam.

Mama patrzy na mnie z troską.

– Kochanie? Co się dzieje? Przecież wiesz, że twój ojciec i ja bardzo lubimy, jak nam pomagasz, ale nie chcielibyśmy, żebyś musiała rezygnować z wszystkiego z powodu naszego rodzinnego interesu.

– Ale to jest *rodzinny* interes. Pewnego dnia go przecież przejmę.

– To byłoby cudowne – mówi mama. Przytula mnie mocno, a potem odsuwa się trochę, żeby na mnie spojrzeć. – Ale czy mnie się dobrze wydaje, że ty wcale nie chcesz tak naprawdę pogadać o naszym interesie ani o przedstawieniu Rachel?

Odwracam wzrok.

– Bardzo zależy mi na Rachel. Wiesz o tym. I choć Duch Dawnych Świąt nawet nie mówi, i tak chciałabym ją zobaczyć na scenie. Ale... chodzi o to... Caleb chciałby, żeby w ten weekend poznała jego rodzinę.

Mama uważnie wpatruje się w moją twarz.

– Na miejscu taty w tej chwili kupiłabym ci ten bilet na pociąg.

– Wiem – mamroczę. – Czy myślisz, że jestem głupia?

– Uczucia nigdy nie są głupie – mówi mama. – Ale powinnam cię uprzedzić, że tata ma do Caleba duże zastrzeżenia.

Marszczę brwi.

– A wiesz dlaczego?

– Powiedziałam mu, że musimy ci zaufać – opowiada mama. – Ale przyznam, że i ja się niepokoję.

– Mamo, powiedz wprost – proszę, patrząc jej w oczy. – Czy to Andrew

coś wam nagadał?

– Rozmawiał z ojcem – mówi mama. – I ty też powinnaś.



– Ale to *Opowieść wigilijna!* – denerwuje się Rachel.

Leżę na łóżku z telefonem przy uchu i ręką na czole. Ze zdjęcia patrzy na mnie Rachel kryjąca się przed paparazzi.

– To nie to, że nie chcę tego zobaczyć – tłumaczę. Mogłabym oczywiście skłamać, powiedzieć, że rodzice nie chcą mnie puścić, ale zawsze dotąd mówiłyśmy sobie z Rachel prawdę.

– To wskakuj w ten pociąg! – krzyczy. – Słowo daję, że jeśli to przez tego chłopaka...

– Ma na imię Caleb. Tak, to o niego chodzi. Posłuchaj, mam w ten weekend poznać jego rodzinę. A potem mamy już tylko kilka dni i... – Nagle słyszę ciszę. – Jesteś tam?

Rzucam komórką o stół, przyciskam sobie poduchę ze swetra do twarzy i wrzeszczę. Chwilę odczekuję, aż mi trochę przejdzie wściekłość, a potem postanawiam wykorzystać tę energię, by pogadać wreszcie z tatą o tym, co mu nagadał Andrew.

Znajduję go na parkingu. Niesie akurat małą choinkę do jakiegoś samochodu.

– Nie teraz, Sierró, mam urwanie głowy – odpęda mnie. Czuję po jego głosie, że po prostu nie ma jeszcze siły na tę rozmowę. – Musimy dziś z mamą przeanalizować przychody i... Naprawdę dziś nie mogę.

Kiedy dzwoni Heather, żeby sprawdzić, czy mogę dziś popiec z nimi ciasteczka, nawet nie próbuję prosić rodziców, żeby mnie puścili. Przecież mama powiedziała, że nie chce, żebym rezygnowała z życia z powodu rodzinnego interesu, więc mówię jej tylko, że wychodzę, wskakuję do samochodu Devona i odjeżdżamy.

Na parkingu przed supermarketem Caleb pochyla się w stronę kierowcy i prosi Devona, żeby zaparkował na drugim końcu, jak najdalej od stoiska z choinkami Hopperów, bo chce uniknąć niezręcznej sytuacji, kiedy będzie musiał się tłumaczyć, dlaczego do nich nie zachodzi.

– Powinieneś od nich też kupować – mówię. – Uwielbiam ich. Znaczący, wtedy musiałabym wprowadzić ci zniżkę, ale...

– Sierra! – Heather się śmieje. – Najpierw to musiałabyś mu wytłumaczyć,

co to znaczy „anulować”.

– Ha, ha. Bardzo śmieszne – odgryza jej się Caleb. – Wiem, co znaczy anulować... z kontekstu.

Pika mi komórka. To esemes od Elizabeth. Zasłaniam ekran, żeby ją przeczytać. Pisze, że powinnam się zastanowić, jacy przyjaciele będą przy mnie za parę lat. Czyli Rachel zadzwoniła do niej zaraz po tym, jak rzuciła mi słuchawkę. Kolejny esemes, też od Elizabeth. Tym razem wyrażający ubolewanie, że robię coś takiego dla chłopaka, którego ledwo znam.

– Wszystko w porządku? – pyta Caleb.

Wyłączam komórkę i chowam ją do kieszeni.

– A, mały dramat w Oregonie – rzucam.

Jak na Elizabeth to bardzo agresywne esemesy. Czy one naprawdę myślą, że to była łatwa decyzja? Albo że Caleb nic dla mnie nie znaczy? Wcale nie było łatwo i wcale nie jestem jedną z tych dziewczyn. Po prostu zostało mi już tak mało czasu i nie chcę wymazać z kalendarza tych kilku dni, które mogę z nim spędzić.

Wysiadamy z samochodu. Caleb udaje, że musi postawić kołnierz i się skulić, żeby pan Hopper go przypadkiem nie zauważył. Choć jesteśmy o wiele za daleko, żeby pan Hopper nas dojrzał, też się kulę i przemykamy cichaczem do sklepu.

Heather składa listę zakupów na pół i przedziera kartkę wzdłuż zgięcia. Daje nam pół listy, a drugie pół zachowuje sobie i bierze Devona pod ramię. Umawiamy się, że jak zbierzemy wszystko, staniemy w kolejce do kasy numer osiem. Ruszamy z Calebem w stronę nabiału na końcu sklepu.

– Miałaś jakąś nieswoją minę, jak po ciebie przyjechaliliśmy – mówi Caleb.  
– Na pewno wszystko w porządku?

Wzruszam ramionami. Nic nie jest w porządku. Rachel jest na mnie wściekła, że nie przyjadę na przedstawienie. Tata byłby wściekły, gdyby wiedział, co właśnie robię.

– I to wszystko? No, dzięki – narzeka Caleb. – To żeś mi opowiedziała.

Ale nie chcę o tym mówić w sklepie. Tylko że przez to teraz i Caleb się na mnie wścieka. Idzie przede mną. Potem, gdy docieramy do lodówek z mlekiem, nagle przystaje i jednak łapie mnie za rękę.

Podążam za jego wzrokiem i widzę Jeremiaha, który właśnie wkłada butelkę mleka do wózka. Kobieta, która musi być jego matką, popycha wózek i wtedy ląduje prosto przed nami. Patrzą na nią uważniej. Kojarzę ją.

Kilka dni temu przyszła na nasze stoisko. Kiedy zaoferowałam jej pomoc w wyborze choinki, syknęła coś o zawyżonych cenach i sobie poszła.

Jeremiah posyła nam grzecznościowy uśmiech.

Jego mama zaczyna pchać wózek tak, żeby nas minąć.

– A, Caleb – mówi tylko, zamiast się przywitać. Głos ma napięty.

– Dzień dobry – odpowiada Caleb cicho i nim mama Jeremiaha ma czas nas minąć, dodaje: – To moja koleżanka, Sierra. Sierro, to pani Moore, mama Jeremiaha.

Pani Moore patrzy na mnie, nie przestając pchać wózka.

– Miło mi – mamrocze.

Patrzę jej prosto w oczy.

– Moi rodzice są właścicielami stoiska z choinkami – wyjaśniam. Robię krok w tym kierunku, w którym ona pcha wózek. Zatrzymuje się. – Wydaje mi się, że pani była u nas kilka dni temu.

Mama Jeremiaha uśmiecha się niepewnie i ogląda na syna.

– No właśnie, wciąż nie mamy choinki.

Czuję, jak spięta jest dłoń Caleba, ale staram się zachowywać jak gdyby nigdy nic i kontynuować tę rozmowę. Ruszam obok ich wózka, ciągnąc za sobą Caleba.

– Proszę do nas jeszcze raz zajrzeć – zapraszam. – Wujek właśnie przywiózł nową partię drzewek. Prosto z farmy.

Pani Moore znów patrzy na Caleba, jakby już z mniejszą rezerwą, ale to do mnie mówi:

– Może rzeczywiście zajrzę. Bardzo miło było cię poznać, Sierro. – Pcha wózek, a Jeremiah idzie za nią.

Caleb patrzy za nimi nieprzytomnym wzrokiem. Ściskam go za ramię, żeby mu pokazać, że jestem przy nim, ale też przeprosić, że tak wymusiłam tę sytuację. Chodzi o to, że jestem przekonana, iż on i Jeremiah powinni się znów przyjaźnić.

Ale nie mam czasu mu tego wszystkiego wyjaśnić, bo słyszymy za plecami nabrzmiały wściekłością głos.

– Mój brat nie zamierza się z tobą trzymać i znów wpakować w jakieś kłopoty, Caleb. Obejdzie się.

Obracam się natychmiast. Przede mną stoi siostra Jeremiaha. Ręce oparła na biodrach i wyraźnie czeka na reakcję Caleba, ale on milczy, spuszcza wzrok. Wtedy ja robię krok w jej stronę.

– To ty jesteś Cassandra, prawda? – upewniam się. – Słuchaj, Cassandro, Caleb naprawdę nie zamierza nikogo wpakować w żadne kłopoty. Czas, żebyście to zrozumieli, i ty, i Jeremiah.

Cassandra patrzy to na mnie, to na Caleba, próbując pewnie zrozumieć, dlaczego sam tego nie powie i to ja występuję w jego obronie. Przechyliłam głowę, bo właściwie mogłabym o to samo spytać ją. Dlaczego wypowiada się za Jeremiaha?

– Nie znam cię – mówi Cassandra do mnie. – A ty nie znasz mojego brata.

– Ale znam Caleba – odpowiadam.

Cassandra kręci głową.

– Jeremiah nie da się w to wciągnąć. Drugi raz nie popełnimy tego samego błędu – oświadcza i rusza za rodziną.

Ściskam dłoń Caleba. Patrzymy razem, jak Cassandra znika za rogiem.

– Przepraszam – szepczę. – Wiem, że sam potrafisz się bronić. Ale nie mogłam się powstrzymać.

– Ludzie myślą, co chcą – stwierdza. Widzę, że już się uspokoił po tym starciu. Pewnie przez te wszystkie lata przyzwyczał się do podobnych sytuacji. Uśmiecha się tylko złośliwie. – I co? Ulżyło ci?

– Miałam ochotę jej strzelić – wyznaję.

– Teraz już wiesz, dlaczego tak kurczowo trzymałem cię za rękę.

Za nami pojawiają się Heather i Devon, który niesie koszyk z jajkami, lukrem i posypką.

– To co? Idziemy piec? – pyta Heather, po czym patrzy na nasze dłonie. – A gdzie wasze zakupy? Przecież to była taka krótka lista!

Znajdujemy składniki i już razem idziemy do kasy. Jeremiah, jego mama i Cassandra stoją dwie kasy dalej. Udają, że nas nie widzą, ale jestem pewna, że celowo nas ignorują.

– Czy to cię nie wkurza, że nawet na ciebie nie patrzą? – pytam Caleba.

– Jasne, że tak – przyznaje. – Ale to moja wina, więc odpuść sobie.

– Chyba żartujesz? – oburzam się. – To oni powinni...

– Proszę – szepcze. – Odpuść.

Caleb, Heather i Devon wykładają zakupy na taśmę, ale ja piorunuję wzrokiem rodzinę Jeremiaha. Pani Moore ogląda się i wyraźnie się peszy, gdy widzi, że na nią patrzę.

– Proszę wpaść jutro! – wołam do niej. – Będzie dzień zniżek dla krewnych i znajomych!



Cassandra posyła mi wściekłe spojrzenie, ale nic nie mówi. Caleb udaje, że coś go bardzo zaciekało na stojaku z gumami do żucia.

Tylko Devon podnosi wzrok.

– Czy mnie też się należy ta zniżka? – dopytuje.



Rano ze zdumieniem stwierdzam, że Jeremiaś z Cassandrą naprawdę przyjechali. Wprawdzie on wygląda, jakby właśnie go ściągnięto z łóżka i w półśnie włożył byle spodnie, bluzę i czapkę, ale za to ona prezentuje się wspaniale. Pewnie zerwała się na budzik, zdążyła wypić kawę, zjeść śniadanie, uczesać się i umalować. I dopiero wtedy go obudziła.

Jeremiaś idzie oglądać choinki, a Cassandra wchodzi do namiotu.

– Rozumiem, że przyszedliście skorzystać ze zniżki – mówię na powitanie.

– Mama nie dała sobie tego wyperswadować – odburkuje Cassandra takim tonem, że jestem pewna, że za wszelką cenę próbowała matce wybić ten pomysł z głowy.

– Nie ma za co – rzucam.

Patrzy na mnie spode łba.

– To po co ty w ogóle wyskoczyłaś z tą zniżką?

– Szczerze? Miałam nadzieję, że przyjdą twoi rodzice i będziemy mogli porozmawiać.

Krzyżuje ręce na piersi.

– A co tu można jeszcze powiedzieć, czego dotąd ktoś nie powiedział?

– Że Caleb nigdy by nikogo nie skrzywdził – oświadczam. – Tego nikt dotąd nie powiedział.

– I naprawdę w to wierzysz?

– Tak.

Cassandra parska śmiechem.

– Chyba sobie kpisz. Na oczach Jeremiaha rzucił się z nożem na własną siostrę!

– Wiem. I wiem, że żałuje tego każdego dnia – mówię. – Każdego dnia ponosi konsekwencje tego błędu. Ponosi je też jego rodzina.

Cassandra spuszcza wzrok i kręci głową.

– Moi rodzice nigdy nie będą tolerować...

– Rozumiem, ale może oni trochę przesadzają z tym chronieniem twojego brata? Posłuchaj, mój tata każe każdemu pracownikowi, który choćby na

mnie spojrzy, szorować toalety.

– Mówimy tu o czymś zupełnie innym niż jakiś tam flirt, chyba to rozumiesz?

Za nią widzę, jak do namiotu wchodzi Jeremiaś. Trzyma w ręku zawieszki z choinki, ale nie dołącza się do rozmowy.

– Myślę, że tu nie chodzi tylko o twoich rodziców – ryzykuję. – Jeremiaś i Caleb byli najbliższymi przyjaciółmi. Powinni nadal móc się przyjaźnić. Tymczasem nie dano im nawet szansy tego wszystkiego przegadać.

Czekam na odpowiedź, która nie następuje. Cassandra wpatruje się w swoje paznokcie, ale przynajmniej jeszcze tam stoi.

– Przecież widzisz go codziennie w szkole – argumentuję. – Przecież wszystko, co robi, świadczy o tym, jaki jest. Czy wiesz, że zawozi choinki potrzebującym rodzinom? Wiesz dlaczego? Bo dzięki temu te rodziny są szczęśliwsze.

Cassandra w końcu podnosi na mnie wzrok.

– A może dlatego, że zniszczył własną rodzinę?

Wzdrygam się.

Spuszcza głowę, przymyka oczy.

– Nie powinnam była tego powiedzieć.

Nie wiem nawet, jak na to zareagować. W pewnym sensie ona ma rację. Caleb nie rozdaje choinek, żeby dostać piątkę z plusem. Rozdaje je z nadzieją na odkupienie win, na odzyskanie spokoju ducha.

Podchodzi do nas Jeremiaś. Kładzie dłoń na ramieniu siostry.

– Wszystko w porządku?

– A gdyby to się znów stało? – zwraca się do niego Cassandra. – Gdyby ktoś znowu wyprowadził go z równowagi i Caleb znów by się załamał? Myślisz, że udałoby ci się nie dać w to wciągnąć?

– Popełnił błąd i za niego zapłacił – przekonuję. – Po tylu latach to wciąż go męczy. Naprawdę zależy wam na tym, żeby jeszcze pogarszać jego sytuację?

Cassandra znów patrzy na brata.

– Mama w życiu by się na to nie zgodziła.

Jeremiaś z kolei spogląda na mnie.

– Wydaje ci się, że go znasz – mówi, ale nie brzmi to jak wyrzut.

– Tak – potwierdzam. – Znam go takiego, jaki jest teraz.

– Przykro mi – mówi Cassandra. Patrzy to na mnie, to na Jeremiaha. –

Wiem, że chciałabyś, żeby było inaczej, ale dla mnie zawsze najważniejszy będzie mój brat.

Odwraca się i wymaszerowuje z namiotu.

Patrzę, jak Cassandra i Jeremiaś wsiadają do samochodu, na którym już leży nasza przeceniona choinka. Jeremiaś ma otwarte okno pasażera, macha mi niepewnie, gdy wyjeżdżają z parkingu.

Jego mina odzwierciedla moje poczucie bezsilności, ale gdzieś w głębi duszy mam jednak nadzieję, że to jeszcze nie koniec rozmowy. Może pewnego dnia ktoś mnie wysłucha.

– O co tu chodziło? – zagaja mama.

– To skomplikowane – bąkam.

– Co jest skomplikowane? To coś związanego z Calebem, tak?

– Możemy o tym nie mówić? – pytam.

– Sierro, musisz porozmawiać z ojcem – radzi mama. – Powtarzam mu, żeby ci zaufał i że wiesz, co robisz, ale jeśli nie potrafisz mówić o tym otwarcie nawet ze mną, przestanę. Andrew powiedział...

– Nic mnie nie obchodzi, co mu nagadał Andrew! – oburzam się. – I was też nie powinno to obchodzić.

Mama krzyżuje ręce na piersi.

– Niepokoi mnie twoja postawa, Sierro. Czy ty aby rozumiesz, w co się angażujesz?

Zamykam oczy i robię wydech.

– Mamo, jaka jest twoim zdaniem różnica między plotką a ważną informacją?

Mama chwilę się nad tym zastanawia.

– Moim zdaniem, jeżeli osoba, która o czymś ci opowiada, nie była bezpośrednio zaangażowana w to wydarzenie, to jest to plotka.

Przygryzam wargę.

– I dlatego właśnie nie chcę, żebyście oceniali Caleba na podstawie tego, co powiedział wam o nim Andrew, bo jestem przekonana, że nie powiedział tego dla waszego dobra. Powiedział to, żeby zranić Caleba albo żeby odegrać się na mnie za to, że nie jestem nim zainteresowana.

Teraz to już widzę, że mama zupełnie spanikowała.

– Wygląda na to, że jest o wiele więcej rzeczy, o których nie wiem – mówi. Każe mi iść poszukać taty, a sama rozgląda się za jakimś pracownikiem, który mógłby ją zastąpić za ladą.

Na parkingu tata z Andrew pakują właśnie choinkę do samochodu jakiejś pani. Z bagażnika wystaje pół drzewka, więc wiążą wszystko dratwą, żeby bagażnik nie otworzył się podczas jazdy. Kobieta chce dać tacie napiwek, ale on pokazuje jej, że pieniądze należą się Andrew. Chłopak przyjmuje je, po czym rusza za tatą na parking.

– Cześć, kochanie – mówi tata na mój widok. Zatrzymuje się przede mną, a Andrew razem z nim.

Spoglądam na Andrew i wskazuję mu kciukiem kierunek za moimi plecami.

– Możesz wracać do pracy – warczę.

Andrew uśmiecha się zadowolony z siebie i odchodzi. Dobrze wie, że wpakował mnie w kłopoty. Może tak już jest, jak ci się podoba ktoś, kto zupełnie nie jest tobą zainteresowany.

– Sierro, no naprawdę – protestuje tata.

Opanowuję przemożną chęć przewrócenia oczami.

– To właśnie o nim musimy porozmawiać – wyjaśniam.



Idziemy z mamą i z tatą wzdłuż Oak Boulevard – ulicy, która prowadzi do naszego stoiska. Obok przejeżdżają samochody, czasem jakiś rowerzysta. Biorę głęboki wdech i wymachuję rękoma, żeby zebrać się na odwagę. Gdy już zaczynam mówić, mówię i mówię, a oni słuchają cierpliwie. Opowiadam im wszystko, co wiem o Calebie, o jego rodzinie, o Jeremiahu, o tym, co Caleb robi z choinkami. Z jakiegoś powodu zajmuje to o wiele więcej czasu, niż kiedy Caleb mi to opowiadał. Może dlatego, że czuję potrzebę dodawania wszystkiego tego, co wiem o tym Calebie, którego teraz znam.

Wreszcie kończę. Tata marszczy brwi.

– Kiedy usłyszałem, że Caleb zaatakował swoją...

– Nie zaatakował jej! – przerywam mu. – Pobiegnął za nią, ale nigdy w życiu by jej...

– I ty chcesz, żebym przymknął na to oko? Tak trudno mi było pozwolić ci spędzać czas z tym chłopcem po tym, czego się o nim dowiedziałem, ale chciałem ci zaufać. Wierzyłem, że będziesz rozsądna, Sierro, ale teraz

obawiam się, że jesteś po prostu naiwna, że widzisz światło tam, gdzie panuje w rzeczywistości cie...

– Powiedziałam wam wszystko – wchodzę mu w słowo. – Czy to się w ogóle nie liczy?

– Kochanie, to nie ty nam powiedziałaś – oponuje mama. – To Andrew.

Tata patrzy na nią.

– Nasza córka umawia się z chłopcem, który zaatakował... – Podnosi rękę, żebym mu nie przerywała. – ...który pobiegł za swoją siostrą z nożem.

– A gdzie miejsce na wybaczenie? – pytam. – No, po prostu świetnie, tato. Czyli co? Jeśli popełniłeś jeden błąd, masz już przekichane przez całe życie?

Tata macha mi palcem przed nosem.

– Nie to...

– Sierro – wtrąca się mama. – Jesteśmy tu jeszcze tylko tydzień. Skoro ta sytuacja aż tak niepokoi twojego ojca, czy na pewno musisz to ciągnąć?

Zatrzymuję się.

– Nie o to chodzi! Nie znałam Caleba, kiedy to się stało, i wy też nie. Ale za to bardzo mi się podoba ten Caleb, którego znam teraz. I wam też by się spodobał.

Teraz już wszyscy troje stoimy. Tata skrzyżował ręce na piersi i wpatruje się w ulicę.

– Wybaczcie, że nie podoba mi się, iż moje jedyne dziecko umawia się z chłopcem, który dopuścił się w przeszłości przemocy!

– Gdybyście nie wiedzieli nic o tym, co stało się całe lata temu, i znali tylko tego chłopca, którym jest teraz, błagalibyście mnie, żebym za niego wyszła!

Mamie szczęka opada. Wiem, że trochę przesadziłam, ale ta rozmowa zupełnie wymknęła się spod kontroli.

– Poznałeś mamę na tym właśnie stoisku – drążę. – Nie wydaje wam się przypadkiem, że reagujecie teraz panicznie tylko dlatego, że boicie się, że historia się powtórzy?

Mama łapie się za serce.

– Słowo daję, że nawet mi to przez myśl nie przeszło.

Tata wciąż wpatruje się w ulicę, ale wzrok ma przerażony.

– A ja, że chyba tu zaraz padnę trupem.

– To wszystko jest okropne! – wybucham. – Ludzie uważają go za... kłopoty. Wolą wierzyć w najgorsze plotki, zamiast z nim o tym pogadać.

Albo mu wybaczyć.

– Gdyby naprawdę użył tego noża – zastrzeżę mama – nie byłoby nawet mowy o tym, żebyśmy w ogóle...

– Wiem – przerywam jej. – Ale wtedy przecież ja myślałabym to samo.

Mija nas samochód za samochodem. Udało mi się ich przekonać czy wszystko stracone?

– Wychowaliście mnie w przekonaniu, że każdy może stać się lepszym człowiekiem – przypominam.

Tata nadal na mnie nie patrzy, ale jednak przyznaje:

– I byłoby źle, gdybyśmy teraz nagle zmienili w tej sprawie zdanie.

– Otóż to.

Mama bierze tatę za rękę i patrzą na siebie. Porozumiewają się, jak to oni – bez słów. Po chwili odwracają się w moją stronę.

– Nie znamy go tak dobrze jak ty – mówi tata. – Rozumiesz więc chyba, dlaczego historia o jego siostrze tak bardzo nas zaniepokoiła. Bardzo chciałbym dać mu szansę, ale nie bardzo rozumiem po co, skoro za dwa tygodnie już nas tu nawet nie będzie...

Nie mówi tego na głos, ale wiem, że chce wiedzieć, dlaczego nie mogę sobie po prostu odpuścić. Dlaczego muszę ich tak niepokoić?

– Nie ma powodu do paniki – zapewniam go. – Jak sam słusznie zauważyłeś, ja go znam. A wy nauczyliście mnie ostrożności w tych sprawach. Nie musicie mu ufać, ale przynajmniej go nie skreślajcie. I zaufajcie mnie.

Tata wzdycha.

– Musisz się aż tak w to angażować?

– To się już chyba po prostu stało – mówi cicho mama.

Tata spuszcza wzrok, patrzy na swoją dłoń i schowaną w niej dłoń mamy. Potem spogląda mi prosto w oczy, ale wytrzymuje tylko parę sekund. Puszcza dłoń mamy i rusza z powrotem w stronę stoiska.

Zostajemy z mamą same i chwilę spoglądamy w jego stronę.

– Myślę, że wszyscy wyraziliśmy swoje uczucia – stwierdza mama.

Ściska moją dłoń i nie puszcza. Razem wracamy na stoisko.

Za każdym razem, gdy daję Calebowi przywilej wątpliwości, udowadnia, że słusznie zaryzykowałam. Za każdym razem, gdy go bronię, wiem, że mam rację. Było już milion powodów, by się poddać, ale za każdym razem, gdy tego nie robię, mam ochotę starać się jeszcze bardziej, by się nam udało.



Wieczorem długo szykuję się na kolację z rodziną Caleba. Trzy razy się przebieram, aż w końcu decyduję się na dżinsy i kremowy kaszmirowy sweter, czyli oczywiście to, co włożyłam pierwsze. Gdy wreszcie słyszę pukanie, zdmuchuję włosy z twarzy i rzucam ostatnie kontrolne spojrzenie w lustro. Otwieram drzwi. W progu stoi Caleb i się uśmiecha. Ma ciemnogrnatowe dżinsy i czarny sweter z szarym pasem na klatce piersiowej.

Otwiera usta, ale zamiera. Patrzy na mnie. Nie wiem, jak długo wytrzymam to spojrzenie. Chcę, żeby coś już powiedział, cokolwiek, a wtedy on szepcze:

– Jesteś taka piękna.

Czuję gorąco na policzkach.

– Nie musisz mówić nic takiego.

– Muszę – odpowiada. – To, czy potrafisz przyjmować komplementy, to osobna sprawa, ale w każdym razie jesteś piękna.

Patrzę mu w oczy z uśmiechem.

– Nie ma za co – mówi.

Podaje mi rękę, żeby pomóc mi wyjść z przyczepy, i idziemy razem w stronę jego samochodu. Nie widzę nigdzie taty, ale mama pomaga właśnie jakiemuś klientowi wśród choinek. Kiedy obraca się w moją stronę, pokazuję jej na migi parking, żeby wiedziała, że jadę.

Andrew uzupełnia właśnie siatkę na tubie do pakowania choinek. Czuję na sobie jego wzrok.

– Zaczekaj – mówię do Caleba.

Ogląda się na Andrew, który teraz to już bezczelnie się na nas gapi.

– Chodźmy – prosi Caleb. – To przecież nie ma znaczenia.

– Dla mnie ma.

Caleb puszcza moją dłoń i idzie do samochodu sam. Wsiada i zamyka drzwi, a ja odczekuję chwilę, żeby się upewnić, że po prostu sobie nie pojedzie. Daje mi ręką znak, że bym zrobiła, co muszę zrobić, więc obracam się i podchodzę do Andrew.

Teraz Andrew skupiony jest nagle na siatce i nawet nie raczy podnieść wzroku.

– Wybierasz się na randkę? – syczy.



– Rozmawiałam z rodzicami o Calebie – mówię. – Oczywiście nie mogłam powiedzieć im o nim wtedy, kiedy sama chciałam, ale musiałam powiedzieć teraz... przez ciebie.

– I mimo to puszczają cię na tę randkę? – warczy. – Co za rodzice, szkoda gadać.

– To rodzice, którzy ufają swojemu dziecku, tak jak powinni.

Teraz dopiero patrzy mi w oczy. Widzę w jego wzroku nienawiść.

– Mieli prawo wiedzieć, że ich córka umawia się z... kimś takim.

Szlag mnie trafia.

– To nie twoja sprawa, z kim się umawiam – syczę. – Nic, co mnie dotyczy, nie jest twoją sprawą.

Podchodzi do nas Caleb, bierze mnie za rękę.

– Sierra, chodź.

Andrew patrzy na nas z obrzydzeniem.

– Mam tylko nadzieję, że gdziekolwiek się wybieracie, nie podają tam żadnych potraw, które by wymagały krojenia. Dla waszego własnego dobra.

Caleb puszcza moją dłoń.

– Żeby przypadkiem nie było w pobliżu żadnych noży? – pyta. – Bardzo śmieszne.

Teraz zauważam tatę. Idzie między choinkami, patrzy na nas. Podchodzi do niego mama. Jest wyraźnie zaniepokojona, ale tata kręci głową.

Caleb zaciska zęby, odwraca wzrok. Wygląda, jakby mógł w każdej chwili dać fangę w nos Andrew. Jestem tak wściekła, że nie miałabym nic przeciwko temu. Ale wiem, że najważniejsze, żeby Caleb zachował teraz spokój. Chcę mieć pewność, że potrafi zapanować nad takimi emocjami. Chcę, żeby rodzice to zobaczyli.

Wygina sobie palce, trze nimi po karku. Patrzy na Andrew, milczy. Andrew ma przestraszoną minę, trzyma się siatki, jakby tylko dzięki temu potrafił opanować odruchową chęć, by się wycofać parę kroków. Caleb zauważa jego strach i jego wściekłość się ulatnia. Posyła mu przeproszające spojrzenie. Znów bierze mnie za rękę, splata swoje palce z moimi i prowadzi mnie w stronę samochodu.

Przez kilka chwil siedzimy w milczeniu, żeby się uspokoić. Czuję, że powinnam coś powiedzieć, ale nie wiem, od czego zacząć. W końcu Caleb po prostu włącza silnik.

Choinki znikają we wstecznym lusterku i wtedy to Caleb przerywa ciszę –

mówi, że trzy godziny temu odebrał Abby ze stacji. Patrzy na mnie z uśmiechem.

– Młoda już się nie może doczekać, kiedy cię zobaczy.

Dopiero wtedy dociera do mnie, że właściwie nie powiedział mi wiele o tym, jak się sprawy mają między nimi. Czy teraz, gdy ona mieszka z tatą, jest już lepiej? Czy kiedy przyjeżdża, sytuacja jest napięta?

– Mama też nie może się doczekać – ciągnie Caleb. – Wierci mi o ciebie dziurę w brzuchu, odkąd się tylko poznaliśmy.

– Serio? – Nie udaje mi się ukryć uśmiechu. – Odkąd się poznaliśmy?

Wzrusza ramionami, jakby to nie było nic takiego, ale widzę, że się uśmiecha.

– No dobra, przyznaję. Wspomniałem jej coś o pewnej dziewczynie od choinek, kiedy przywiozłem do domu nasze drzewko.

Zastanawiam się, co mógł takiego o mnie powiedzieć, skoro nie mam przecież żadnych dołączków, którymi można by się zachwycać.

Jego dom znajduje się trzy minuty samochodem od autostrady. Kiedy wjeżdżamy na osiedle, czuję, jak się spina. Nie wiem, czy to chodzi o jego siostrę, mamę czy o mnie, ale gdy parkujemy na krawężniku, jest już kłębkiem nerwów. Stoimy przed wąskim dwupiętrowym domkiem. W oknie na dole widzę choinkę z kolorowymi światełkami i złotą gwiazdą na czubku.

– Sęk w tym – bąka Caleb – że nigdy jeszcze nie przyprowadziłem tak nikogo do domu.

– Znaczą jak? – pytam.

Wyłącza silnik i ogląda się na dom, potem na mnie.

– No tak. Jak byś to zaklasyfikowała? Czy my ze sobą chodzimy czy...?

Uroczy jest, jak się tak tym przejmuję.

– Wiem, że to cię może zszokować, że ja to mówię, ale myślę, że czasami nie trzeba wszystkiego definiować.

Patrzy w dół, na przestrzeń między nami. Mam nadzieję, że nie pomyślał sobie, że się wycofuję.

– Nie przejmujemy się tym, jak to się nazywa – proponuję. – Po prostu jesteście sobie ze sobą.

– Ze sobą – powtarza, ale jego uśmiech wypada jakoś blado. – Najbardziej to się chyba przejmuję tym, ile nam czasu zostało.

Myślę o tym esemesie, który wysłałam wczoraj do Rachel. Życzyłam jej połamania nóg przed występem. Ale nie odpowiedziała. Zadzwoiłam do

Elizabeth, ale nie oddzwoniła. Caleb ma rację, że się martwi. Ja też się martwię. Jak długo można być w dwóch miejscach naraz?

Otwiera drzwi.

– Nic to, zaczynajmy.

Wchodzimy na schodki. Caleb bierze mnie za rękę. Dłoń ma spoconą, palce nerwowe. To już nie jest ten wyluzowany przystojniak, którego poznałam tamtego dnia. Puszczą moją rękę, żeby otrzeć dłoń o dzinsy. Potem otwiera drzwi.

– Już są! – piszczy jakiś głos z piętra.

Po schodach pędzi Abby. Jest piękna i wydaje się o wiele pewniejsza siebie niż ja w jej wieku. A najgorsze i najbardziej urocze zarazem jest to, że ma taki sam dołeczek. Gryzę się w język, żeby tego nie powiedzieć na głos. Na pewno to zauważyli. Dociera do nas i wyciąga rękę. Przez ułamek sekundy – gdy nasze dłonie się spotykają – staje mi przed oczami to, co zaszło między nią a Calebem.

– Okropnie się cieszę, że możemy się wreszcie poznać – trajkocze. Uśmiecha się tak samo szczerze i serdecznie jak jej brat. – Caleb tyle mi o tobie naopowiadał. Czuję się normalnie, jakbym poznawała jakąś celebrytkę!

– Ja... – Nie wiem, co na to powiedzieć. – Wiesz, ja też okropnie się cieszę, że mogę cię wreszcie poznać.

Z kuchni wyłania się ich mama – uśmiech ma bardzo podobny, tylko nie ma dołeczka. W pierwszej chwili wydaje mi się bardziej powściągliwa niż jej dzieci.

– Caleb, nie trzymaj jej tak w progu – mówi. – Wchodźcie, wchodźcie. Mam nadzieję, że lubisz lazanie.

Abby okręca się na poręczy i rusza w stronę kuchni.

– A ja mam nadzieję, że potrafisz sporo tego zjeść – dodaje.

Mama Caleba odprowadza córkę wzrokiem. Patrzy za nią jeszcze po tym, jak Abby znika już w kuchni. Potem spuszcza na chwilę głowę i dopiero znów zwraca się w naszą stronę.

– Tak dobrze mieć ją w domu – mówi chyba bardziej do siebie niż do nas.

Nagle opada mnie przerażające poczucie, że w ogóle nie powinno mnie tu być. Ta rodzina powinna mieć teraz czas dla siebie, a nie gościć obcą osobę. Oglądam się na Caleba, który chyba wyczuł, że musimy pogadać.

– Oprowadzę Sierę po domu – zarządza. – Przyjdziemy na kolację.

Mama macha na nas ręką.

– Dopiero nakrywamy do stołu.

Idzie do kuchni, gdzie Abby już odsuwa od ściany mały stolik. Dotyka włosów córki, gdy ją mija. Ściska mi się serce na ten widok.

Caleb prowadzi mnie do salonu. Ciemnokasztanowe zasłony są odsunięte i stanowią ramę dla choinki.

– Wszystko w porządku? – pyta Caleb.

– Wasza mama ma tak mało czasu z wami – zaczynam.

– Nie przeszkadzasz – zapewnia mnie. – Chciałem, żeby ją poznała. To też jest ważne.

Słyszę stąd, jak ich mama i Abby rozmawiają sobie w kuchni. Ich głosy są takie radosne. Tak bardzo się cieszą, że są razem. Oglądam się na Caleba – patrzy na choinkę tak niesamowicie smutnym wzrokiem.

Podchodzę bliżej i przyglądam się drzewku. Ozdoby choinkowe naprawdę wiele mówią o rodzinie. W tym wypadku to miszmasz drobiazgów, które Abby i Caleb zrobili pewnie sami, kiedy byli mali, a do tego różne dziwne rzeczy z całego świata.

Dotykamy lśniącej wieży Eiffla.

– Twoja mama była we wszystkich tych miejscach?

Caleb trąca sfinksa w czapce Świętego Mikołaja.

– Wiesz, jak to jest z takimi rzeczami. Jeden z naszych znajomych przywiózł jej pamiątkę z Egiptu, inny to zobaczył i też coś przywiózł ze swojej podróży.

– To musi mieć wśród znajomych niezłych obieżyświatów – mówię. – Sama dużo podróżuje?

– Po rozwodzie już raczej nigdzie nie jeździła. Z początku po prostu nie było nas na to stać.

– A potem?

Caleb ogląda się na kuchnię.

– Kiedy jedno dziecko postanawia się wyprowadzić, chyba trudniej zostawić to drugie choćby i na chwilę.

Dotykam czegoś, co ma być chyba krzywą wieżą w Pizie, ale jakoś na gałązce buja się tak równiutko w górę i w dół.

– A nie mógłbyś z nią podróżować?

– I tu wracamy do spraw finansowych – śmieje się Caleb.

Prowadzi mnie na górę, do swojego pokoju. Idzie przede mną wąskim

korytarzem w kierunku otwartych drzwi na samym końcu, ale ja stoję jak wryta przed zamkniętymi, pomalowanymi na biało drzwiami. Pochyliłam się i zapiera mi dech w piersiach. Na wysokości oczu widzę kilka zamalowanych cięć. Odruchowo dotykam ich opuszkami palców.

Słyszę oddech Caleba. Oglądam się i widzę, że na mnie patrzy.

– Kiedyś były pomalowane na czerwono – mówi. – Mama postanowiła je wyszlifować i przemalować, żeby nie było tak widać... wiesz czego, ale... dalej tam są.

Nagle ta chwila sprzed lat staje się dosłownie namacalna. Teraz wiem już, że wypadł z tej kuchni, wbiegł po tych schodach. Jego siostra płakała za tymi drzwiami, a Caleb stał w tym samym miejscu co teraz ja i wbijał nóż w drzwi. Caleb – ten chłopak tak wrażliwy jak żaden inny – pobiegł za Abby z nożem. A jego najlepszy przyjaciel to widział. Nie potrafię połączyć tej jego wersji z tym człowiekiem, który teraz na mnie patrzy. Stoi w progu swojego pokoju i spogląda na mnie z niepokojem i wstydem. Chcę mu powiedzieć, że wcale nie panikuję. Chcę wziąć go za rękę i pocieszyć. Ale nie potrafię.

– Kolacja gotowa! – woła jego mama z dołu.

Wciąż patrzymy sobie w oczy. Drzwi do jego pokoju są otwarte, ale nie wejść tam. Nie teraz. Teraz musimy wrócić do normalności, albo w każdym razie zbliżyć się do niej na tyle, na ile potrafimy – dla dobra jego mamy i Abby. Caleb mija mnie, jego palce muskają moją dłoń, ale nie bierze mnie za rękę. Oglądam się raz jeszcze na drzwi do pokoju jego siostry, a potem schodzę za nim po schodach.

Na ścianach w kuchni wiszą kolorowe talerze. Mały stolik na środku zastawiony jest na cztery osoby. Nasza kuchnia w domu jest większa, ale ta wydaje się bardziej przytulna.

– Zwykle stół nie stoi tak na środku – tłumaczy się jego mama, podchodząc do swojego krzesła. – Ale też zwykle jesteśmy tu sami.

– Wasza kuchnia i tak jest o wiele większa niż nasza w przyczepie. – Rozciągam ręce. – Gdybym zrobiła coś takiego u nas, jedną ręką byłabym już w łazience, a drugą w mikrofalówce.

Mama Caleba śmieje się i podchodzi do piekarnika. Gdy otwiera drzwiczki, ze środka bucha smakowity zapach stopionego sera, sosu pomidorowego i czosnku.

Caleb podsuwa mi krzesło, a ja siadam i mu dziękuję. Siada przy mnie, ale

potem zrywa się i podsuwa też krzesło siostrze. Abby parska śmiechem i trzepie go po ręce. Widzę, że jest przy nim zupełnie swobodna. Ona naprawdę mu wszystko wybaczyła.

Ich mama stawia na środku stołu lazanie. Siada i rozkłada sobie serwetkę na kolanach.

– Mamy tu styl rodzinny, Sierró. Po prostu sama sobie nałóż.

Ale w tej samej chwili Caleb sięga po szpatułkę.

– Już nakładam! – Pakuje mi na talerz olbrzymi, ociekający serem kawał, a potem nakłada też po porcji dla Abby i mamy.

– Zapomniałeś o sobie – zwracam mu uwagę.

Caleb patrzy na swój pusty talerz. Kroi jeszcze trochę lazanii i nakłada sobie porcję. Abby zasłania sobie usta dłonią, żeby ukryć uśmiech, i uważnie obserwuje brata.

– Czyli w tym roku zaczęłaś liceum? – zagajam. – Jak ci się podoba?

– Abby świetnie sobie radzi – zapewnia mnie Caleb. – Prawda, Abby?

Przechyliam lekko głowę i patrzę na niego. Może czuje, że po tamtej chwili na górze musi mi teraz udowodnić, że wszystko jest wspaniale.

Abby kręci głową.

– Tak jest, mój kochany braciszku, fantastycznie sobie radzę. Jestem szczęśliwa. To wspaniała szkoła.

Odwracam się w jej stronę z uśmiechem.

– Czy Caleb nie jest aby trochę nadopiekuńczy?

Abby przewraca oczami.

– Caleb to normalnie policja szczęścia. Nic tylko dzwoni sprawdzać, czy wszystko u mnie dobrze.

– Abby – prosi ich mama. – Możemy zjeść w spokoju?

– Właśnie próbuję – odcina się Abby.

Ich mama patrzy na mnie, ale jej uśmiech wydaje się niepewny.

– Naprawdę nie musimy poruszać przy gościach pewnych tematów – zwraca się do córki.

Caleb kładzie dłoń na mojej.

– Mamo, Abby tylko odpowiadała na pytanie Sierry.

Ściskam jego dłoń i patrzę na Abby. Spuściła wzrok.

Dobłą minutę jemy w milczeniu, ale potem mama zaczyna pytać, jak wygląda życie na plantacji choinek. Abby jest pod wrażeniem tego, ile mamy ziemi, i moich opisów. Mam ochotę zaprosić ją, żeby do mnie przyjechała,

ale nie jestem pewna, czy to by nie prowadziło do kolejnego niezręcznego milczenia. Cała trójka robi zszokowane miny, gdy opowiadam im o helikopterze wujka Bruce'a i o tym, jak zaczepiam choinki na unoszący się hak.

Mama Caleba patrzy to na niego, to na córkę.

– Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, że miałabym wam pozwolić na coś takiego.

Caleb w końcu chyba nie jest już taki spięty. Opowiadamy im o choinkach, które razem dostarczyliśmy, a potem on opowiada też o tych, które sam pozawoził. Za każdym razem, gdy mówi, jego mama spogląda na Abby. Czy gdy patrzy na córkę słuchającą opowieści Caleba, zastanawia się, jak by to było, gdyby wciąż razem dorastali? Kiedy mówię im, że wpadłam na pomysł, by razem z choinkami zawozić ciasteczka, widzę, że mama Caleba ukradkiem puszcza do niego oko, i serce mi szybciej wali. Już skończyliśmy jeść, ale żadne z nas nie wstaje od stołu.

Potem Abby opowiada o tym, jak kupowała z tatą choinkę. Ich mama zaczyna zbierać talerze, a Abby mówi już teraz bezpośrednio do mnie. Patrę jej prosto w oczy, ale kątem oka widzę, że Caleb wpatruje się we własne dłonie, a jego mama wkłada naczynia do zmywarki, trzymając się z dala od stołu, póki Abby nie skończy swojej opowieści. Potem stawia przed nami talerz pełen ciasteczek z dmuchanego ryżu z czerwono-zieloną posypką. Abby pyta, czy ciężko mi tak zostawiać dom i przyjaciół na cały miesiąc. Bierzymy sobie po ciasteczku, a ja zastanawiam się nad jej pytaniem.

– Tęsknię za przyjaciółkami – przyznaję. – Ale z drugiej strony, robimy tak od zawsze. Wydaje mi się, że jeśli się robi coś w jakiś sposób od dziecka, to nawet się nie myśli o tym, że mogłoby być inaczej, rozumiesz?

– Niestety w wypadku Abby dokładnie wiemy, jak by było, gdyby było inaczej – mówi na to Caleb.

Dotykam jego ręki.

– Nie to miałam na myśli.

Caleb odkłada swoje ciasteczko.

– Wiesz, jestem już wykończony. – Patrzy na mnie. Widzę w jego oczach smutek. – Twoi rodzice pewnie się o ciebie martwią.

Jakby mi wylał kubel zimnej wody na głowę.

Wstaje, nie patrzy nikomu w oczy, zasuwa krzesło, więc ja też wstaję. Dziękuję jego mamie i Abby za kolację, ale jego mama ma wzrok wbity

w talerz. Abby patrzy na Caleba i kręci głową, ale nie musi nic mówić. Caleb prowadzi mnie w stronę drzwi. Wychodzimy na zimną noc. W połowie drogi do samochodu łapię go za ramię i zatrzymuję.

– Dobrze się tam bawiłam.

Nawet nie patrzy mi w oczy.

– Wiem, do czego to zmierzało.

Chcę, żeby na mnie spojrział, ale nie potrafi. Stoi tam z zamkniętymi oczami, przeczesuje sobie ręką włosy. Potem podchodzi do samochodu i wsiada. Siadam na miejscu pasażera i zamykam drzwi. Kluczyki już są w stacyjce, ale jeszcze ich nie przekręcił. Wzrok ma utkwiony w kierownicy.

– Przecież u Abby wszystko w porządku – mówię. – Wasza mama bardzo za nią tęskni, to widać, ale z całej trójki to ty najbardziej się tym wszystkim przejmujesz.

Włącza silnik.

– Abby już mi wybaczyła i to bardzo pomaga. Ale ja nie potrafię sobie wybaczyć, że moja mama tak wiele straciła. Bo straciła to przeze mnie. Raczej trudno o tym zapomnieć, kiedy siedzicie tam z Abby i gadacie o domu.

Zmienia bieg i wykręca, a potem milczymy całą drogę z powrotem. Kiedy wjeżdżamy na parking, stoisko jeszcze jest czynne. Widzę, że kilku klientów przegląda choinki, a tata niesie świeżo zapakowane drzewko do namiotu. Gdyby ten wieczór potoczył się tak, jak na to liczyłam, wrócilibyśmy tutaj po zamknięciu. Siedzielibyśmy sobie w spokoju w samochodzie, rozmawiali o tym, jaki piękny mamy wieczór, może nawet byśmy się w końcu pocałowali.

Caleb zatrzymuje samochód w słabo oświetlonym kącie parkingu, a ja wysiadam. Caleb zostaje w środku, nie puszcza nawet kierownicy. Stoję przy moich otwartych drzwiach i spoglądam na niego.

Wciąż nawet na mnie nie patrzy.

– Przepraszam, Sierra. Nie zasłużyłaś sobie na coś takiego. Kiedy przyjeżdżam tutaj, mamy całą tę sprawę z Andrew. I sama widziałaś, jak jest u mnie w domu. Nie mogę pójść do sklepu, żeby nie było z tego jakiegoś dramatu. To się raczej nie zmieni w tym krótkim czasie, który nam został.

Nie wierzę, że to powiedział. Nawet nie miał odwagi na mnie spojrzeć, gdy to mówił.

– A jednak nadal tu jestem – odpowiadam.



– To mnie przerasta. – Dopiero teraz patrzy mi w oczy. – To, że musiałaś to wszystko zobaczyć.

Robi mi się jakoś słabo i dotykam drzwi, żeby złapać równowagę.

– Powiedziałaś, że jestem tego warta. Uwierzyłam ci.

Nic na to nie mówi.

– Najbardziej boli to – ciągnę – że ty też jesteś tego wart. Dopóki nie uświadomisz sobie, że to jest najważniejsze, zawsze będzie cię to przerastało.

Wpatruje się w kierownicę.

– Już dłużej po prostu nie mogę – szepcze.

Czekam z nadzieją, że cofnie te słowa. Przecież nawet nie wie, ile razy go broniłam. Przed Heather. Przed rodzicami. Przed Jeremiahem. Moje przyjaciółki w Oregonie obraziły się na mnie dlatego, że chciałam być z nim. Ale gdyby o tym wiedział, zraniłoby go to tylko jeszcze bardziej.

Odchodzę, nawet nie zamykając za sobą drzwi, nie oglądając się za siebie, i chowam się do przyczepy. Nie włączam światła, tylko rzucam się na łóżko i płacę cicho w poduszkę. Tak bardzo chciałabym z kimś o tym pogadać, ale Heather jest z Devonem. I po raz pierwszy w życiu nie mogę zadzwonić ani do Rachel, ani do Elizabeth.

Rozsuwam zasłonę nad łóżkiem i wyglądam przez okno. Pikap wciąż stoi na parkingu. Drzwi od strony pasażera wciąż są otwarte. Mimo słabego światła widzę, że Caleb ma głowę na kierownicy, ramiona mu drżą.

Tak bardzo chciałabym po prostu wybiec na zewnątrz i wskoczyć do jego samochodu. Ale po raz pierwszy, odkąd go poznałam, nie ufam swojej intuicji. Kiedy w końcu słyszę, że odjeżdża, analizuję w głowie kolejne wydarzenia, które doprowadziły do tej sytuacji.

Potem zbieram się w sobie i wstaję. Wychodzę na zewnątrz i staram się za wszelką cenę skupić na czymkolwiek poza własnymi myślami. Pomagam kilku rodzinom i choć wiem, że moja radość wypada trochę nieszczerze, przynajmniej się staram. W końcu jednak nie mam już nawet siły się starać i wracam do przyczepy.

Wtedy widzę, że nagrały mi się dwie osoby. Pierwsza to Heather.

– Devon podarował mi idealny dzień! – Głos Heather jest tak radosny, że niemal nie mogę go w tej chwili znieść. – A to nawet jeszcze nie święta! Zabrał mnie na kolację na sam szczyt Cardinals Peak, wyobrażasz sobie? On jednak słuchał, jak o tym mówiłam! – Chcę się cieszyć jej szczęściem. Zasłużyła na nie. Ale czuję tylko zazdrość, że tak jej to wszystko łatwo

przyszło. – A tak przy okazji, sprawdziłam, jak tam twoje drzewka – trajkocze Heather. – Pięknie rosną.

Odpowiadam jej esemesem: **Cieszę się, że postanowiłaś zatrzymać sobie Devona ciut dłużej.**

Odpisuje: **Zasłużył sobie co najmniej na Nowy Rok. Ale jeśli chce, żebyśmy dotrwali do niedzieli Super Bowl, to musi przestać mi opowiadać o tych swoich futbolowych fantazjach. Jak tam kolacja?**

Nie odpisuję.

Później odsłuchuję wiadomość, którą nagrał Caleb. Najpierw jest długa cisza, potem mówi:

– Przepraszam. – Jeszcze dłuższa cisza, i to taka naprawdę bolesna. On naprawdę cierpi. – Proszę, wybacz mi. Zawaliłem, i to tak, że w życiu bym się tego po sobie nie spodziewał. Jesteś warta wszystkiego, Sierra. Czy mogę wpaść do ciebie jutro po drodze do kościoła? – Przyciskam telefon mocno do ucha, wsłuchując się w kolejną ciszę. – Zadzwoń rano.

Przyszły tydzień będzie dla nas trudny z tak wielu powodów. Pewnie będzie gorzej z każdym dniem, im bliżej będzie do świąt – i mojego wyjazdu.

Wysyłam mu esemesa: **Nie musisz dzwonić. Po prostu wpadnij.**

Rano słyszę pukanie do przyczepy. Otwieram w chwili, gdy Caleb chce właśnie jeszcze raz zapukać. W drugiej ręce trzyma dla mnie kawę na wynos. To słodki gest, szczególnie jeśli wykonuje go chłopak z tak smutnymi oczami i nieuczesanymi włosami.

Zamiast się przywitać, od razu mówi:

– Zachowałem się okropnie.

Schodzę po schodkach i biorę od niego kawę.

– Nie jakoś bardzo – pocieszam go. – Może trochę niegrzecznie wobec Abby i waszej mamy...

– Wiem – mówi. – Kiedy wróciłem do domu, długo gadaliśmy z Abby. Miałaś rację. Ona jest o wiele bardziej pogodzona ze wszystkim niż ja. Rozmawialiśmy o mamie i o tym, jak moglibyśmy jakoś pomyśleć nad rozwiązaniem, które byłoby lepsze dla niej.

Próbuję miętowej mokki.

Caleb robi krok w moją stronę.

– Po rozmowie z Abby całą noc nad tym myślałem. Mój problem nie polega już teraz na tym, żeby ułożyć sobie sprawy z Abby, ani nawet z mamą.

– Teraz chodzi już tylko o ciebie – dokańczam.

– Nie mogłem w ogóle zasnąć – przyznaje.

– To widać po twojej fryzurze – zauważam.

– Ale przynajmniej zmieniłem koszulę.

Lustruję go od stóp do głów. Dzinsy ma pogniecione, ale kasztanowa koszula z długimi rękawami jest w porządku.

– Nie mogę zerwać się z pracy na cały poranek – mówię. – Ale może mogłabym cię odprowadzić do kościoła?

Kościół nie jest daleko. Większość drogi mamy lekko pod górkę. Z każdym zakrętem robi mi się lżej na sercu. Trzymamy się cały czas za ręce i gadamy. Od czasu do czasu Caleb głaszcze kciukiem mój kciuk, a ja odpowiadam tym samym.

– Kiedy byłam mała, byliśmy parę razy w kościele – przypominam sobie.  
– Zwykle z dziadkami. Ale kiedy moja mama była mała, zawsze chodziła do kościoła.

– Staram się chodzić co tydzień – mówi Caleb. – Mama też powoli wraca do kościoła.

– Czyli czasami idziesz sam? Czy nie uraziłam cię, kiedy powiedziałam, że ja nie chodzę?

Parska śmiechem.

– Już prędzej byś mnie uraziła, gdybyś powiedziała, że chodzisz co niedzielę, bo twoim zdaniem to dobrze wygląda.

Nigdy jakoś nie rozmawiamy z przyjaciółmi o kościele. Wręcz wydaje mi się, że taka rozmowa może być niezręczna – szczególnie z kimś, na kim tak bardzo mi zależy – ale wcale tak nie jest.

– Czyli jesteś wierzący – stwierdzam. – Zawsze byłeś?

– Chyba tak. Ale zawsze miałem też dużo pytań, do czego niektórzy boją się przyznać. Wiesz, przynajmniej mam o czym myśleć po nocach. Jeśli akurat nie myślę o tej dziewczynie, o której nie mogę przestać myśleć.

Uśmiecham się do niego.

Skręcamy w boczną uliczkę i widzę już biały kościółek z iglicą. Mam wrażenie, że Caleb właśnie pozwolił mi zobaczyć coś bardzo osobistego. Ten chłopak, którego poznałam kilka tygodni temu, przychodzi tu co niedzielę, a teraz ja idę z nim w tę stronę, trzymając go za rękę.

Zatrzymujemy się, żeby przepuścić jakiś samochód, który wjeżdża na dość już zapchany parking. Mężczyźni w pomarańczowych kamizelkach pomagają znaleźć każdemu kolejnemu kierowcy wolne miejsce. Idziemy z Calebem w stronę szklanych drzwi. Nad nimi wisi duży drewniany krzyż. Przed wejściem stoi kilka osób – kobiet i mężczyzn, starych i młodych – witają wchodzących. Obok widzę jego mamę i Abby, pewnie już na niego czekają.

– Sierra! – Abby podbiega do nas od razu. – Tak się cieszę, że cię widzę. Już się bałam, że ten mój durny brat wystraszył cię na dobre.

Caleb posyła jej sarkastyczny uśmiech.

– Przyniósł mi dziś miętową mokkę – mówię. – Sama rozumiesz, że nie mogłam odmówić.

Jeden z witających sprawdza coś na komórce i po chwili wszyscy wchodzi do środka, zamykając za sobą szklane drzwi.

– Chyba czas już na nas – stwierdza mama Caleba.

– Sierra musi niestety wracać do pracy – wyjaśnia Caleb.

– Bardzo chciałabym zostać – mówię. – Ale w niedzielę jest straszny ruch, szczególnie tydzień przed świętami.

Mama Caleba nagle macha mu palcem tuż przed nosem.

– O mały włos bym zapomniała! Czy mógłbyś mi dziś zniknąć na całe popołudnie?

Caleb patrzy zdezorientowany na mnie, to znów na mamę.

– Przyjedzie kurier i masz tego nie widzieć. W tym roku nie zepsujesz mi niespodzianki, nie dopuszczę do tego. – Mama odwraca się w moją stronę. –

Kiedy był mały, musiałam trzymać prezenty w pracy, bo w domu zawsze je jakoś wywęszył.

– To straszne! – oburzam się. – Moi rodzice trzymali mój prezent w swoim pokoju, a ja po prostu bardzo się starałam tam nie wchodzić, żeby przypadkiem go nie zobaczyć. Po co miałabym zepsuć sobie niespodziankę?

Caleb puszcza mimo uszu moje wyznanie.

– Naprawdę myślisz, że nie wywęszę tego, co przyniesie kurier?

– Kochanie... – Mama klepie go po ramieniu. – Właśnie dlatego chciałam to powiedzieć teraz. Mam nadzieję, że Sierra potrafi nauczyć cię cierpliwie czekać na dobre rzeczy.

Hm, rzeczywiście z tym chłopakiem na pewno mam ochotę poczekać na wiele.

– Patrzę na ciebie – ostrzegam go.

– Wymyśl sobie jakieś zajęcie do kolacji – ciągnie jego mama.

Caleb ogląda się na siostrę.

– Czyli mam zniknąć na to popołudnie. To jaki plan, siostrzyczko?

– Możecie to zaplanować teraz albo potem – mówi ich mama – ale ja już wchodzę do środka. Nie chcę siedzieć na balkonie jak ostatnim razem.

Ściska mnie jeszcze na pożegnanie i wchodzi od kościoła.

Abby proponuje Calebowi, żeby dał mi ulotkę o pasterce.

– Musisz pójść z nami, Sierra – dodaje. – Jest tak pięknie. Wszędzie są świece...

Caleb prosi, żebym się nie ruszała z miejsca, i patrzę, jak pędzi w stronę szklanych drzwi.

Abby spogląda mi prosto w oczy.

– Mój brat cię lubi – mówi szybko. – Wiesz, on cię tak *naprawdę* lubi.

Robi mi się gorąco.

– Wiem, że już niedługo wyjeżdżasz – ciągnie – więc pomyślałam, że lepiej ci to powiem, na wypadek gdyby w sprawach uczuć zachowywał się jak typowy facet.

Nie wiem, co na to powiedzieć, a Abby śmieje się z mojego milczenia.

Wraca Caleb z czerwoną ulotką w dłoni. Podaje mi ją, ale ja z trudem odrywam wzrok od jego oczu. Na ulotce widzę rysunek zapalonej, otoczonej wieńcem świecy, pod tym informację o nabożeństwie.

– Musimy już wchodzić – zarządza Abby. Bierze Caleba pod ramię i znikają.

Tak, mówię w duchu. Ja też lubię twojego brata. Wiesz, tak *naprawdę* go lubię.

Rano w poniedziałek dzwonię do Elizabeth spytać ją, jak poszło Rachel na przedstawieniu.

– Świetnie – zapewnia mnie przyjaciółka. – Ale to ją powinnaś o to spytać.

– Próbowałam! – odpowiadam. – Dzwoniłam. Pisałam. Zupełnie mnie ignorujecie.

– Sierra, olałaś ją z powodu jakiegoś faceta! Rozumiemy przecież, że ten chłopak ci się podoba. Fajnie. Ale ty zaraz stamtąd wyjeżdżasz – argumentuje. – Tak, Rachel jest na ciebie zła. Ale przede wszystkim nie chce, żeby to się skończyło u ciebie złamanym sercem.

Przymykam oczy. Nawet kiedy są na mnie wściekłe, i tak myślą o tym, co dla mnie najlepsze. Z jękiem padam na moje małe łóżko.

– Jest źle. Naprawdę. Ten związek nie ma szans. Nawet się jeszcze nie całowaliśmy!

– Sierra! Zaraz święta. Załatw sobie jakąś jemiołę, pocałuj go i tyle!

– Mogę cię prosić o przysługę? – pytam. – Skoczyłabyś do mojego domu? Na komodzie leży ten kawałek mojej pierwszej choinki. Mogłabyś mi go wysłać?

Elizabeth wzdycha.

– Bardzo bym chciała mu go pokazać – tłumaczę. – Ceni sobie tradycję, myślę, że ogromnie się ucieszy, jeśli mu to pokażę, zanim...

Urywam. Jeśli to powiem na głos, potem już cały dzień nie będę potrafiła myśleć o niczym innym.

– Zanim wyjedziesz – kończy za mnie Elizabeth. – Ale ty i tak wyjedziesz, Sierra.

– Wiem. Spoko, możesz mi powiedzieć, że jestem głupia.

Milczy przez dłuższą chwilę.

– To twoje serce. I nikomu nic do tego.

Czasami zdaje mi się, że nawet ja nie mam na nie żadnego wpływu.

– Ale wiesz, może lepiej go pocałuj, zanim podejmiesz jakiegokolwiek

poważniejsze decyzje – radzi. – Jeśli okropnie całuje, pomyśl, będzie ci dużo łatwiej o nim zapomnieć.

Parskam śmiechem.

– Tak bardzo za wami tęsknię.

– My za tobą też, Sierra. Obie. Postaram się jakoś załagodzić sprawy z Rachel. Ona tylko się po prostu przejęła tym przedstawieniem.

Znów opadam na łóżko.

– Wiem, jestem zdrajczynią.

– E, bez przesady – pociesza mnie Elizabeth. – Wszystko w porządku. To my jesteśmy trochę zaborcze i tyle.



Jeszcze przed pracą siadam do laptopa i nagrywam wideo z długą opowieścią o tym, co się działo, odkąd tu przyjechałam: od sadzenia drzewek na Cardinals Peak po odprowadzenie Caleba do kościoła. I wszystko to po francusku. Wysyłam wideo do Monsieur Cappeau, żeby jakoś nadrobić wszystkie te rozmowy przez telefon, na które nie miałam czasu.

Biorę sobie jabłko i idę do namiotu pomóc mamie. Większość szkół zaczęła już przerwę świąteczną, a wszyscy ci, którzy odkładali zakup choinki na ostatnią chwilę, przylecą dziś do nas – powinniśmy mieć naprawdę sporo pracy. W minionych latach w tym ostatnim tygodniu pracowałam po dziesięć godzin dziennie, ale mama mówi, że teraz zatrudnili kilka dodatkowych osób, żebym miała więcej czasu dla siebie.

Pracujemy ramię w ramię. Kiedy nie pomagamy klientom, uzupełniamy towary na półkach. Tata wstawia do namiotu kolejne dwa drzewka ozdobione sztucznym śniegiem. Gdy robi się pusto, spotykamy się całą trójką przy napojach. Przygotowuję sobie moją tanią miętową mokrą i opowiadam rodzicom, że zamierzam upiec więcej ciasteczek, żeby zawieźć je rodzinom razem z choinkami Caleba.

– Świetnie, kochanie – mówi tata, ale nawet na mnie nie patrzy i wychodzi z namiotu, dodając: – Muszę sprawdzić, jak chłopaki sobie tam radzą.

Patrzymy za nim z mamą.

– W sumie lepsze to, niż jakby mi zabronił się z nim spotykać. – Wzdycham.

Tata najwyraźniej postanowił po prostu przeczekać mój związek z Calebem. Choć przynajmniej tyle z tego dobrego, że po tym, jak zobaczył



tamtą scenę z Andrew, kazał mu mnie przeprosić. Andrew wolał zrezygnować z pracy.

Mama stuka kubkiem w mój.

– Może Caleb zaoszczędzi resztę napiwków i kupi ci jakiś prezent na święta.

Kiedy pije kawę, mówię:

– Wiesz, zastanawiam się, czy nie dać mu w prezencie tego kawałka mojej pierwszej choinki.

Jej milczenie jest nie do wytrzymania, więc unoszę mój wielkanocny kubek do ust i czekam. Na dworze widzę Luisa. Niesie jakąś choinkę w kierunku parkingu. Biorę łyk kawy. Ciekawe, co on tu robi, skoro przecież ma już choinkę.

Kiedy znów patrzę na mamę, mówi:

– To idealny prezent dla kogoś takiego jak Caleb.

Odstawiam kubek i przytulam się do niej, a ona rozpaczliwie próbuje nie oblać nas swoją kawą.

– Dziękuję, że się na niego nie jeżysz, mamó.

– Ufam twojej ocenie sytuacji. – Odstawia kubek, ujmuje moje ramiona i patrzy mi w oczy. – Twój ojciec też ci ufa. Myślę, że po prostu uznał, że najlepiej cicho siedzieć i w ten sposób doczekać do wyjazdu.

Ponad jej ramieniem widzę, że Luis wraca z parkingu. Ma na rękach robocze rękawice. Pokazuję go mamie.

– Przecież to Luis – mówię. – Znam go.

– To właśnie jeden z tych nowych pracowników. Tata jest z niego bardzo zadowolony.



Gdy znów mam chwilę między klientami, dolewam sobie do mojej mokki zwykłej kawy.

– Zrobisz też jedną dla mnie, skoro już tu jesteś? – słyszę głos za plecami.

– To zależy. – Odwracam się do Caleba. – A co ty zamierzasz zrobić dla mnie?

Sięga do kieszeni bluzy i wyciąga z niej zieloną, robioną na drutach czapkę w kształcie choinki z ozdobami z filcu i puchatą żółtą gwiazdą. Wciska ją sobie na głowę.

– To miało być na potem, ale skoro nie ma innego sposobu, żeby dostać tu

mokkę...

– Co?! – Wybucham śmiechem.

– Nabyłem ją dziś rano na ciuchach – wyjaśnia. – Więc *chapeau bas*!

Szczęka mi opada.

– Nawet ja nie wiem, co to znaczy.

Jego dołeczek jest uroczy, gdy się tak szeroko uśmiecha.

– *Chapeau bas*? No wiesz! Najwyższy czas, żebyś zainstalowała sobie jakąś apkę poszerzającą twoje słownictwo. Ja już taką mam. Codziennie podsuwa mi nowe słowo i muszę przyznać sobie punkt za każdym razem, gdy go użyję.

– Ale czy w ogóle użyłeś go poprawnie? – dopytuję.

– Tak mi się zdaje – mówi. – To coś po francusku. Coś z czapką czy kapeluszem, więc pasuje.

Kręcę głową. Mam ochotę wybuchnąć śmiechem i zerwać mu z czupryny tę szkaradną czapę.

– No, no, proszę pana, za *chapeau bas* dostanie pan aż dwa lizaki do kawy.



Caleb oferuje swoją pomoc przy pieczeniu ciasteczek i mówi, że możemy piec u niego, a mama życzy nam dobrej zabawy. A ściślej – mówi, żebyśmy się dobrze bawili, ale żebym nie pytała taty, czy mogę iść, co uznaję za dobrą matczyną radę.

– Abby chciałaby piec z nami – mówi Caleb już w samochodzie. – Może zaprosisz też Heather?

– Nie uwierzysz, ale Heather organizuje prezent dla Devona! Nie chcę nic mówić, ale to chyba będzie świąteczny sweter.

Caleb otwiera usta, udając przerażenie.

– Nie?!

– Tak! – zapewniam go. – Ale chce mu też dać coś naprawdę fajnego, tylko że znając Heather, najpierw da mu sweter, żeby zobaczyć, jak biedak zareaguje.

Kupujemy składniki, a potem Caleb otwiera przede mną drzwi do domu i pakujemy się do środka z pełnymi torbami. Abby siedzi na kanapie i stuka szybko w komórkę.

– Już do was idę! – woła, nie podnosząc wzroku znad telefonu. – Muszę

tylko zameldować się moim kumpelom, żeby nie myślały, że zaginęłam w akcji. Caleb, zdejmij tę idiotyczną czapkę.

Caleb kładzie czapkę na kuchennym stole. Widzę, że już wcześniej przygotował blachy, miarki, kubeczki i ceramiczną misę do mieszania.

– Będiesz mi wysyłać takie esemesy z Oregonu? – pyta. – Wiesz, żebym się nie martwił, że zaginęłaś w akcji...

Mój śmiech wypada jakoś słabo i nie bez powodu. Już za niecały tydzień będę musiała go tu zostawić.

Wyciągam wszystko z toreb, ustawiam na blacie.

Dzwoni dzwonek i Caleb krzyczy do Abby:

– Czekasz na kogoś?

Abby nie odpowiada, pewnie zbyt skupiona na esemesach. Caleb przewraca oczami i idzie otworzyć drzwi. Słyszę, jak się uchylają. Potem cisza.

W końcu głos Caleba:

– Hej, a co ty tu robisz?

I wtedy słyszę aż w kuchni ten drugi głos, znajomy, niski:

– Tak się wita najlepszego niegdyś kumpla?

Mało nie upuszczam całej paczki jajek. Pojęcia nie mam, skąd się tu wziął Jeremiah, ale z radości mam ochotę zrobić triumfalne kółeczko wokół stołu.

Wchodzą razem do kuchni, a ja staram się zachować spokojny wyraz twarzy.

– Cześć, Jeremiah.

– Cześć, dziewczyno od choinek – odpowiada.

– Wiesz, robię w życiu też inne rzeczy.

– Wierz mi, że wiem – mówi. – Gdyby nie twój upór, pewnie w ogóle by mnie tu nie było.

Caleb uśmiecha się i patrzy to na niego, to na mnie. Jakoś nigdy nie opowiedziałam mu o tym, jak Cassandra i Jeremiah przyszli do nas kupić choinkę.

– A więc... sytuacja nie jest może jeszcze idealna – opowiada Jeremiah. – Ale w każdym razie postawiłem się mamie i Cassandrze i... oto jestem.

Caleb patrzy na mnie. Widzę w jego oczach wiele pytań, ale też niewypowiedzianą wdzięczność. Trze czoło ręką, patrzy w kuchenne okno.

Zaczynam pakować rzeczy z powrotem do toreb. Lepiej, żebym w ogóle stąd zniknęła.

– To wy sobie pogadajcie, a ja się z tym przeniosę do Heather.

Caleb wciąż patrzy w okno, ale zaczyna mnie przekonywać, że nie muszę przecież wychodzić.

– Pogadaj z kumplem – przerywam mu, nie próbując nawet ukryć uśmiechu. – Macie sporo do nadrobienia.

Kiedy odwracam się z pełnymi torbami, widzę, że Caleb patrzy na mnie z miłością.

– Widzimy się potem? – rzucam.

– O siódmej? – proponuje. – Chciałem ci coś pokazać.

Uśmiecham się.

– Już się nie mogę doczekać.

Jestem przy drzwiach, gdy słyszę, jak Jeremiaś mówi:

– Stęskniłem się za tobą, stary.

Serce mi rośnie z radości. Biorę głęboki wdech i otwieram drzwi.



Dostarczamy ostatnie drzewko i ostatnią puszkę ciasteczek, a potem jeździmy jeszcze chwilę po okolicy i Caleb opowiada mi o spotkaniu z Jeremiahem.

– Trudno powiedzieć, kiedy znów się zobaczymy – mówi. – On ma teraz swoich znajomych, ja swoich. Ale jakoś się spotkamy. I to jest wspaniałe. Byłem pewien, że nigdy już nie będzie na to szans.

– To rzeczywiście wspaniałe – przyznaję.

Zatrzymujemy się przed jego domem.

– To dzięki tobie – szepcze, patrząc na mnie. – To ty jesteś wspaniała.

Chcę zatrzymać czas. Tak cudownie jest siedzieć razem w samochodzie i czuć tyle wdzięczności do siebie nawzajem. Ale Caleb otwiera drzwi i wpuszcza do środka zimne powietrze.

– Chodź – mówi i wysiada.

Otrzepuję rękę, żeby tak się nie trzęsła z nerwów, wysiadam i rozcieram sobie dłonie, żeby je rozgrzać. Potem Caleb bierze mnie za rękę i idziemy na spacer.

Mijamy cztery sąsiednie domy i skręcamy w jakiś zaułek. Jest tu tylko jedna latarnia, a na ulicy tylko chropowaty asfalt i betonowy rów.

– Nazywamy tę uliczkę Aleją Garażową – mówi Caleb.

Im głębiej wchodzimy, tym robi się ciemniej. Po obu stronach stoją garaże. Za nimi widzę wysokie drewniane płoty, które zasłaniają światła

z domów. Potykam się w mroku, ale Caleb łapie mnie za ramię.

– Trochę tu strasznie – przyznaję.

– Mam nadzieję, że jesteś gotowa na megarozczarowanie – ostrzega mnie Caleb. W mroku widzę, że stara się zrobić poważną minę, ale nie udaje mu się powstrzymać uśmiechu.

Stajemy za jego domem, a Caleb odwraca mnie w stronę ich garażu. Wielkie metalowe drzwi kryją się w cieniu, jaki rzuca daszek. Bierze mnie za rękę i ciągnie w tę stronę. Zaskakuje czujnik ruchu i włącza się światło.

– Mama już ci mówiła, że jestem okropny, jeśli chodzi o niespodzianki – szepcze Caleb.

Uderzam go w ramię.

– Nawet nie mów, że...

– Nie zrobiłem tego celowo! – zarzeka się ze śmiechem. – Tym razem naprawdę nie. Po prostu poszedłem do garażu po ekspandery na bagażnik i bach! Wpadłem na mój prezent.

– Zepsułeś mamie niespodziankę?!

– To jej wina! Stał na samym środku garażu! Ale myślę, że dobrze się stało, bo teraz ty też na tym skorzystasz. Nie powiesz jej, co?

Nie mogę w to uwierzyć. Caleb zachowuje się jak dziecko – ale jest taki słodki, że nawet nie potrafię się na niego zezłościć.

– Dobra, pokaż, co to – mówię.

Wciąż pali się lampka włączona przez czujnik ruchu. Caleb podchodzi do klawiatury obok drzwi garażowych. Podnosi plastikową klapkę, która zasłania przyciski.

– Kiedy byliśmy mali – zaczyna opowiadać, a jego palec zamiera nad pierwszą cyfrą – co roku prosiłem Mikołaja o to samo. Kilka dzieciaków już to miało i tak strasznie im zazdrościłem, ale nigdy tego nie dostałem. Po jakimś czasie przestałem nawet prosić, a potem wszyscy uznali pewnie, że dawno już z tego wyrosłem. Ale słowo daję, że nie wyrosłem.

Jego uśmiech jest zaraźliwy.

– No pokaż to w końcu! – domagam się.

Jego palce tańczą po klawiaturze, wbijając cztery cyfry. Zamyka klapkę. Odsuwa się, a drzwi podnoszą się powoli. Jestem prawie pewna, że nie prosił jako dziecko o kabriolet, choć to by było niezłe. Kiedy drzwi są już w połowie otwarte, pochylam się, żeby zajrzeć do środka. Dołem sączy się dość światła, bym mogła zobaczyć... trampolinę? Zanoszę się takim śmiechem, że aż padam na kolana.

– Co w tym takiego śmiesznego? – oburza się Caleb. – Uwielbiam skakać!

Patrzę na niego, ale on przecież wie, dlaczego dostałam głupawki.

– Czy ty właśnie powiedziałaś: „Uwielbiam skakać?”. Ile ty masz lat?

– Tyle, żeby już się nie przejmować, co ludzie powiedzą – odpowiada. Drzwi są teraz zupełnie otwarte, więc wchodzi do środka. – Chodź.

Patrzę na niski drewniany sufit.

– Tu na pewno nie możemy skakać – stwierdzam.

– Jasne, że nie. Ile ty masz lat? – Chwyta trampolinę z jednej strony. – Pomożesz?

Udaje nam się ją powoli wytargać na podjazd przed garażem.

– Nie boisz się, że mama usłyszy? – pytam.

Ta jego radosna mina sprawia, że i tak warto zaryzykować, ale trochę mi jednak głupio. Przecież miałam go niby nauczyć, że warto czekać na dobre rzeczy.

– Ma dziś w pracy wigilię – wyjaśnia Caleb. – Wróci późno.

– A Abby?

– Poszła z koleżanką do kina. – Zrzuca buty i wskakuje na trampolinę. Nim mam czas zdjąć jeden but, on już podskakuje na trampolinie niczym pokraczna gazela. – No, streszczaj się – ponagla mnie.

Zdejmuję drugi but, podciągam się i przerzucam nogę na trampolinę. Po kilku minutach łapiemy rytm i skaczemy w kółko, zanosząc się śmiechem. Jedno skacze w górę, a drugie opada. Caleb leci coraz wyżej i coraz mocniej mnie wybija, a po chwili nabieramy już takiego rozpędu, że Caleb próbuje nawet zrobić salto do tyłu.

Cudownie widzieć go tak swobodnego, skaczącego z taką lekkością. Nie mówię, że zawsze jest superpoważny, a jednak teraz jest jakoś inaczej – jakby nadrabiał coś, co stracił.

Mimo jego próśb i błagań nie daję się namówić na salto. W końcu mamy dość i robimy sobie przerwę. Wykończeni leżymy na trampolinie na plecach. Nad nami piękne gwiazdziste niebo. Sapiemy ciężko; w końcu nasze oddechy powoli, powoli się uspokajają. Po jakiejś minucie bez ruchu gaśnie światło przed garażem.

– Spójrz na te gwiazdy – mówi Caleb.

Na podjeździe jest zupełnie ciemno, wokół panuje nocna cisza. Słyszę tylko nasze oddechy, kilka świerszczy w bluszczu i jakiegoś ptaka gdzieś u sąsiadów. Potem po stronie Caleba trzeszczy metalowa sprężyna.

Boję się ruszyć, żeby nie włączyć światła.

– Co robisz? – pytam.

– Przesuwam się bardzo, bardzo ostrożnie – mówi. – Chciałbym trzymać cię za rękę w tych ciemnościach.

Przesuwam powoli głowę, żeby spojrzeć w dół na moją rękę. Nasze sylwetki są bardzo ciemne na tle jeszcze ciemniejszej trampoliny. Jego palce są coraz bliżej moich. Próbuję uspokoić oddech i czekam na jego dotyk.

Strzela między nami niebieska iskra. Odskakuję na bok.

– Au!

Włącza się światło, a Caleb zanosi się histerycznym śmiechem.

– Tak okropnie cię przepraszam!

– No! – gramię. – To w ogóle nie było romantyczne!

– Ale możesz spróbować puścić tę iskry z powrotem – proponuje Caleb. – To już będzie romantycznie, prawda?

Wciąż leżąc na plecach, trę stopami o trampolinę, a potem dotykam jego ucha. *Bzz!*

– Au! – Caleb łapie się ze śmiechem za ucho. – To bolało!

Zrywa się na równe nogi i zaczyna trzeć skarpetkami po powierzchni trampoliny. Wstaję i robię to samo.

– A więc wojna? – pytam. – Wcale się nie boję!

– Żebyś wiedziała! Wojna! – Wymachuje mi palcem przed nosem, żeby mnie zaatakować, ale ja odskakuję i udaje mi się strzelić go iskrą w ramię.

– Dwa razy! Dorwałam cię już dwa razy!

– Dobra, to już teraz nie będę Panem Miłym.

Odskakuję na drugi koniec trampoliny, ale on pędzi za mną z wyciągniętymi rękoma. Obserwuję jego stopy, a potem wybijam się w górę dokładnie wtedy, kiedy on robi krok, przez co traci równowagę. Leci do przodu, a mnie udaje się strzelić go iskrą w kark.

Wymachuję rękoma triumfalnie.

– Nie złapiesz mnie! – wołam.

Patrzy na mnie z dołu i uśmiecha się podstępnie. Rozglądam się wokół, ale na trampolinie nie ma gdzie się schować. Podskakuje tak, że ląduje na kolanach, potem na nogach i rzuca się na mnie. Odbijamy się w górę, a on obraca się tak, że spadam prosto na niego. Przez chwilę nie mogę oddychać. Ręce ma na moich plecach i trzyma mocno. Unoszę głowę, żeby spojrzeć mu w oczy, zdmuchuję włosy z twarzy i wybucham śmiechem. Powoli jednak przestajemy się śmiać, nasze klatki piersiowe i brzuchy unoszą się zgodnie w ciężkich oddechach.

Dotyka mojego policzka dłonią i przyciąga do siebie. Jego usta są tak miękkie, słodkie i miętowe. Pochylam się jeszcze bardziej i zatracam zupełnie w tym pocałunku. Osuwam się na matę, a on przewraca na mnie. Otulam go ramionami i całujemy się jeszcze mocniej. W końcu odrywamy się od siebie, żeby złapać oddech i spojrzeć sobie w oczy.

Tyle zmartwień czai się gdzieś w mojej głowie, każde gotowe w każdej chwili wypłynąć na powierzchnię. Ale teraz zamykam tylko oczy i pochylam się do przodu. Chcę w nas uwierzyć.



Droga powrotna upływa nam w ciszy. Wpatruję się jak zahipnotyzowana w breloczek z naszym zdjęciem z Mikołajem. Żeby tak ten tydzień nigdy się



nie skończył.

Caleb wjeżdża na nasz parking, zatrzymuje samochód i bierze mnie za rękę. Oglądam się na przyczepę. Okno rodziców jest już zasłonięte.

– Dziękuję, Sierra. – Mocniej ściska moją dłoń.

– Za co?

Uśmiecha się.

– Za to, że poskakałaś ze mną na trampolinie.

– A! Cała przyjemność po mojej stronie – mówię.

– I za te kilka tygodni. Dzięki tobie były to najwspanialsze dni w całym moim życiu.

Pochyla się, żeby mnie pocałować, i znów zatracam się w tym pocałunku. Przesuwam usta z jego warg aż do ucha i szepczę:

– W moim też.

Przytulamy się do siebie policzkami, nieruchomi wsłuchujemy się w nasze oddechy. Za kilka dni to się skończy. Chcę zatrzymać tę chwilę. Chcę ją zachować w sercu jakoś tak, żeby to wspomnienie nigdy nie przyblakło.

Kiedy w końcu wysiadam, długo jeszcze patrzę za światłami jego samochodu.

Potem podchodzi do mnie tata.

– Sierra, to się musi skończyć. Nie chcę, żebyś się spotykała z tym chłopcem.

Odwracam się natychmiast w jego stronę.

Kręci głową.

– To nie chodzi nawet o tę sprawę z jego siostrą. Nie tylko o nią w każdym razie. Chodzi o wszystko.

Ciepłe, cudowne uczucie pryska i zastępuje je panika.

– Myślałam, że postanowiłeś dać mu szansę.

– Niedługo wyjeżdżamy – mówi. – Przecież dobrze o tym wiesz. I chyba masz świadomość, że za bardzo się przywiązałaś do tego chłopca.

Nie potrafię znaleźć słów, by na niego nawrzeszczyć. Wszystko zaczęło się wreszcie układać, a on chce to tak po prostu zniszczyć? Nie. Nie pozwolę mu na to.

– A co mówi mama? – pytam.

Obraca się lekko w stronę przyczepy.

– Ona też nie chce, żebyś wpakowała się w kłopoty.

Kiedy nic na to nie mówię, odwraca się całkiem w stronę tej naszej małej

przyczepy, w której dotąd zawsze czułam się jak w domu.

Obracam się w stronę choinek. Słyszę, jak za moimi plecami tata wchodzi po metalowych schodkach, zamykają się za nim drzwi. Nie mogę tam wejść. Jeszcze nie teraz. Idę między drzewka, igły drapią po moich rękawach i nogawkach. Siadam w ciemności na zimnej ziemi.

Próbuję wyobrazić sobie, że jestem z powrotem w Oregonie, że te drzewka wciąż rosną, że patrzę w te same gwiazdy.



Po powrocie do przyczepy zupełnie nie mogę zasnąć. Kiedy odsłaniam w końcu okno, słońce jeszcze nie wstało. Leżę na łóżku, patrzę przez szybę. Powoli blakną gwiazdy. Z każdym znikającym na niebie światełkiem czuję się bardziej zagubiona.

Postanawiam poprosić o pomoc Rachel. Nie rozmawiałyśmy, odkąd przegapiłam jej występ, ale Rachel zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny i po prostu muszę jej powiedzieć, co czuję. Wysyłam jej esemesa z przeprosinami. Piszę jej, jak bardzo za nią tęsknię. Piszę, że na pewno polubiłaby Caleba, ale że moi rodzice uważają, że za bardzo się do niego zbliżyłam.

Wreszcie odpisuje: **Mogę jakoś pomóc?**

Robię długi wydech i przymykam oczy. Czuję taką wdzięczność, że mam Rachel.

**Potrzeba mi jakiegoś bożonarodzeniowego cudu – piszę jej.**

Potem, czekając na jej odpowiedź, patrzę, jak zaczyna wschodzić słońce.

Odpisuje: **Daj mi dwa dni.**



Caleb przychodzi następnego dnia z uśmiechem od ucha do ucha i jakąś paczuszką owiniętą komiksami z gazety i mocno oblepioną taśmą klejącą.

Za jego plecami widzę, że patrzy na nas mama. Nie jest zachwycona, to widać, ale jednak zostaje przy swoich klientach.

– Co to? – pytam, starając się opanować strach, że tata zaraz wróci z przerwy na lunch. – Znaczy, poza sugestią, że powinnam cię natychmiast nauczyć pakować prezenty.

Podaje mi paczkę.

– Jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

Paczka jest dość miękka i gdy ją rozrywam, staje się jasne dlaczego. To ta durna świąteczna czapka, którą kupił sobie kilka dni temu.

– Nie no, to przecież twoja.

– Tak, ale wiesz, widziałem, jak mi jej zazdrościsz – mówi, jednak nie udaje mu się powstrzymać uśmiechu. – Uznałem, że skoro u was zimy są o wiele chłodniejsze...

Założę się, że myśli, że jej nie włożę, więc oczywiście od razu ją wkładam.

Poprawia mi boki, żeby zachodziły na uszy, a potem już zostawia tam rękę i pochyla się, żeby mnie pocałować. Pozwalam mu na to, ale trzymam mocno zaciśnięte usta, a kiedy się nie odsuwa, ja muszę to zrobić.

– Przepraszam. Pewnie nie powinienem tego tu robić.

Za nim ktoś odchrząkuje. Spoglądam w tę stronę.

– Sierró, naprawdę powinnaś wracać do pracy – mówi mama.

Wyraźnie zawstydzony Caleb ogląda się na choinki.

– Czy zaraz zostanę wysłany do czyszczenia toalet?

Ale nikt się nie śmieje.

Caleb patrzy na mnie.

– Co jest grane?

Spuszczam wzrok i wgapiam się w zbliżające się buty mamy.

– Calebie – zaczyna mama. – Sierra mówiła nam o tobie dużo dobrego.

Posyłam jej błagalne spojrzenie. Oby tylko zrobiła to jak najdelikatniej.

– I wiem, co do ciebie czuje – ciągnie mama. Spogląda na mnie, nawet nie próbując się uśmiechnąć. – Ale wyjeżdżamy za tydzień i najprawdopodobniej nie wrócimy tu w przyszłym roku.

Nie odrywam od niej wzroku, widzę jednak, że Caleb patrzy teraz na mnie pytająco. Serce mi się ściska. To ja miałam mu to powiedzieć, *jeśli* będzie to konieczne. A przecież to jeszcze nic pewnego, więc na razie nie jest to konieczne.

– Ojciec Sierry i ja nie pochwalamy rozwoju tego związku, ponieważ żadne z nas nie wie, na czym stoimy. – Patrzy na mnie. – Tata będzie już za minutkę, więc się streszczajcie.

Wychodzi i zostawia mnie sam na sam z Calebem, którego mina wyraża poczucie zdrady i rezygnację.

– Czyli lepiej, żeby twój tata nawet mnie tu nie widział? – pyta.

– Uważa, że sytuacja zaszła za daleko – bąkam. – Nie masz się czym

martwić, on tylko jest taki nadopiekuńczy.

– Nadopiekuńczy, bo tu już nie wróćcie?

– To jeszcze nic pewnego – wyjaśniam, ale nie mam odwagi spojrzeć mu w oczy. – Powinnam ci była powiedzieć.

– Teraz masz okazję. Czego jeszcze mi nie powiedziałaś?

Po moim policzku spływa łza. Nawet nie wiedziałam, że płaczę, ale już wszystko mi jedno.

– Andrew mu nagadał różnych bzdur – szepczę. – Ale już jest w porządku.

– Co niby jest w porządku? – Jego głos jest drętwy.

– Rozmawiałam z nimi i powiedziałam im...

– Co im powiedziałaś? Bo teraz też niby rozmawiamy, ale nic nie jest w porządku.

Patrzę na niego i ocieram łzy z policzków.

– Caleb...

– Nic się nie zmienia, Sierra. W każdym razie nie w tym krótkim czasie, który mamy. To po co w ogóle sobie zawracać głowę?

Sięgam po jego rękę.

– Caleb...

Cofa się, tworzy między nami dystans.

– Proszę, nie – szepczę.

– Powiedziałem, że jesteś tego warta, Sierra, i jesteś. Ale nie wiem, czy reszta jest. Nie wiem, czy ja jestem tego wart.

– Jesteś, Calebie – zapewniam go. – Ty...

Odwraca się na pięcie i wychodzi z namiotu. Idzie prosto do samochodu i odjeżdża.



Następnego dnia tata wraca z poczty i kładzie mi na ładzie grubą kopertę. Nie rozmawiałam z nim od dwudziestu czterech godzin. Nigdy tak jeszcze między nami nie było, ale nie potrafię mu wybaczyć. W rogu koperty widzę czerwone serduszeko, a w nim adres nadawcy: *Elizabeth Campbell*. Obsługuję jeszcze dwóch klientów i wreszcie mogę rozerwać kopertę.

W środku jest mała koperta i lśniące czerwone pudełko wielkości krążka hokejowego. Otwieram pokrywkę, wyciągam watę i widzę malutki kawałeczek mojej pierwszej choinki. Na krawędzi jest jeszcze cieniutka warstwa kory, a w środku choinka, którą namalowałam, gdy miałam

jedenaste lat. Gdybym spojrzała na nią dwa dni temu, pewnie przejmowałabym się przede wszystkim, jak Caleb zareaguje na taki prezent. Teraz jednak nic już nie czuję.

Do lady podchodzi klientka, zamykam więc pudełko. Dopiero kiedy sobie idzie, otwieram list. To Elizabeth wysłała mi mój kawałek choinki, ale krótki list jest od Rachel. „Mam nadzieję że to pomoże w tym cudzie, o który prosiłaś” – pisze.

A poza listem w kopercie widzę dwa bilety na bal zimowy. Na górze szalonym czerwonym pismem napisane jest: „Śnieżna kula miłości”. Po lewej tańcząca para w szklanej kuli i srebrny brokat wokół nich.

Zamykam oczy.

W czasie przerwy na lunch idę do przyczepy i chowam czerwone pudełeczko pod poduszką. Zdejmuję zdjęcie Caleba z okna i wsuwam bilety między nie a kartonik z tyłu.

Zbieram się na odwagę i znajduję tate, żeby poprosić go o jeszcze jedną rozmowę. Już wystarczająco długo się wściekam w milczeniu. Pomagam mu umocować choinkę na dachu samochodu klienta i wychodzimy razem się przejść.

– Chcę, żebyś jeszcze raz przemyślał całą tę sprawę – mówię. – Twierdzisz, że to nie ma nic wspólnego z przeszłością Caleba, i wierzę ci.

– Dobrze, bo...

– Powiedziałeś, że to dlatego, że zostało nam tu już tak mało czasu – przerywam mu. – I że za bardzo mi zaczyna na nim zależeć. I masz rację, zależy mi na nim. Wiem, że to nie jest dla ciebie łatwe z bardzo wielu powodów, ale wiem też, że nic byś nie powiedział, gdybyś nie mógł wykorzystać jako wymówki jego przeszłości.

– Nie wiem, może, ale...

– I choć jestem na to wściekła, bo to niesprawiedliwe względem Caleba, to przede wszystkim chodzi o to, że zapominasz o osobie, która powinna być dla ciebie w tym wszystkim najważniejsza.

– Sierro, ty jesteś dla mnie najważniejsza – zapewnia mnie. – Tak, to trudne, patrzeć, jak moja mała córeczka się zakochuje. I trudno zapomnieć o jego przeszłości. Ale przede wszystkim nie chcę stać i patrzeć, jak dajesz sobie złamać serce, kochanie.

– Czy to jednak nie powinna być moja decyzja? – pytam.

– Tak, gdybyś potrafiła wziąć wszystko pod uwagę. – Zatrzymuje się i patrzy na ulicę. – Nie powiedzieliśmy sobie jeszcze tego z twoją mamą wprost, ale chyba obydwójce mamy świadomość, że raczej tu w przyszłym roku nie wrócimy.

Dotykam jego ramienia.

– Przykro mi, tato.

Wciąż patrząc na ulicę, otacza mnie ramieniem, a ja przyciskam twarz do jego piersi.

– Mnie też – szepcze.

– Czyli najbardziej martwisz się o to, jak przeżyję wyjazd? – upewniam się.

Spogląda na mnie i wiem, że naprawdę chodzi mu tylko o moje dobro.

– Nie masz pojęcia, jakie to jest ciężkie – mówi jeszcze ciszej.

– To mi opowiedz – proszę. – Przecież ty wiesz. Jak się czułeś, kiedy poznałeś mamę i musiałeś potem wyjechać?

– Okropnie – wyznaje. – Kilka razy już myśleliśmy, że nic z tego nie będzie. Nawet zerwaliśmy ze sobą i zaczęliśmy się spotykać z innymi ludźmi. To mnie, cholera, niemal wykończyło.

Teraz muszę zadać to pytanie, do którego rozmowa miała prowadzić:

– I było warto?

Uśmiecha się do mnie, a potem patrzy w stronę naszego stoiska.

– Oczywiście!

– A więc? – triumfuję.

– Sierro, my z mamą mieliśmy już wtedy za sobą inne poważne związki. A ty po raz pierwszy się w ogóle zakochałeś.

– Czy ja mówię, że się zakochałam?!

Parska śmiechem.

– Nie musisz mówić.

Gapimy się teraz razem na przejeżdżające auta. Przytulam się mocniej do taty.

Patrzy na mnie i wzdycha.

– Za kilka dni będziesz miała złamane serce – mówi. – Tak będzie. Ale nie zamierzam pogarszać sprawy i odbierać ci tych kilku dni z Calebem.

Obejmuję go obiema rękoma i mówię mu, że go kocham.

– Wiem – szepcze. – I mam nadzieję, że wiesz, że będziemy z mamą przy tobie i pomożemy ci poskładać jakoś to twoje złamane serce.

Wciąż obejmuje mnie ramieniem, a ja wtulam się w niego mocno i tak ruszamy z powrotem w stronę choinek.

– Weź tylko pod uwagę jedną rzecz – prosi tata. – Pomyśl o tym, jak te święta się dla was skończą. Bo się skończą. Nie ignoruj tego.

Potem wraca do mamy do namiotu, a ja pędzę do przyczepy zadzwonić do Caleba.

– Przyjeżdżaj natychmiast kupić choinkę – mówię. – Wiem przecież, że musisz jeszcze kilka pozawozić.



Jest już zupełnie ciemno, gdy na parking wjeżdża wreszcie samochód Caleba. Targamy z Luisem w jego stronę wielkie, ciężkie drzewko.

– Oby to się tylko zmieściło tym ludziom w domu – zrzędzi Luis.

Caleb wyskakuje z auta, otwiera klapę naczepy.

– Zaczniemy od tego, że to się raczej nie mieści w moim przedziale cenowym – jęczy. – I to nawet po zniżce.

– Owszem, mieści się – mówię. – Bo jest za darmo.

– To prezent od jej rodziców – wyjaśnia Luis. – Właśnie poszli się zdrzemnąć, więc...

– Jestem tu, Luis – przerywam mu. – Sama mu mogę powiedzieć.

Luis strzela buraka, ale zaraz biegnie z powrotem do choinek, bo już kolejny klient czeka na zapakowanie drzewka. Caleb tymczasem patrzy na mnie, niczego nie rozumiejąc.

– Odbyliśmy z tatą poważną rozmowę – tłumaczę.

– I?

– I ufają mi – ciągnę. – A poza tym są zachwyceni twoim pomysłem z choinkami, chcieli więc, żebyś podarował komuś tę od nich.

Caleb spogląda w stronę przyczepy i uśmiecha się niepewnie.

– Dobra, to jak wrócimy, opowiesz im, czy w ogóle się zmieściła tym ludziom w domu.

Zmieściła się na styk. Zostawiamy szalejącego z radości pięciolatka i Caleb zawozi mnie na Cardinals Peak. Parkuje przed metalową bramą i otwiera drzwi kierowcy.

– Zaczekaj tutaj, otworzę bramę – mówi. – Możemy wjechać na samą górę. Chciałbym w końcu zobaczyć twoje choinki, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– W takim razie wyłącz silnik – komenderuję. – Idziemy piechotą.

Wychyla się z samochodu, żeby spojrzeć na szczyt.

– Co? Boisz się małego nocnego spacerku pod górkę? – kpię. – Przecież masz tu gdzieś latarkę, prawda? Tylko mi nie mów, że jeździsz pikapem bez latarki!

– Tak się akurat składa, że owszem, mam.



– Świetnie.

Wjeżdża tyłem na trawę, parkuje i wyciąga latarkę ze schowka.

– Mam tylko jedną – mówi. – Mam nadzieję, że zniesiesz jakoś trzymanie się blisko mnie.

– Skoro nie mamy innego wyjścia...

Wyskakuje z samochodu, przechodzi na moją stronę i otwiera mi drzwi. Zapinamy kurtki, patrząc na wysoką sylwetkę Cardinals Peak.

– Uwielbiam to miejsce – mówię. – Zawsze, gdy się wdrapuję pod tę górę, myślę sobie, że... po prostu czuję, że... te moje drzewka są bardzo osobistą metaforą.

– Ojej. Jeszcze nie słyszałem, jak mówisz takie doniosłe rzeczy.

– Oj, cicho – syczę. – Dawaj tę latarkę.

Podaje mi ją, ale ciągnie wątek:

– Serio. Mogę wykorzystać to sformułowanie w szkole? Mój nauczyciel od angielskiego będzie zachwycony.

Daję mu kuksańca.

– Hej, pamiętaj, że wychowałam się na plantacji choinek. Mam prawo być sentymentalna i wzruszać się na ich widok, nawet jeśli nie potrafię się może wysłowić.

Uwielbiam się tak z nim droczyć. Wtedy czuję, jakby to w ogóle nie było nic takiego. Te poważne rzeczy wciąż nad nami wiszą – przecież nie da się nie patrzeć na kalendarz – ale znaleźliśmy przynajmniej sposób, by na razie cieszyć się swoim towarzystwem.

Dziś jest tu zimniej, niż kiedy przyszyliśmy z Heather w Święto Dziękczynienia. Nie mówimy wiele, gdy się wspinamy, tylko chłoniemy zimne powietrze i ciepło naszych rąk. Przed ostatnim zakrętem prowadzę go w wysokie do kolan krzaki. Bez słowa schodzi za mną z drogi. Półksiężyc rzuca po tej stronie wzgórza mocne cienie. Wreszcie wychodzimy na moją polanę i powoli przesuwam latarkę po drzewkach, oświetlając każde po kolei wąskim pasmem światła.

Caleb staje za mną. Delikatnie otula mnie ramionami i przyciąga do siebie. Kiedy podnoszę na niego wzrok, widzę, że patrzy na drzewka. Puszczam mnie i podchodzi do mojej małej farmy. Patrzy to na nie, to na mnie z taką radością.

– Są piękne – mówi. Pochyla się nad jednym z drzewek i delektuje zapachem. – Idealne świąteczne choinki.

– Są tak idealnie świąteczne, bo Heather wchodzi tu każdego lata i je ładnie przycina – wyjaśniam.

– Czyli same by tak nie wyrosły?

– Nie wszystkie. Tata zawsze wszystkim powtarza, że każdy z nas potrzebuje odrobinę pomocy, by poczuć świąteczny nastrój.

– Twoja rodzina to lubi metafory – stwierdza Caleb.

Znów staje za mną i mnie przytula. Kładzie mi brodę na ramieniu. Przez kilka minut w milczeniu patrzymy na drzewka.

– Są piękne – mówi. – Twoja mała choinkowa rodzinka.

Odchylam się, żeby spojrzeć mu w oczy.

– No i komu się tu teraz zebrało na sentymenty?

– Nie przyszło ci nigdy do głowy, żeby je świątecznie przystroić? – pyta.

– Ubrałyśmy je kiedyś z Heather, w bardzo ekologicznym stylu oczywiście. Pozawieszałyśmy szyszki, jagody i kwiaty, a do tego gwiazdki zrobione z miodu i nasion dla ptaków.

– Przyniosłyście prezenty dla ptaków? Urocze.

Ruszamy z powrotem w krzaki, ale obracam się jeszcze, żeby ostatni raz spojrzeć na moje drzewka – pewnie już ich nie zdążę zobaczyć przed wyjazdem. Trzymam Caleba za rękę i nie wiem, ile jeszcze będę miała okazji to w życiu zrobić. Caleb wskazuje mi nasze stoisko na dole. Stąd wygląda jak mały, lekko oświetlony prostokąt. Latarnie i te światełka w kształcie płatków śniegu, które rozciągnęliśmy między choinkami, sprawiają, że zieleń drzewek nabiera głębszego tonu. Widać stąd namiot i srebrną przyczepę. Widzę ludziki poruszające się między drzewkami, klientów i pracowników. Pewnie są gdzieś wśród nich i moi rodzice. Caleb znów staje za mną i otacza mnie ramionami.

To mój dom, myślę. Tam, na dole... I tutaj.

Zsuwa dłoń po rękę, w której trzymam latarkę, i powoli oświetla wszystkie moje choinki po kolei.

– Naliczyłem pięć – mówi. – Zdawało mi się, że mówiłaś o sześciu.

Serce mi zamiera. Przesuwam światłem latarki po choinkach.

– Jeden, dwa... – Docieram do piątej i zaczynam pędzić w tę stronę, rozpaczliwie oświetlając ziemię przed sobą. – Moja pierwsza! Ta duża!

Caleb idzie do mnie przez krzaki. Nagle potyka się o coś twardego. Świecę mu latarką pod nogi i aż zasłaniam sobie dłonią usta. Klękam na ziemi przy pieńku, bo tyle tylko zostało po moim najstarszym drzewku. Na

nacięciu widać małe paciorki zaschniętego soku.

Caleb klęka przy mnie. Bierze ode mnie latarkę i ujmuje moje dłonie.

– Ktoś się w niej zakochał – mówi. – Pewnie już jest w ich domu, pięknie ubrana. To jakby taki prezent...

– To miał być prezenty, który *ja* komuś podaruję – protestuję. – A nie który ktoś sobie tak po prostu weźmie.

Pomaga mi wstać, a ja kładę mu policzek na ramieniu. Po kilku minutach ruszamy z powrotem w stronę drogi. Idziemy powoli, bez słowa. Caleb ostrożnie prowadzi mnie między dziurami i kamieniami.

Potem nagle przystaje i wpatruje się w coś kilka metrów od drogi. Podążam za jego wzrokiem. Podchodzi bliżej. Latarką oświetla ciemną zieleń mojego drzewka – rzuconego na ziemię, schnącego w krzakach.

– Tak je tu zostawili?! – krzyczę.

– Widać się opierało.

Osuwam się na ziemię i teraz to już nawet nie chce mi się ukrywać łez.

– Nie znoszę tego, kto to zrobił!

Caleb podchodzi do mnie i kładzie mi rękę na plecach. Nic nie mówi. Nie mówi mi, że będzie dobrze. Ani żebym się aż tak nie przejmowała jakimś tam drzewkiem. Po prostu rozumie.

W końcu wstaję. Caleb ociera mi łzy z twarzy i patrzy w oczy. Nadal nic nie mówi, ale wiem, że jest przy mnie.

– Nie potrafię ci nawet wytłumaczyć, dlaczego tak się zachowuję – przyznaję, ale on przymyka powieki, więc i ja zamykam swoje i wiem już, że nie muszę niczego tłumaczyć.

Znów patrzę na moją choinkę. Ktoś, kto ją zobaczył tam na górze, docenił jej piękno. Myślał, że może uczynić ją jeszcze piękniejszą. Chciał, naprawdę próbował, ale to go przerosło.

Więc ją tu zostawił.

– Nie chcę tu być – mówię.

Caleb idzie za mną i świeci mi pod nogi, gdy prowadzę nas jak najdalej stąd.



Kiedy dzwoni Heather spytać, czy może wpaść do mnie na stoisko, opowiadam jej o choince z Cardinals Peak i że mogę nie być dziś najlepszym towarzystwem. Ale Heather dobrze mnie zna, więc od razu przyjeżdża.

Mówi, że byłam w tym roku Duchem Choinek i że smutno jej, że nie spędzałyśmy zbyt wiele czasu razem. Przypominam jej, że zawsze, kiedy miałam wolną chwilę, ona była z Devonem.

– Czyli tyle by było, jeśli chodzi o operację „Rzuć chłopaka”, co? – żartuję.

Heather pomaga mi uzupełnić zapasy w kąciaku z napojami.

– Tak naprawdę chyba wcale jednak nie chciałam go rzucać, tylko chciałam, żeby był lepszym chłopakiem. Na początku było tak niesamowicie, a potem Devon zrobił się taki... Sama nie wiem...

– Pełen samozadowolenia?

Przewraca oczami.

– No. Może i trzeba na to jakiegoś takiego twojego słówka.

Opowiadam jej też o całym tym dramacie z Andrew i tatą, o tym, że musiałam aż dwa razy rozmawiać poważnie z rodzicami, żeby zrozumieli, że nie ma takiej opcji, żebym się już nie spotykała z Calebem przez te kilka ostatnich dni.

– No proszę, moja Sierra postawiła się rodzicom – zachwyca się Heather. Bierze mnie za rękę i ściska. – Wciąż jeszcze mam nadzieję, że wrócisz w przyszłym roku. Ale jeśli nie, i tak się cieszę, że wyszło, jak wyszło.

– Wiem. Ale czy musiało być aż tak ciężko?

– Przynajmniej teraz wszystko nabrało więcej znaczenia – zauważa. – Na przykład my z Devonem. Zaczął przesadzać z tym samozadowoleniem, tak? Każdy dzień wyglądał tak samo i zrobiło się tak okropnie nudno. Już zaczęłam myśleć o zerwaniu, a tu nagle wyszła ta sprawa z Królową Zimy. To spowodowało napięcia między nami, ale też w sumie doprowadziło do mojego wymarzonego dnia. Zapracowaliśmy sobie na to, gdzie teraz jesteśmy. A wy z Calebem na pewno zapracowaliście sobie na te kilka ostatnich dni.

– Moim zdaniem to zapracowaliśmy sobie na kilka dobrych lat. A Caleb to na całe życie.

Godzinę później Heather zostawia mnie, bo musi jeszcze popracować nad swoją niespodzianką dla Devona. Reszta dnia mija mi spokojnie na obsługiwaniu kolejnych klientów. Wieczorem podliczam kasę i odkładam wszystko, co trzeba schować na noc.

Podchodzi mama, a ja wyłączam płatki śniegu.

– Chcielibyśmy z tatą zabrać cię na kolację – mówi.



Jedziemy do Breakfast Express i kiedy wchodzimy do wagonu, Caleb nalewa właśnie kawę mężczyźnie siedzącemu kilka stolików od drzwi.

– Już do państwa podchodzę – mówi, nie podnosząc wzroku.

– Nie ma pośpiechu – odpowiada tata z uśmiechem.

Caleb musi być wykończony. Patrzy prosto na nas, ale i tak poznaje nas dopiero po kilku krokach w tę stronę. Wtedy śmieje się do nas i łapie kilka kart dań.

– Wyglądasz na zmęczonego – mówię.

– Jeden z kelnerów się pochorował, więc musiałem wcześniej przyjść – wyjaśnia. – Ale to przynajmniej oznacza więcej napiwków.

Idziemy za nim do stolika tuż przy kuchni. Siadamy, a on kładzie przed nami serwetki i sztućce.

– Jutro będzie mnie chyba stać aż na dwie choinki – cieszy się Caleb. – Ludzie wciąż kupują choinki, prawda? Mimo że święta za pasem.

– Nasze stoisko nadal jest otwarte – zapewnia go tata. – Ale nie mamy takiego ruchu jak ty tutaj.

Caleb idzie nam przynieść wodę. Patrzę za nim. Mimo przemęczenia jest uroczy. Zerkam na tatę. Kręci głową.

– Musisz się po prostu nauczyć ignorować swojego ojca – radzi mama. – To jedyny sposób, żeby z nim wytrzymać. Wierz mi.

Tata daje mamie całusa w policzek. Po tych dwudziestu latach mama naprawdę wie, jak mu dać znać, żeby przestał się głupio zachowywać, ale robi to w taki sposób, że tata w ogóle się nie złości.

– Mamo, czy kiedykolwiek chciałaś robić w życiu coś innego poza pracą na farmie? – pytam.

Mama posyła mi pytające spojrzenie.

– Nie po to przecież szłam na studia, jeśli o to ci chodzi.

Wraca Caleb z trzema szklankami wody i trzema opakowanymi słomkami.

– Czego państwo sobie życzą? – pyta.

– Bardzo cię przepraszam – mówi mama. – Nawet jeszcze nie spojrzeliśmy na menu.

– To się akurat dobrze składa – wyznaje Caleb. – Mam tam taką uroczą parę, przepraszam za sarkazm, która wymaga akurat mojej uwagi.

I rzuca się do innego stoika, a rodzice dopiero biorą karty do ręki.

– Zastanawiacie się czasem, jak by wyglądało wasze życie, gdyby nie kręciło się wokół świąt? – pytam.

Mama odkłada menu i patrzy na mnie uważnie.

– Żałujesz, że tak jest, Sierro?

– Nie – zapewniam ją. – Ale to wszystko, co znam. Wy mieliście przynajmniej jakieś normalne święta, zanim się pobraliście. Macie jakieś porównanie.

– Nigdy nie żałowałam, że zdecydowałam się na takie życie – mówi mama. – I był to mój wybór, więc mogę być z tego dumna. Wybrałam takie życie z twoim tatą.

– Na pewno jest to ciekawe życie – dodaje tata.

Udaję, że czytam menu.

– To był ciekawy rok – stwierdzam.

– I zostało nam już tylko kilka dni – mówi mama.

Podnoszę wzrok i widzę, że patrzy ze smutkiem na tatę.



Następnego dnia po południu wjeżdża na parking samochód Caleba, a na miejscu pasażera siedzi Jeremiaś. Gadają sobie i śmieją się, jakby nigdy nie było w ich przyjaźni żadnej bolesnej wyrwy.

Podchodzi do nich Luis i zdejmuje rękawice, żeby uścisnąć im dłonie na powitanie. Rozmawiają chwilę, a potem Caleb i Jeremiaś idą w stronę namiotu.

– Dziewczyno od choinek! – wita się ze mną Jeremiaś i przybijamy żółwika. – Mój kumpel twierdzi, że potrzebujecie pomocy w spakowaniu tego interesu w święta. Gdzie mam się zapisać?

– Nie masz przypadkiem jakichś planów z rodziną? – pytam.

– Dajemy sobie prezenty w Wigilię przed mszą – wyjaśnia. – Potem wysypiamy się i cały dzień oglądamy futbol. Ale wiesz, jestem ci winny przysługę, nie?

Patrzę to na jednego, to na drugiego.

– Czyli wszystko dobrze się skończyło?

Jeremiaś spuszcza wzrok.

– Rodzice nie wiedzą, gdzie dziś jestem. Cassandra mnie kryje.

– Zgodziła się to zrobić pod jednym warunkiem – dodaje Caleb i patrzy na mnie. – W sylwestra Jeremiaś będzie prywatnym kierowcą całej drużyny

cheerleaderek.

Jeremiah parska śmiechem.

– To niełatwe zadanie, ale dam radę. Poszukam twojego taty, żeby go spytać o to rozmontowywanie stoiska – mówi.

– A ty? – pytam Caleba. – Też nam pomożesz?

– Bardzo bym chciał spędzić tu cały dzień – mówi. – Ale tradycyjnie pierwszy dzień świąt spędzamy razem i głupio by mi było się wymigać. Rozumiesz to, nie?

– Jasne. Cieszę się, że będziecie razem – zapewniam go i choć naprawdę tak czuję, to jednak ze smutkiem myślę o świątecznym poranku. – Jeśli będziesz mógł się wyrwać na chwilę, to pewnie będę u Heather. Chcemy dać sobie prezenty i jest jeszcze Devon.

Caleb się uśmiecha, ale w jego oczach widzę taki sam smutek, jaki i mnie ogarnął.

– Na pewno mi się uda.

Czekamy na Jeremiaha i naprawdę nie wiemy, co powiedzieć. Wizja wyjazdu stała się nagle tak realna i bliska. Dwa tygodnie temu zdawało się, że to odległa przyszłość. Zdążyliśmy zobaczyć, co by się mogło stać i jak daleko mogłoby to wszystko zajść. Teraz mam wrażenie, że wszystko stało się za późno.

Caleb bierze mnie za rękę i idziemy za przyczepę, tam gdzie nikt nas nie zobaczy. Nim mam czas spytać, co robimy, już się całujemy. Ona całuje mnie, a ja jego, jakby to był nasz ostatni raz. I wciąż ta myśl, że to naprawdę może być nasz ostatni raz.

Kiedy odrywa się ode mnie, jego usta są ciemnoczerwone i lekko opuchnięte. Moje pewnie też. Ujmuje moją twarz i przywieramy do siebie czołami.

– Przepraszam, że nie mogę pomóc w pierwszy dzień świąt – szepcze.

– Zostało nam już tylko kilka dni – odpowiadam. – Nie wiem, co my zrobimy.

– Chodź ze mną na to nabożeństwo przy świecach – prosi. – To, o którym mówiła Abby.

Waham się chwilę. Nie byłam w kościele od wieków. Czy w Wigilię Caleb nie powinien być właśnie z ludźmi, którzy wierzą w to, co on wierzy, i czują to, co on czuje?

Znów pojawia się jego dołeczek.

– Proszę, chciałbym, żebyś była tam ze mną.

Odpowiadam podobnym uśmiechem.

– Dobra.

Już rusza z powrotem w stronę stoiska, ale łapię go jeszcze za rękę i wciągam z powrotem za przyczepę. Unosi brew.

– Czego jeszcze sobie życzysz?

– A twoje słówko dnia? – pytam. – Czy może już nie masz potrzeby mi więcej imponować?

– No wiesz? Jak możesz w to wątpić. Prawdę powiedziawszy, naprawdę się wkręciłem w te dziwne słówka. Na przykład dziś dostałem przymiotnik „transparentny”.

Mrugam z wrażenia.

– Niezłe. Nie znałam takiego.

– Ha! – Unosi rękę w triumfalnym geście.

– Okej, nawet jeśli takie słówko istnieje – mówię – to co ono niby oznacza? – Patrzę na niego pytająco.

Też unosi brew.

– To coś przezroczyściego albo coś jawnego. Wiesz, mam nadzieję, co to znaczy „jawny”?

Parskam śmiechem i wyciągam go z kryjówki.

Luis macha do nas i podbiega.

– Wybraliśmy ci idealne drzewko – zwraca się do Caleba. To naprawdę super, że Luis stał się częścią naszej choinkowej rodziny. – Właśnie ci je załadowaliśmy na samochód.

– Dzięki, chłopie – odpowiada Caleb. – To daj zawieszkę, pójdę zapłacić.

Luis kręci głową.

– Nie, to drzewko my kupujemy.

Caleb patrzy na mnie pytająco, ale pojęcia nie mam, co jest grane.

– Kilku chłopaków z drużyny uważa, że robisz coś naprawdę fajnego – wyjaśnia Luis. – Ja zresztą też. Zrzuciliśmy się po kilka dolców z naszych napiwków i kupiliśmy to drzewko.

Trącam Caleba w ramię. Jego dobre uczynki wyraźnie stają się zaraźliwe.

Luis patrzy na mnie z lekkim niepokojem.

– Nie martw się. Nie odliczyliśmy sobie zniżki dla pracowników.

– Tym się nie przejmuj – uspokajam go.



Dzień przed Wigilią Heather jedzie po Abby i przywozi ją do mnie na stoisko. Abby już od jakiegoś czasu nie dawała ponoć Calebowi spokoju. Upiera się, że od dziecka marzyła o tym, żeby pracować na stoisku z choinkami, więc chciałyby mi trochę popomagać. Nawet jeśli trochę przesadza, co mi szkodzi spełnić jej zachciankę.

W kącie namiotu stawiamy dwa kozły do piłowania, a na nich kładziemy dechę wielkości drzwi. Wysypujemy na nią gałązki choinkowe, a potem pakujemy je do papierowych toreb, żeby klienci mogli je zabierać do domu. Będą mieli czym udekorować stoły i okna, nim przyjdzie rodzina. Torby znikają tak szybko, że ledwo dajemy radę nadążyć z pakowaniem.

– To co to za niespodziankę planujesz dla Devona? – pytam. – Idę o zakład, że to świąteczny sweter. Zgadłam?

– Myślałam o tym – przyznaje Heather. – Ale potem wpadłam na lepszy pomysł. Poczekaj.

Podbiega do lady, gdzie zostawiła torebkę. Patrzymy po sobie z Abby i wzruszamy ramionami. Heather wraca i z dumą pokazuje nam półmetrowy, nieco powykręcany czerwono-zielony... szalik?

– Mama uczy mnie robić na drutach – objaśnia.

Przygryzam wargę, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Heather! Zostały ci dwa dni do świąt!

Heather patrzy na swój szalik lekko podłamana.

– Pojęcia nie miałam, że to zajmuje tyle czasu. Ale tak sobie myślę, że jak już skończymy z tymi gałązkami, zamknę się w pokoju, włączę sobie jakieś filmiki z kotkami i będę robić ten szalik tak długo, aż go wreszcie skończę.

– W każdym razie jest to pewnie jakiś sposób, żeby zweryfikować jego miłość – mówię ostrożnie.

Abby przestaje pakować torbę.

– Przypomnijcie mi, co to znaczy „zweryfikować”? Bo zapomniałam –

bąka.

Obie z Heather wybuchamy śmiechem.

– Myślę, że to znaczy – zaczyna Heather, pakując sobie szalik do kieszeni – że jeśli Devon naprawdę mnie kocha, będzie nosił ten żaloszny szalik, jakby to była najpiękniejsza rzecz na świecie.

– Otóż to – potwierdzam. – Tylko nie wiem, czy to uczciwe wystawiać go na taką próbę.

– Gdybym zrobiła go dla ciebie, na pewno byś go nosiła – zauważa Heather. I ma rację. – Jeśli nie kocha mnie z taką czułością, to nie zasługuje na swój prawdziwy prezent i tyle.

– To co to za prawdziwy prezent? – chce wiedzieć Abby.

– Bilety na festiwal komedii – mówi Heather.

– O, to już lepsze – stwierdzam.

Heather opowiada Abby o wymarzonym dniu, który podarował jej Devon w ramach wcześniejszego świątecznego prezentu. Abby mówi, że też by chciała chłopaka, który wtaszczyłby dla niej kosz piknikowy aż na sam szczyt Cardinals Peak.

Heather uśmiecha się, pakując kolejną papierową torebkę.

– No, przecież on się tam też całkiem nieźle bawił.

Ciskam w nią gałązką. Naprawdę nie musi tu teraz wchodzić w szczegóły przy młodszej siostrze Caleba.

Kiedy po Abby przyjeżdża mama, nasza rozmowa schodzi na moje życie uczuciowe.

– Mam wrażenie, że tyle jeszcze przed nami, że wyjeżdżam o wiele za wcześnie.

– A co z przyszłym rokiem? Jeszcze jest nadzieja? – pyta Heather.

– Nie za wielka – mówię. – Właściwie to chyba już nie ma żadnej. Nie wiem, co zrobię, jeśli nie będę się mogła z tobą zobaczyć w przyszłe święta.

– Święta bez ciebie to nie święta – martwi się Heather.

– Przez całe życie zastanawiałam się, jak by to było zostać w domu po Święcie Dziękczynienia – opowiadam jej. – Móc przeżyć białe święta, zrobić te wszystkie rzeczy, które wszyscy normalni Oregocnicy robią w czasie przerwy świątecznej. Ale szczerze mówiąc, zupełnie co innego się nad czymś zastanawiać, a co innego tego chcieć.

Teraz już nawet nie pakujemy toreb.

– Rozmawiałaś o tym z Calebem?

– Cały czas to nad nami wisi.

– A co z przerwą wiosenną? – pyta Heather. – Przecież nie musisz czekać całe wieki, żeby się z nim zobaczyć.

– Wtedy będzie u taty – mówię. Znów myślę o tych biletach na bal, które schowałam za zdjęciem. Żeby mu je dać, musiałabym wiedzieć na pewno, na czym stoimy. Musiałabym wiedzieć, czego chcemy. Ale gdybym mu je dała, wyjeżdżałabym z nadzieją.

– Skoro my z Devonem jakoś sobie wszystko poukładaliśmy, to i wy dacie radę – pociesza mnie Heather.

– No nie wiem. Żeby cokolwiek udało się poukładać, trzeba jeszcze być razem.



Zamykamy stoisko w Wigilię i idziemy z rodzicami na kolację do przyczepy. Cały dzień w wolnowarze dusił się rostbef, roztaczając wokół smakowitą woń. Tata Heather upiekł chleb kukurydziany i nam trochę przywiózł. Siadamy do stołu. Tata pyta mnie, co myślę o przyszłym roku i o tym, że już tu nie wrócimy.

Łamię swój chleb na pół.

– Nie mam na to wpływu – mówię. – Co roku, gdy zamykamy stoisko, siadamy sobie tu i jemy. W tym roku jedyna różnica polega na tym pytaniu.

– To tylko tak wygląda z twojej perspektywy – odzywa się mama. – Z tej strony stołu każdy rok wyglądał zupełnie inaczej.

Odrywam sobie kawałek chleba i żuję go powoli.

– Masz wokół siebie dużo ludzi, którzy życzą ci jak najlepiej – zaczyna tata. – Tu, w tym miasteczku, ale i w domu...

Mama pochyla się i bierze moją rękę.

– Wiem, że czasem wydaje się, że każdy ciągnie cię w swoją stronę, ale to tylko dlatego, że dla wszystkich nas jesteś taka ważna. Mam nadzieję, że ten rok ci to unaocznili.

Tata nie byłby sobą, gdyby nie dodał:

– Nawet jeśli skończy się to złamanym sercem.

Mama daje mu kuksańca.

– W liceum pan Cynik, zwany też twoim ojcem, spędził tu całe lato na obozie baseballowym, bo zimą poprzedniego roku poznał pewną dziewczynę.

– Znałem ją już wtedy bardzo dobrze – oburza się tata.

– Niby jak dobrze mogłeś mnie poznać w ciągu tych kilku tygodni? – kpi mama.

– Bardzo dobrze – upiera się tata. – Wierz mi.

Kładzie dłoń na rękach mojej i mamy.

– Jesteśmy z ciebie dumni, kochanie. Bez względu na zmiany w naszym rodzinnym interesie będzie dobrze. I cokolwiek postanowisz w sprawie Caleba... no wiesz... możemy...

– Będziemy cię wspierać – podpowiada mu mama.

– O to to. – Tata otacza ją ramieniem. – Mamy do ciebie pełne zaufanie.

Przechodzę na ich stronę stołu i przytulam się do nich. Czuję, jak nade mną tata przekrzywia głowę, żeby spojrzeć na mamę.

Potem wracam na swoje miejsce, a mama wychodzi na chwilę. Idzie do ich pokoju po te kilka prezentów, które tu przywieźliśmy. Z całej naszej trójki to tata jest najgorszy w cierpliwym czekaniu – pod tym względem jest trochę jak Caleb – więc od razu rozpakowuje swój prezent.

Wyciąga pudełko przed siebie i przygląda mu się krytycznie.

– Elf na półce? – Marszczy nos. – Chyba sobie żartujecie!

Mało z mamą nie umieramy ze śmiechu. Tata co roku gdera na tę nową tradycję, zarzekając się, że w życiu nie kupi sobie elfa. Zresztą założył chyba, że skoro spędza cały grudzień poza domem, nie będzie do tego zmuszony.

– Plan był taki, że schowamy ci go w domu, jak wyjedziesz do Kalifornii – opowiada mama.

– A wtedy – szepczę złowieszczo i pochylam się do przodu dla większego efektu – przez cały miesiąc nieustannie łamałbyś sobie głowę, gdzie siedzi elf.

– Chyba chcecie mnie wykończyć – jęczy tata. Wyciąga elfa i wiesza go do góry nogami. – Przeszłyście same siebie.

– Ale nie ma tego złego, co by nie wyszło na dobre – pocieszam tatę. – Przynajmniej teraz będziesz mógł sobie patrzeć na niego codziennie w domu.

– To tylko kolejny dowód na to, że to jest głupie powiedzenie – gdera tata.

– Dobra, moja kolej – mówi mama.

Co roku żąda, byśmy zaskoczyli ją jakimś innym zapachem balsamu do ciała. Wprawdzie na swoje szczęście uwielbia zapach choinek, ale jednak po całym miesiącu tylko tego aromatu zawsze jest bardzo spragniona jakiegoś nowego. Odwija papier ze swojej tegorocznej buteleczki i czyta etykietkę.

– Ogórkowa lukrecja?! Skąd wytrzasnęliście coś takiego?

– To przecież twoje ulubione zapachy – przypominam jej.

Otwiera zakrętkę, wacha i wylewa sobie kroplę na dłoń.

– Niesamowity! – zachwyca się i wsmarowuje sobie balsam w dłonie.

Tata podaje mi małe srebrne pudełeczko.

Otwieram je i wyciągam kłębek waty. Pod nim lśni kluczyk.

– Kupiliście mi samochód?!

– No, w sumie jest to stary pikap wujka Bruce’a – prostuje pospiesznie mama. – Ale zmienimy tapicerkę, tylko wybierz sobie, jaki kolor byś chciała.

– Nie nadaje się pewnie na dłuższe wyprawy – zastrzega tata. – Ale na farmie i tyle co po miasteczku będzie jak znalazł.

– Nie szkodzi, że używany, co? – pyta mama. – Nie mogliśmy sobie pozwolić na...

– Dziękuję – mówię. Odwracam pudełko i kluczyk wpada mi do ręki. Cieszę się chwilę jego ciężarem, a potem znów przeskakuję na ich stronę stołu, żeby ich wyściskać. – Ale super!

Zgodnie z tradycją wkładamy naczynia do zlewu, a potem pakujemy się do łóżka rodziców i oglądamy na moim laptopie *Grinch: Świąt nie będzie*. I jak zwykle rodzice śpią już smacznie, kiedy serce Grincha rośnie trzy rozmiary. Tylko ja nie śpię, a żołądek mam ściśnięty z paniki, bo już czas wychodzić na nabożeństwo z Calebem.

Tym razem przynajmniej nie mam problemu ze strojem. Jeszcze zanim wstanę z łóżka, wiem, że najlepiej będzie włożyć prostą czarną spódnicę i białą bluzkę. W naszej małej łazieneczce prostuję sobie włosy. Kiedy starannie nakładam makijaż, zauważam w lustrze odbicie mamy. Pokazuje mi nowy różowy kaszmirowy sweter.

– Na wypadek, gdyby się zrobiło zimno – mówi.

Obracam się.

– Skąd go masz?

– To był taty pomysł – wyjaśnia. – Chciał, żebyś miała coś nowego na ten wieczór.

Unoszę sweter.

– Tata mi to wybrał?

Mama parska śmiechem.

– Chyba jasne, że nie. Gdyby on miał tu coś do powiedzenia, kazałby ci się ubrać w kombinezon narciarski – żartuje. – Ale wysłał mnie do sklepu, kiedy byliście zajęte pakowaniem gałązek.

Patrzę w lustro i przykładam sweter na próbę.

– Przekaż mu, że strasznie mi się podoba – zachwycam się.

Mama uśmiecha się do naszych odbić.

– Jeśli uda mi się go obudzić, to zrobimy sobie popcorn i obejrzymy pewnie *Białe Boże Narodzenie*.

Zawsze to oglądają w święta. Zwykle ze mną wtuloną między nich.

– Podziwiam was za to, że nigdy nie macie dość świąt – mówię.

– Kochanie, gdybyśmy mieli dość, już dawno sprzedalibyśmy farmę i zajęli się czymś innym. Nasza praca to coś wyjątkowego. Miło widzieć, że Caleb to docenia.

Rozlega się ciche pukanie do drzwi. Serce mi wali jak szalone, gdy mama wkłada mi ostrożnie sweter, tak żeby nie zepsuć fryzury. Chciałabym ją jeszcze uściskać na pożegnanie, ale już chowa się w swoim pokoju i zamyka drzwi.

Otwieram drzwi pewna, że zaraz zemdleję na widok mojego przystojnego chłopaka w eleganckim wigilijnym stroju. Ale Caleb ma na sobie sweter z wielką mordką renifera, a do tego fioletową koszulę i zwykłe spodnie. Zasłaniam usta dłonią i kręcę głową.

Rozkłada ręce.

– Iii?

– Tylko mi nie mów, że pożyczyłeś sweter od mamy Heather – jęcę.

– Zgadłaś! – cieszy się. – Naprawdę! Co nie było łatwe, bo większość jej swetrów ma obcięte rękawy.

– Dobra, doceniam twój świąteczny nastrój, ale słowo daję, że nie skupię się na nabożeństwie, jeśli będziesz to miał na sobie.

Spuszcza wzrok na sweter.

– Czy mnie się zdaje, czy ty nie wiesz za wiele o swetrach mamy Heather?  
– pytam dla pewności.

Caleb wzdycha i niechętnie zaczyna go zdejmować, ale utyka na głowie i muszę go z niego ściągnąć siłą. Teraz wygląda wreszcie jak mój przystojny chłopak.

Wieczór jest chłodny. Mimo późnej pory na wielu domach po drodze palą się jeszcze świąteczne światełka. Niektóre wyglądają jak lśniące sople na dachu. Na paru trawnikach widzimy też podświetlone na biało renifery. Mnie najbardziej cieszą te domki, które lśnią kilkoma kolorami naraz.

– Pięknie dziś wyglądasz – mówi Caleb. Unosi moją rękę, gdy idziemy, i dotyka ustami każdego palca.

– Dzięki. Ty też.

– Widzisz? Robisz postępy w przyjmowaniu komplementów – chwali mnie.

Patrzę na niego z uśmiechem. Na jego policzki pada światło niebiesko-białych lampek z najbliższego domu.

– Opowiedz mi o tym nabożeństwie – proszę. – Domyślam się, że będzie tłok.

– W Wigilię odbywają się dwa nabożeństwa – wyjaśnia. – Wcześniejsze dla rodzin z dziećmi. Na nim jest zawsze uroczysty pochód i milion czterolatków przebranych za aniołki. W kościele panuje wtedy kompletny chaos i w ogóle jest idealnie. Za to ta pasterka o północy, na którą my idziemy, jest trochę bardziej na serio. Tak trochę w stylu wielkiej mowy Linusa z *A Charlie Brown Christmas*.

– Uwielbiam Linusa – przyznaję.

– To się dobrze składa – mówi Caleb. – Bo inaczej ten wieczór skończyłby się w tej chwili.

Resztę drogi idziemy w milczeniu. Wchodząc pod górę, trzymamy się za ręce, aż docieramy do kościoła. Parking jest pełen. Mnóstwo samochodów stoi na chodnikach, a ze wszystkich stron nadciągają jeszcze ludzie piechotą.

Przy szklanych drzwiach Caleb zatrzymuje się i patrzy mi prosto w oczy.

– Tak bardzo chciałbym, żebyś nie wyjeżdżała.

Ściskam jego rękę, ale nie wiem, co powiedzieć.

Otwiera drzwi i puszcza mnie przodem. W środku nie palą się żadne światła poza świecami rozstawionymi na wysokich drewnianych kijach umocowanych z boku każdej ławki. Grube drewniane belki pną się wzdłuż każdej ściany w górę, koło wysokich okien z czerwono-żółto-niebieskimi witrażami, spotykają się na środku pod sufitem i wygląda to razem jak wielka odwrócona do góry dnem łódź. Z przodu kościoła, przed ołtarzem, stoi rząd czerwonych gwiazd betlejemskich. Chórzyści w białych szatach już ustawiają się na podwyższeniu. Nad nimi wisi wielki wieniec świąteczny i widać organy.

Większość ławek jest już zupełnie zapchana. Wślizgujemy się gdzieś z tyłu i podchodzi do nas starsza pani. Podaje nam po niezapalonej białej świecy, a do tego białe kartonowe kółeczko mniej więcej wielkości mojej dłoni. W środku jest mała dziurka. Caleb zakłada to kółko na górę swojej świeczki i ściąga je mniej więcej do połowy długości świecy.

– To na potem – wyjaśnia. – Kartonik łapie roztopiony воск.

Mocuję kółeczko na swojej świecy i odkładam ją na kolana.

– A twoja mama i siostra przyjdą?

Wskazuje mi głową chór. Abby i ich mama stoją w samym środku. Uśmiechają się i patrzą na nas. Mama wygląda na taką szczęśliwą przy Abby. Machamy do nich. Abby zaczyna nam odmachiwać, ale mama łapie ją za rękę, bo już podszedł do nich dyrygent.



– Abby jest świetna – szepcze Caleb. – Była tylko na dwóch próbach, ale mama mówi, że od razu się wpasowała w chór.

Zaczynają śpiewać *Słuchaj, brzmi aniołów pieśń.*

Śpiewają jeszcze kilka kolęd, a potem pastor wygłasza szczere i mądre kazanie o Bożym Narodzeniu i o tym, co dla niego znaczy ta noc. Wzruszają mnie te piękne słowa i sposób, w jaki je przekazuje. Trzymam Caleba za rękę, a on patrzy na mnie z takim uczuciem.

Chór zaczyna śpiewać *We Three Kings*. Caleb pochyla się i szepcze:

– Chodź.

Bierze świecę z moich kolan i wychodzimy razem z kościoła. Zamykają się za nami szklane drzwi. Na dworze jest już zimno.

– Co robimy? – pytam.

Pochyla się i całuje mnie delikatnie. Unoszę rękę i dotykam jego chłodnych policzków, przy których jego usta wydają się jeszcze cieplejsze. Zastanawiam się, czy każdy pocałunek z Calebem będzie taki nowy i magiczny.

Przechyla głowę, nasłuchuje.

– Zaczyna się.

Obchodzimy kościół. Nad nami wznoszą się jego mury i iglica. Okna są ciemne, ale wiem, że są w nich witraże.

– Co się zaczyna? – pytam.

– W środku jest ciemno, bo zgasili już świece – tłumaczy mi Caleb. – Teraz słuchaj.

Zamyka oczy. Ja też. Z początku ledwo słyszę, ale potem jest coraz głośniejsze.

– *Cicha noc... święta noc...*

To nie chór śpiewa, to wszyscy wierni.

– W tej chwili z przodu kościoła stoją dwie osoby z zapalonymi świecami. Tylko dwie. Reszta ma takie jak my. – Oddaje mi świecę. Trzymam ją od dołu, papierowe kółeczko opiera się o moją dłoń. – Tych dwoje ludzi wchodzi między nawy, jedna osoba idzie w stronę ławek po lewej, a druga po prawej.

– *Czuwa sama uśmiechnięta nad Dzieciątka snem...*

Caleb wyciąga z kieszeni małe pudełko zapalek, wyjmuje jedną i zapala. Zapala knot swojej świecy, po czym gasi zapalkę.

– Ludzie w pierwszych ławkach, ci najbliżej środka, pochylają świece

i dotykają tej zapalanej. Potem podają płomień osobie obok.

– *Gdzie się spełnił cud...*

Caleb przysuwa swoją świecę do mojej i przechyla tak, żeby mój knot zapłonął.

– I tak od świecy do świecy ogień idzie przez kolejne ławki. Kolejne osoby przekazują światło następnym... powoli... wszyscy czekają cierpliwie, aż dotrze do nich.

Patrzę na płomyczek mojej świecy.

– *Niesie dziś całemu światu odkupienie win...*

– Powoli światło idzie dalej i w końcu cały kościół przepełnia się blaskiem.

– *Jakież w tobie dzisiaj cud...*

– Spójrz do góry – mówi cicho Caleb.

Patrzę na witraże. Teraz bije przez nie ze środka ciepły blask. Szkło lśni czerwienią, żółcią i błękitem. Kolęda wciąż rozbrzmiewa, a mnie zapiera dech w piersi.

– *Cicha noc... święta noc.*

Śpiewają jeszcze raz od początku, aż w końcu w kościele i tu, na zewnątrz, zapada zupełna cisza.

Caleb pochyła się. Ostrożnie zdmuchuje świecę, a ja zdmuchuję swoją.

– Cieszę się, że mnie tu zabrałeś – mówię.

Przyciąga mnie do siebie i całuje delikatnie, przez kilka sekund trzymając swoje usta na moich.

Wciąż w jego objęciach odchylam się trochę do tyłu i pytam:

– Ale dlaczego nie chciałeś, żebym zobaczyła to od środka?

– Przez ostatnie kilka lat czułem się najspokojniejszy, gdy zapalałem tę swoją wigilijną świecę. Przez tę jedną chwilę wszystko było tak, jak powinno. – Przyciąga mnie do siebie, kładzie mi brodę na ramieniu i szepcze do ucha: – W tym roku chciałem tę chwilę spędzić tylko z tobą.

– Dziękuję – szepczę. – Była idealna.

Otwierają się drzwi kościoła. Nabożeństwo się skończyło. Jest już po północy i ludzie muszą przecież być zmęczeni, ale na ich twarzach maluje się spokój i radość. Większość nic nie mówi, tylko idzie prosto do samochodu. Niektórzy życzą sobie serdecznie wesołych świąt.

Bo to już pierwszy dzień świąt.

Mój ostatni dzień.

Widzę, że Jeremiaś przytrzymuje drzwi dla kilku osób. Potem podchodzi do nas.

– Widziałem, jak uciekliście – mówi. – Przegapiliście najlepszy moment.

Oglądam się na Caleba.

– Myślisz, że przegapiliśmy?

– Moim zdaniem nie – odpowiada.

Uśmiecham się do Jeremiaha.

– Nie, nie przegapiliśmy – wyjaśniam mu.

Jeremiaś wyciąga dłoń do Caleba, ale potem jeszcze ściska go mocno.

– Wesołych świąt, przyjacielu.

Caleb nic nie mówi, tylko i przymyka oczy. Jeremiaś klepie go po plecach, a potem mnie też przytula.

– Wesołych świąt, Sierra.

– Wesołych świąt, Jeremiaś.

– Widzimy się rano – rzuca mi jeszcze na pożegnanie i wraca do kościoła.

– Czas wracać – stwierdza Caleb.

Nie potrafię nawet opisać, ile znaczyła dla mnie ta noc. W tej chwili mam ochotę po prostu powiedzieć Calebowi, że go kocham. To byłby właściwy moment – właśnie ten, bo to teraz wiem, że tak jest.

Ale nie mogę mu tego powiedzieć. To byłoby okrutne powiedzieć mu to, a zaraz potem wyjechać. Poza tym, jeśli wypowiem te słowa, wyryją się w moim sercu. Będę o nich myślała całą drogę do domu.

– Chciałabym zatrzymać czas – mówię więc. To wszystko, co mogę nam dać.

– Ja też. – Bierze mnie za rękę. – Co będzie teraz z nami? Wiemy?

Sama bym chciała znać odpowiedź na to pytanie. Obiecać sobie, że będziemy w kontakcie, to jakoś mało. Wiem, że będziemy, ale co ponad to?

Kręcę głową.

– Nie wiem.

Kiedy docieramy na stoisko, Caleb całuje mnie, a potem robi krok w tył. To chyba ma sens, że teraz sobie pójdzie. Nie zdarzy się żaden świąteczny cud, który by sprawił, że ja nagle zostanę tutaj; nic nie zagwarantuje nam więcej, niż mamy w tej chwili.

– Dobranoc, Sierra.

Nie potrafię wypowiedzieć tego słowa.

– Widzimy się jutro – mówię tylko.

Idzie w kierunku samochodu z pochyloną głową, widzę, że patrzy na nasze zdjęcie na breloczku. Otwiera drzwi i znów odwraca się w moją stronę.

– Dobranoc – powtarza.

– Widzimy się rano.



Budzę się przepełniona tyłoma emocjami. Jem małe śniadanie, owsiankę z brązowym cukrem, a potem idę do Heather. Siedzi na schodach i na mnie czeka.

Nawet nie wstaje, tylko mówi:

– Znów mnie opuszczasz.

– Wiem.

– Ale tym razem nawet nie wiemy, kiedy wrócisz – dodaje. W końcu wstaje i tuli mnie długo.

Na podjazd wjeżdża samochód Caleba z Devonem na miejscu pasażera. Chłopcy wysiadają i każdy ma w ręku kilka małych pakunków. Smutek Caleba z wczoraj zniknął bez śladu.

– Wesółych świąt! – mówi.

– Wesółych świąt! – odpowiadamy z Heather.

Chłopcy całują nas w policzki, a potem Heather zagania nas do kuchni, gdzie już czeka gorąca czekolada i ciasto kawowe. Caleb dziękuje za ciasto, mówi, że już zjadł z mamą i Abby omlet i tost francuski.

– To u nas tradycja – tłumaczy się, ale mimo wszystko wrzuca sobie do gorącej czekolady miętową laseczkę Świętego Mikołaja.

– Skakałeś już dziś na trampolinie? – dopytuję.

– Od razu zrobiliśmy sobie z Abby zawody fikołków w tył. – Trzyma się za brzuch. – Choć może to nie był najlepszy pomysł tak zaraz po jedzeniu. Ale fajnie było.

Heather i Devon siedzą na krzesłach i patrzą, jak gadamy. To może być nasza ostatnia rozmowa i wyraźnie nie chcą nam przerywać.

– Przyznałeś się mamie, że ją już widziałeś? – pytam.

Pije czekoladę i uśmiecha się.

– Zagroziła mi, że w przyszłym roku dostanę tylko karty podarunkowe.

– W każdym razie w tym roku na pewno trafiła z prezentem – mówię i pochylam się, żeby go pocałować.

– A skoro już o prezentach mowa – odzywa się Heather – to czas na nasze!

Boję się patrzeć, kiedy Devon zaczyna rozwijać swój prezent. Wyciąga nierówny i wciąż dużo za krótki czerwono-zielony szalik. Przechyla głowę, ogląda go i ogląda. W końcu uśmiecha się tak radośnie, że chyba nigdy jeszcze nie widziałam tak szerokiego i szczerego uśmiechu.

– Heather, ty to sama dla mnie zrobiłaś?

Heather uśmiecha się i wzrusza ramionami.

– Jest piękny! – zachwyca się Devon i natychmiast usiłuje go sobie założyć na szyję, choć szalik ledwo sięga mu do mostka. – Nigdy w życiu nikt mi nie zrobił szalika na drutach. Przecież to musiało zająć całe wieki!

Heather promienieje. Rzuca spojrzenie w moim kierunku, a ja odpowiadam skinieniem. Moja przyjaciółka pakuje się swojemu chłopakowi na kolana i przytula go mocno.

– Byłam ostatnio taką beznadziejną dziewczyną – mówi. – Przepraszam. Obiecuję, że będę dla ciebie lepsza.

Devon odsuwa się zdezorientowany. Dotyka szalika.

– Przecież powiedziałem, że mi się podoba.

Heather wraca na swoje miejsce i daje mu kopertę z biletami na komedie. Devon cieszy się z biletów, ale nie aż tak bardzo jak z szalika, który wciąż z dumą nam prezentuje.

Heather podaje mi kopertę.

– To na potem – wyjaśnia. – Ale mam nadzieję, że da ci coś, na co miło

będzie czekać.

Wyciągam złożony potrójnie wydruk z komputera. Chwilę mi zajmuje doczytanie się, że to potwierdzenie zakupu biletu stąd do Oregonu. Podczas przerwy wiosennej!

– Przyjeżdżasz do mnie?!

Heather aż tańczy z uciechy na krześle.

Podchodzę do niej i ściskam ją serdecznie. Chciałabym zobaczyć, jak Caleb zareaguje na tę wiadomość, że Heather do mnie przyjeżdża, ale z drugiej strony wiem, że potem analizowałabym sto razy każdy jego najmniejszy gest. Więc tylko całuję ją w policzek i znów ściskam.

Devon kładzie przed Calebem i przed Heather małe cylindryczne paczuszki.

– Wiem, że już mieliśmy nasz idealny dzień, ale postanowiłem ci jeszcze kupić coś, co kupiłem Calebowi.

Caleb bierze swój prezent do ręki.

Devon patrzy na mnie.

– To właściwie taki prezent związany z tobą, Sierra.

Caleb i Heather w tym samym czasie odpakowują swoje prezenty. To świececzki o zapachu „Wyjątkowe święta”.

Caleb wacha swoją i patrzy na mnie.

– No tak, ale przecież ja oszaleję, jak to będę miał w pokoju.

Łapię za miętową laseczkę, wkładam ją do kubka i mieszam. Czuję, że zupełnie nie panuję nad emocjami. Wszystko dzieje się dziś tak szybko i teraz już moja kolej, żeby podarować im prezenty.

Podsuwam Heather małe zapakowane pudełeczko.

– Małe jest piękne – mówię.

Heather rozrywa papier i otwiera czarne aksamitne pudełeczko. Wyciąga z niego srebrną bransoletkę, na której kazałam wygrawerować: 45°5' N, 123°1' W.

– To współrzędne naszej farmy – wyjaśniam. – Żebyś zawsze wiedziała, jak do mnie dotrzeć.

Heather patrzy na mnie i szepcze:

– Będę wiedziała.

Drugą paczuszkę podaję Calebowi. Ostrożnie odwija papier, zdiera każdy kawałek taśmy. Heather dotyka mnie butem pod stołem, ale nie potrafię oderwać wzroku od Caleba.

– Może zanim zajrzysz do środka, uprzedzę cię, że to nic nie kosztowało – bąkam.

Uśmiecha się do mnie, ukazując dołeczek, i wyciąga lśniące czerwone pudełeczko.

– Ale włożyłam w to dużo serca, wiele łez i wiążą się z tym wspomnienia, które pozostaną mi w pamięci na zawsze – dodaję.

Patrzy na pudełko, którego wciąż nie otworzył. Znika jego dołeczek i nagle mam tę pewność, że on już wie, co jest w środku. A jeśli tak, to wie też, jak wiele to dla mnie znaczy. Delikatnie unosi wieczko. Widać już małą choineczkę, którą namalowałam na moim kawałku drzewka.

Patrzę na Heather. Złożyła ręce i przycisnęła sobie do ust.

Devon posyła mi zdezorientowane spojrzenie.

– O co chodzi?

Heather trąca go łokciem.

– Potem ci powiem – syczy.

Caleb jest zupełnie oszołomiony, nie może oderwać oczu od podarunku.

– Ale myślałem, że to jest w Oregonie.

– Bo było – potwierdzam. – Ale powinno być tutaj.

Prezent, który przyszedł w tej samej paczce co kawałek mojej choinki – bilety na bal, co do którego wciąż się waham – leżą schowane za naszym zdjęciem z Mikołajem.

Caleb wyciąga mój kawałek drewna z pudełka, opuszkami dotyka kory.

– Ale przecież to coś zupełnie wyjątkowego – szepcze.

– Tak. I teraz należy do ciebie.

Podaje mi nieowinięte w papier lśniące zielone pudełeczko ze wstążeczką. Zdejmuję ją i otwieram pudełko. Na wacie leży kawałek choinki – mniej więcej tego samego rozmiaru co ten, który właśnie mu dałam. Na nim ktoś namalował choineczkę z aniołkiem na czubku. Patrzę na Caleba, zupełnie nic z tego nie rozumiejąc.

– Poszedłem z powrotem na Cardinals Peak, do twojego drzewka – wyjaśnia. – Tego ściętego. Pomyślałem, że choć jego fragment powinien pojechać z tobą do domu.

Teraz to już obie z Heather przyciskamy dłonie do twarzy.

Devon bębni palcami o stół.

– Kilka tygodni temu kupiłem ci jeszcze coś innego – mówi Caleb. Wyciąga półprzezroczysty złoty materiałowy woreczek. – Zauważ, że jest

transparentny.

Parskam śmiechem.

– Bardzo transparentny – przyznaję.

Przez delikatny materiał widzę złoty naszyjnik. Rozsuwam tasiemki, które służą jako zamknięcie torebeczki, i wytrząsam ze środka naszyjnik z małą lecącą kaczką.

– Każdej zimy czekamy, aż kaczki wrócą na południe – szepcze.

Patrzę mu w oczy i zdaje mi się, że Heather i Devon nagle zniknęli.

Heather chyba też to czuje.

– Kochanie, pomógłbyś mi poszukać jakiejś świątecznej muzyki? – prosi Devona.

Wciąż patrząc mu w oczy, wtulam się w Caleba i całuję go. Potem przywieram głową do jego ramienia. Gdybym tak mogła nigdy się stąd nie ruszać.

– Dziękuję za prezent – mówi.

– To ja dziękuję ci za mój.

Z pokoju obok dochodzi wolna, instrumentalna muzyka świąteczna, ale tkwimy na miejscu jak zakłęci przez pierwsze dwa utwory.

– Mogę cię odwieźć? – pyta Caleb.

Wyprostowuję się i odgarniam sobie włosy z karku.

– A założysz mi najpierw ten naszyjnik?

Caleb zapina mi go na karku. Próbuję zapamiętać dotyk jego opuszków na skórze. Bierzemy płaszcze i żegnamy się z Heather i Devonem, którzy siedzą przytuleni na kanapie.

Podczas krótkiej drogi z powrotem na stoisko z choinkami czuję się już tak samotna, jakby Caleba przy mnie nie było. Oto wracamy do swoich światów. Kilka razy dotykam naszyjnika i widzę, że za każdym razem, gdy to robię, Caleb ogląda się w moją stronę.

Wysiadam z samochodu. Gdy moje stopy dotykają ziemi, nie potrafię zrobić ani kroku.

– Nie chcę, żeby tak to się skończyło – mówię.

– A musi? – pyta Caleb.

– Ty masz dziś przecież kolację z mamą i Abby, a ja będę pracować cały wieczór. Dziś musimy już wszystko popakować. Wyjeżdżamy z mamą z samego rana.

– Zrób coś dla mnie – prosi.



Czekam.

– Uwierz w nas.

Kiwam głową i przygryzam wargę. Wchodzę do przyczepy, macham mu i zamykam drzwi. Kiedy odjeżdża, modłę się: „Błagam, zrób coś, żeby to nie był ostatni raz, kiedy widzę Caleba”.

Kilku chłopaków z drużyny plus Luis i Jeremiah składają namiot. Inni zdejmują ozdobne światełka i zwijają kable. Ja obsługuję ludzi, którzy przyszli kupić ostatnie drzewka. Za parę dolarów mogą mieć teraz drewno do kominków. Przyjeżdżają pracownicy miejskiego parku i ładujemy im na samochody drzewka, które zatopią w okolicznych jeziorach, żeby ryby miały się gdzie chować.

Łapię się na tym, że co chwilę dotykam naszyjnika. Na kolację jemy z rodzicami chińskie jedzenie na wynos. Potem, po swoich rodzinnych kolacjach, wraca jeszcze kilku pracowników. Jak co roku na prawie już całkiem pustym stoisku szykujemy ognisko. Siadamy na drewnianych ławkach i składanych krzesłach i pieczemy sobie nad ogniem pianki cukrowe. Luis rozdaje krakersy i czekoladki do pianek. Przychodzą Heather i Devon, którzy już się sprzeczą, co robić w sylwestra. On chce oglądać futbol, a ona chce zacząć nowy rok romantycznym spacerem.

Koło mnie siada Jeremiah.

– Sierra, nie wolno się tak smucić w święta – żartuje.

– W pierwszy dzień świąt zawsze miałam lekką załamkę – odpowiadam. – Ale w tym roku jest wyjątkowo źle.

– Wszystko przez Caleba? – domyśla się.

– Przez Caleba. Przez to miasteczko. Przez wszystko. – Patrzę na ludzi siedzących wokół ogniska. – W tym roku było mi tu tak dobrze jak nigdy dotąd.

– Mogę ci coś poradzić? – pyta.

Podnoszę na niego wzrok.

– To zależy od rady.

– Mówię z pozycji kogoś, kto stracił całe mnóstwo czasu z Calebem i będzie musiał walczyć o każdą kolejną chwilę. I powiem ci tak: zrób wszystko, co możesz, żeby się go trzymać. Pasujesz do niego, a on pasuje do

ciebie.

Kiwam głową, próbując przełknąć, mimo że coś chwyciło mnie za gardło.

– Pasujemy do siebie – zgadzam się. – Wiem. Tylko że tak na logikę, jak mamy...

– Zapomnij o logice – radzi. – Logika nie wie, czego ty chcesz.

– Wiem. A to nie jest tylko coś, czego chcę – przyznaję, patrząc w ogień.

– To coś o wiele więcej.

– To masz szczęście – odpowiada. – Bo ktoś, na kim nam obojgu zależy, też czuje, że to coś o wiele więcej.

Klepie mnie po ramieniu. Kiedy znów na niego patrzę, wskazuje mi palcem ciemną sylwetkę Cardinals Peak. Tuż przy wierzchołku góry widzę setki kolorowych światełek.

Przyciskam dłoń do serca.

– Czy to moje drzewka?

– Pięknie oświetlone – odpowiada.

W kieszeni wibruje mi telefon. Patrzę na Jeremiaha, ale on wzrusza ramionami. Wyciągam komórkę i widzę esemesa od Caleba: **Twoja choinkowa rodzinka i ja już za tobą tęsknimy.**

Zrywam się na równe nogi.

– On tam jest! Na górze! Muszę się z nim zobaczyć.

Rodzice siedzą po drugiej stronie ogniska otuleni jednym długim szalikiem.

– Czy mogę...? Ja muszę... – Wskazuję im Cardinals Peak. – On...

Uśmiechają się do mnie i mama mówi:

– Rano wstajemy bardzo wcześnie, więc nie wracaj zbyt późno.

– I bądź rozsądna – dodaje tata, ale mama się z niego śmieje.

Oglądam się na Heather i Devona. Otoczył ją ramieniem, a ona wtuliła się w niego. Jeszcze ściskam ich mocno na pożegnanie.

Bardzo cicho, tak żeby moi rodzice nie słyszeli, Heather szepcze mi do ucha:

– Rozgrzejcie się tam jakoś.

Patrzę na Jeremiaha.

– Podwiesz mnie?

– Z przyjemnością – odpowiada.

– Dobra, tylko jeszcze muszę coś zabrać.



Nigdy jeszcze odcinek między naszym stoiskiem a Cardinals Peak nie wydawał mi się aż tak długi.

W końcu Jeremiaś zatrzymuje samochód na trawie i mówi:

– Teraz już musisz sobie radzić sama, dziewczyno od choinek. Nie będę przecież piątym kołem u wozu.

Patrzymy w górę, w oddali widać moje oświetlone drzewka. Jeremiaś sięga do schowka i podaje mi małą latarkę.

Ściskam go jeszcze na pożegnanie.

– Dziękuję.

Włączam latarkę, wyskakuję z samochodu i zatraskuję drzwi, a Jeremiaś się wycofuje. Po chwili znikają światła jego samochodu. Zostaję sama z latarką w dłoni i olbrzymią górą przede mną. Jest zupełnie ciemno, tylko na samym szczycie czekają na mnie kolorowe światełka i ta wyjątkowa osoba.

Do ostatniego skrętu docieram tak szybko, jakbym całą drogę pod górę przefrunęła. Przede mną stoi samochód Caleba. Okno pasażera jest otwarte i ciągnie się z niego długi kabel, który przez krzaki prowadzi aż do stojącego tyłem do mnie chłopaka. Caleb patrzy na miasteczko. Światełka na moich drzewkach są tak jasne, że mogę spokojnie zgasić latarkę. Caleb spogląda na swój telefon, pewnie czeka na esemesa ode mnie.

– Jesteś niesamowity – mówię.

Odwraca się z radosnym uśmiechem.

– Myślałam, że spędzasz ten wieczór z rodziną – ciągnę, włączając w krzaki.

– Bo tak było. Ale ponoć nie potrafiłem się skupić na rozmowie – przyznaje. – Abby kazała mi przestać smęcić i iść do ciebie. Uznałem, że może lepiej będzie, jak zrobię coś, żebyś ty przyszła do mnie.

– I udało ci się.

Robi krok w moją stronę, na jego twarzy tańczą światełka. Wyciągamy ręce i obejmujemy się. Całujemy się i ten pocałunek wymazuje wszystkie moje wątpliwości. Chcę tego.

Chcę tego.

– Mam coś dla ciebie – szepczę mu do ucha. Sięgam do kieszeni i wyciągam złożoną kopertę.

Kiedy ją ode mnie bierze, włączam latarkę i świecę mu na ręce. Palce mu się trzęsą, nie wiem, czy z zimna czy z przejęcia. Dobrze, że nie jestem na

tym wzgórzu jedyną zdenerwowaną osobą. Wyciąga z koperty bilety na bal, te z parą tańczącą w śnieżnej kuli. Spogląda na mnie i uśmiecha się równie szeroko jak ja.

– Pójdiesz ze mną na bal? – pytam. – Nie chcę iść z nikim innym.

– Pójdę z tobą choćby i na koniec świata – obiecuje.

Przytulamy się mocno.

– Naprawdę pójdiesz? – upewniam się.

Odchyła głowę i się uśmiecha.

– Na coś przecież muszę wydawać te moje napiwki.

Patrzę mu w oczy i mówię coś, co nie jest nawet pytaniem:

– Ty wiesz, że cię kocham.

Pochyla się i szepcze mi do ucha:

– A ty wiesz, że ja kocham ciebie.

Całuje mnie w szyję, a potem idzie do samochodu. Wsuwa głowę przez otwarte okno, przekręca kluczyk w stacyjce i włącza odtwarzacz. W zimnym nocnym powietrzu rozlega się *It's the Most Wonderful Time of the Year*. Z trudem opanowuję śmiech, a Caleb się uśmiecha.

– Spoko – mówi. – Śmieję się z moich sentymentalnych pomysłów, ile dusza zapragnie.

– Zapominasz chyba, że moja rodzina żyje z takich rzeczy.

W miasteczku w dole widzę ognisko, przy którym grzeją się moi rodzice i kilku moich najlepszych przyjaciół. Może patrzą teraz w górę. Jeśli tak, to mam nadzieję, że się uśmiechają, bo ja uśmiecham się do nich.

– Zatańczysz? – pyta Caleb.

Wyciągam do niego rękę.

– Pewnie, czas już zacząć ćwiczyć.

Ujmuje moją dłoń i okręca mnie, a potem kołyszemy się już razem w rytm muzyki. Na moich roztańczonych w delikatnym wietrze drzewkach drżą świąteczne światełka.

KONIEC

## Lista grzecznych dzieci

Ben Schrank, wydawca, i Laura Rennert, agentka literacka – *za to, że są przy mnie od pierwszej książki i że, gdy trzeba, są też moimi osobistymi terapeutami wątpiącego-pisarza.*

Jessica Almon, redaktorka – *kiedy ja wątpiłem, ty wierzyłaś; kiedy ja miałem dość, ty słusznie żądałaś więcej: „To mi przypomina tę piosenkę Taylor Swift!”.*

Mama, tata i Nate (oraz moi kuzyni, ciocie, wujkowie, dziadkowie, sąsiedzi i przyjaciele...) – *za magiczne święta mojego dzieciństwa.*

Luke Gies, Amy Kearley, Tom Morris, Aaron Porter, Matt Warren, Mary Weber, DonnaJo Woollen – *moje anioły stróże.*

Hopper Bros. – Woodburn w Oregonie

Heritage Plantations – Forest Grove w Oregonie

Halloway's Christmas Trees – Nipomo w Kalifornii

Thorntons' Treeland – Vancouver w Waszyngtonie – *za cierpliwe oprowadzanie mnie po Waszych plantacjach choinek i odpowiedzi na wszystkie moje osobiste, zawodowe i głupie (ale nadal ważne!) pytania.*

## Dedykacja

## ROZDZIAŁ PIERWSZY



## ROZDZIAŁ DRUGI

## ROZDZIAŁ TRZECI

## ROZDZIAŁ CZWARTY

## ROZDZIAŁ PIĄTY

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

## ROZDZIAŁ ÓSMY

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY



## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

## Lista grzecznych dzieci



Tytuł oryginału: *What Light*

Copyright © 2016 Jay Asher

All rights reserved including the right of reproduction in whole or in part in any form.

This edition published by arrangement with **Razorbill**, an imprint of Penguin Young Readers Group, a division of Penguin Random House LLC.

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2016

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Małgorzata Chwałek

Fotografia na okładce: Anton Muhin

Projekt okładki: Theresa Evangelista

Projekt i opracowanie graficzne polskiej wersji okładki: Izabella Marcinowska

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Światło*, wyd. I, Poznań 2017)

ISBN 978-83-8062-876-2

**Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.**

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)

[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**